

STRESZCZENIE SZCZEGÓŁOWE

# **„Chłopi” – streszczenie szczegółowe (dokładne) lektury**

*Władysław Reymont*

maturapolski.pl — darmowe opracowania lektur

## Rozdział I

---

Powieść otwiera **liryczny obraz wsi Lipce** u schyłku września. Przy drodze, na kółkach od pługa, siedzi **proboszcz** czytający brewiarz; podchodzi doń stara **Agata** — uboga krewniaczka, która właśnie wyrusza „we świat, do ludzi”, czyli na żebry na zimę. Wyjaśnia bez skargi, że nie wypędzili jej krewniacy (Kłębowie), lecz sama „zmiarkowała, że trza jej w świat”, bo na zimę „roboty już dla niej nie miały”, a darmo nie dadzą strawy i kąta; latem służy krewnym, jesienią idzie „po proszonym”, licząc, że uzbiera grosza „na przednówek” dla nich. Wzruszony ksiądz wsuwa jej złotówkę; Agata, łkając, całuje go po kolanach i odchodzi drogą ku lasom, raz po raz oglądając się żałośnie na wieś.

Następuje słynna, **impresjonistyczna panorama jesiennego krajobrazu**: pola jak „olbrzymia misa o modrych wrębach lasów”, srebrna rzeka wzbierająca w staw pośrodku wsi, sady grające „jesiennymi barwami niby czerwono-żółta liszka”, topole pnące się ku lasom. Drogą przeciąga **korowód postaci** witających księdza: dziewczyna ciągnąca czerwoną krowę, Żyd szmaciarz Moszek (z chłopską filozofią dobrobytu — „kto ma kartofle, żyto, kapustę, temu dobrze słyhać”), ślepy dziad z kundlem, chłopak z butelką umykający do karczmy. Ksiądz idzie miedzami, ogarniając „jasnym, pełnym kochania spojrzeniem” pejzaż jesiennych prac — kopanie kartofli, orkę, a zwłaszcza dostojny, niemal sakralny **obraz siewcy** rozrzucającego ziarno „ruchem nabożnym i błogosławiącym ziemi”.

Ksiądz rozmawia z dziećmi obtłukującymi gruszę i z gromadą **kopaczy** (głównie stare kobiety i komornicy). Dowiaduje się, że kopią **ziemniaki Boryny**, którego nie ma, bo „pojechał z synem do boru”. Wymienia serdeczne słowa z młodą, przystojną **Anną (Hanką)** w czerwonej chustce, pytając o jej ochrzczone niemowlę, po czym odchodzi ku cmentarzowi i kaplicy. Kobiety wspominają z wdzięcznością, że to dzięki staraniom Boryny i wójta (jeżdżących prosić biskupa) zachowano im tego dobrego księdza. Po jego odejściu wywiązuje się **gorzka rozmowa** — zgryźliwa **Jagustynka** komentuje los Agaty: „obrobiła krewniaków, wysłużyła się im przez lato, to ją puścili na wolny dech... ścierwy, psie krewniaki” — wiosną wróci z darami i będą ją znów miłować, póki nie wyciągną z niej ostatniego grosza. Stary komornik dorzuca: „**biednemu zawsze na ten przykład wiatr w oczy**”. Anna ucina rozmowę, popędzając wszystkich do pracy. Tak Reymont od pierwszych stron spleta liryzm wsi z twardą prawdą o krzywdzie ubogich.

Plotki kopaczek wprowadzają **kluczowe postacie i przyszlą intrygę miłosną**. Mowa o rodzinie **Paczesiów**: starzy „chłopy, a wciąż kawalery”, córki się starzeją, gospodarstwo (półwłóczek i łączka za młynem) trzyma matka, która nie daje synom się żenić. Najwięcej o **Jagnie (Jagusi)** — najmłodszej, urodziwej („wypasiona kiej jałowica, biała na gębie, ślepie jak lnowe kwiatki, mocna”), która „kiej dziedziczka tylko się stroi, myje, w lusterku przegląda” i „patrzy, kogo by puścić pod pierzynę”; odrzuciła już swaty Józka Banacha. Jej matka, **Dominikowa**, choć wciąż w kościele i na odpustach, uchodzi za **czarownicę** (odebrała mleko krowom, rzuciła na chłopaka kołtun). Najważniejszy jest szept Jagustynki: pierwszym obrońcą Jagny jest „**chłop Hanki**” — **Antek** — który „**cieka się za nią kiej pies**”; za urodziwą Jagną „jak za suką ganiają chłopaki”. Tak zostaje zawiązany **trójkąt Antek–Hanka–Jagna**. Kobiety roztrząsają też sytuację u Borynów: brak gospodyni (wdowiec Boryna), Hanka i Antek żyją „na komornym u ojca” i dbają tylko o swoje, a Jagustynka twierdzi, że krzepki, sześćdziesięcioletni Boryna „byłby głupi”, gdyby oddał dzieciom grunt — „oddaj, co masz, dzieciom, to ci starczy na kamień do szyi”.

## Rozdział II

---

Na podwórku Boryny zbiega się wieś wokół zdychającej krowy **graniastej**. Hanka, łkając, głaszcze ją; kobiety próbują ludowych ratunków (sól, воск z gromnicy, mydło z serwatką, puszczenie krwi). Sprowadzony zostaje **Ambroży** — niemal stuletni kościelny o drewnianej nodze — który puszcza krew, lecz orzeka, że „za późno, bydłatko ostatnią parę puszcza”, pogardliwie kwitując, że „te baby ino do płakania mądre”. Wracają z boru **Maciej Boryna** (gospodarz) i jego syn **Antek**, wioząc sosnę. Boryna wpada w **gniew i rozpacz** nad stratą („Graniasta, najlepsza krowa... trzysta złotych jak w błoto! przypilnować nie ma kto”), oskarżając Hankę i całą rodzinę. Sam **dorzyna** zdychające bydło kosą. Sceną-kluczem dla napięcia rodzinnych jest reakcja **Antka**, który chłodno rzuca płaczącej żonie: „**Nie bucz, głupia! Ojcowa krowa to nie nasza strata!**” — zdradzając swój żal, że żyje na ojcowiznie jak komornik i nie utożsamia się z majątkiem ojca. Tak Reymont od początku zarysowuje **konflikt pokoleń o ziemię** (patriarcha Boryna kontra syn Antek pragnący gruntu) — drugą, obok miłosnego trójkąta, oś dramatu.

Reymont rozbudowuje **portret zamożnego gospodarstwa Borynów** (dom przedzielony sienią: jedną połowę zajmuje Boryna z córką Józją, drugą Antkowie; parobek Kuba i pastuch Witek śpią przy koniach). Charakterystyczny jest gest Boryny, który w ciemnym alkierzu **potajemnie grzebie w beczkach ze zbożem** — sygnał jego skrytego skąpstwa i ukrywanych oszczędności. Wieczorem Antek, jedząc na ganku, **wpatruje się w drugą stronę stawu, w dom Paczesiów**, gdzie wśród opłotków „uwija się wysoka postać” (Jagna) — z chłodu odpowiada żonie i z zazdrością myśli „śpią se kiej dziedzic, a ty, parobku, rób”; jego ambiwalencję zdradza poprawka: „ojcowa krowa, ale i nasza strata”. Wśród mistrzowsko

oddanego **wieczornego gospodarstwa** (pojenie krów, gęsi, świnie) rozgrywa się czuła scenka między pastuchem **Witkiem** a **Józką**: chłopak boi się bicia za krowę, Józka obiecuje wstawić się u ojca, a w zamian Witek pokazuje jej **mechanicznego bociana własnej roboty** („z ciebie mechanik!”) — niewinna przyjaźń dwojga dzieci.

Rozdział zamyka **kluczowy monolog Boryny**, idącego do wójta (sprawa sądowa z gajowym, a zarazem proces z kobietą, z którą miał romans). Rozżalony stratą i samotnością („sam jak ten kolek... a wszystkie kiej te wilki za owcą, patrzą, kiedy ozerwą w kawały”), wspomina z tkliwością zmarłą na wiosnę żonę — wzorową gospodynię — i konstatuje, że bez niej „wszystko marnieje, przez sito leci”: Antek ciągnie na swoją stronę, kowal (zięć) wypatruje, by coś chwycić, Józka za młoda, Hanka chorowita. Pada jego **twarde postanowienie**: „**ale nie dam! póki rucham tymi kulasami, ani jednej morgi nie odpiszę i na wycug nie pójdę**” — gdy drugi syn Grzela wróci z wojska, Antek niech idzie na gospodarkę żony. Tak Reymont ustala **psychologiczny rdzeń konfliktu**: chłopska miłość do ziemi i lęk patriarchy przed oddaniem majątku, które zderzą się z głodem ziemi i ambicją młodego pokolenia.

## Rozdział III

---

U **wójta** Boryna omawia swoje **sprawy sądowe**. Pierwsza, na jutro: skarży go **Jewka** — formalnie o niewypłacone zasługi, lecz wójt insynuuje, że chodzi o jej dziecko, którego ojcem miałyby być Boryna („stary z was, a jeszcze majster!”); Boryna zaprzecza („anim ją tknął”). Druga sprawa to proces o krowę z dworem (gajowy wygnał z paśnika). Wójt, trzymając stronę dworu, odwołuje go od pozwu, a by zmienić temat, **podsuwa Borynie myśl o powtórnym ożenku** — „miałby kto gospodarstwa pilnować”. Wraz z wójtową przeglądają **catalog dostępnych kobiet** (Zośka Grzegorzowa, Jędrkowa Kasia, Stachowa Weronka, wdowa po Tomku, Ulisia), każdą odrzucając, aż pada nazwisko: **Jagna Dominikowa** — „sielna dziewucha, rosła, piękna, biała na gębie, urodna kiej jałowica”. Na uwagę Boryny, że „powiedają o niej, że lasa na chłopaków”, wójtowa broni jej (to zazdrość). Wójt obiecuje pójść z wódką do Dominikowej i sprawić wesele przed Godami; ślepy dziad kwituje sentencją: „jak stary młódkę bierze, diabeł się cieszy”.

Wracając, Boryna — pozornie obojętny — w istocie jest **myślą pochłonięty**. Idzie dłuższą drogą, obok domu Jagny, i przeprowadza **chłodną gospodarską kalkulację**: rodzina Dominikowej ma piętnaście morgów na troje, więc na Jagnę przypada **pięć morgów** (plus spłata i lewentarz) — a te pięć morgów „rychtyk te pola za jego kartofliskiem”. „Pięć morgów do moich to trzydzieści i pięć! Karwas pola!” — zaciera ręce, marząc o kupnie konia i krowy, o pszenicy na bezrok. Małżeństwo jest dla niego przede wszystkim **sposobem powiększenia ziemi**; lęk przed sprzeciwem dzieci („wrzeszczałyby, juchy”) tłumi mocą posiadacza: „gront mój, wara komu drugiemu do niego”. Rozdział kończy **pierwszy bezpośredni obraz Jagny**,

którą Boryna podgląda przez okno: matka **Dominikowa** czyta głośno przy kominie, a naprzeciw, „w koszuli, z podwiniętymi do ramion rękawami”, **Jagna skubie gęś** — zmysłowy, plastyczny portret dziewczyny, ku której od tej pory zwróci się intryga.

Podglądając „urodną juchę”, Boryna słyszy w nocy zza wody śpiew („Ja za wodą, ty za wodą, jakże ja ci buzi podom”), po czym wraca do siebie. Nocą **nie może zasnąć** — dręczą go troski i myśli o Jagnie (urodna, gospodarna, tyle pola — a zarazem plotki i dzieci). W przejmującym geście **samotności** unosi się, by zawołać do drugiego łóżka po radę: „Maryś! Żenić się czy nie żenić z Jagną?” — i przypomina sobie, że żona od wiosny leży na cmentarzu, a on „jest sierotą, która poradzić się nie ma kogo”; odmawia za nią zdrowaśki.

## Rozdział IV

---

O świcie ruch zaczyna **Kuba** — kulawy parobek (z postrzeloną w kolanie nogą), poczciwy i robotny, który lituje się nad śpiącym Witkiem, odmawia długi pacierz i z **czułością obchodzi zwierzęta** (brzemienną klacz, źróbkę, psa Łapę), spoglądając żałośnie na wiszącą u belki krowę („tyle z ciebie, biedoto, że człek se podje w niedzielę”). Równie tkliwy jest **Witek**, który znajduje pod okapem zmarznięte jaskółki, ogrzewa je za pazuchą, karmi muchami z własnych ust i ożywione wypuszcza — Reymont zestawia tu **dobroć prostych ludzi i dzieci wobec stworzeń** z brutalnością, jaka zaraz nastąpi. **Boryna przyłapuje Witka na zabawie ptaszkami i bije go bezlitośnie pasem** za śmierć krowy („ty znajdku, ty pokrako warsiaska”), aż chłopak, posiniaczony i zakrwawiony, z wrzaskiem ucieka — z jego zanadrza rozsypują się po drodze jaskółki.

Rozdział pogłębia **wojnę Boryny z synem**: na pomstowanie ojca Antek odcina się hardo („ogaćcie se sami chałupę, nama nie wieje”), a Boryna rozmyśla z goryczą o „ciągłej wojnie”, w której „słowa nie można rzec”, i dochodzi do wniosku, że „bez kijaszka, bez twardego” się z dziećmi nie obejdzie. Z dumą podkreśla swoją pozycję (gospodarz „na trzydziestu morgach, z rodu nie bele chto — Boryna”). Wymienia też **zięcia kowala** jako głównego podżegacza, który po cichu wszystkich burzy i domaga się zapisania mu sześciu morgów i morgi lasu: „to niby kiej zamrę! Poczekaj, jucho — póki się ruszam, nie powąchasz ani zagona”. Czule żegnając się z Józką (której zostawia instrukcje co do sprzedaży mięsa — nie borgować, kowala nie wołać, Magdzie wyciąć sztuczkę), wybiera się na sąd. Tak Reymont splata liryczną tkliwość wsi wobec natury z surowością chłopskiego życia i narastającym konfliktem o ojcowiznę.

## Rozdział V

---

Boryna jedzie źróbką do **Tymowa na sąd**. Droga prowadzi przez liryczny jesienny pejzaż (aleja topoli, kościół z mszą, stary bór), a Boryna raz po raz wraca myślą do **ziemi** — taksuje

wzrokiem przyległe do jego pól zboże Dominikowej i swoje cztery morgi lasu, dorzucając w marzeniach Jagusine pięć morgów i morgę lasu. W brudnym miasteczku, obleganym przez handlujących Żydów, ogoliwszy się u Mordki, trafia na **scenę sądową** — barwną panoramę chłopskiej sprawiedliwości. Reymont z humorem maluje krzątanicę woźnego Jacka (zarazem służącego sekretarza) i napływ tłumu; sąd (dziedzic z Raciborowic jako sędzia, ławnicy, sekretarz) rozpatruje korowód spraw: o nieporządki, pobicie chłopaka, woranie się, a zwłaszcza **kradzież leśną w serwitutowym borze sędziego** — chłopci z Rokicin, skazani, głośno protestują przeciw niesprawiedliwości („las był wspólny, serwitutowy”), co odsłania **trwały konflikt chłopów z dworem o ziemię i lasy**.

Główną sprawą jest **proces Bartka Kozła** (z Lipiec) o kradzież świni u **Marcjanny Antonówny Pacześ** — czyli Dominikowej, matki Jagny, którą Boryna wita pod kratami. Reymont daje tu **komiczną scenę**: przesłuchanie głuchego, przygłupiego Bartka Kozła, który nie umie podać swego nazwiska ani wieku, podpowiadanego przez wielką, krzykliwą żonę, raz po raz wypychaną zza krat przez Jacka. Scena ta, prócz humoru, wprowadza **rodzinę Koziolów** (nędzarzy i drobnych złodziei) i wiąże proces z Dominikową, pogłębiając obraz społeczności Lipiec, w którą wpisana jest intryga wokół Jagny.

Sednem sprawy Kozła jest **mistrzowska, absurdalno-komiczna opowieść obrończa Bartka**: utrzymuje, że to świnia (prosiak) sama go „ścigała” nocą za Wilczym Dołem (gdzie „straszy”), brał ją za złego ducha, aż doszła za nim do chałupy — a zjedli ją dopiero, gdy nikt po nią nie przyszedł, bo „głodem morzyć Bożego stworzenia nie można”. Scena obfituje w **wzajemne wyzwiska** Dominikowej i Kozłowej (Magdy); Kozłowa atakuje przeszłość Dominikowej i reputację Jagny („co twoja Jagna wyprawia z parobkami”), na co matka reaguje furią („Wara ci od Jagny!”) — co utrwala krążące o dziewczynie plotki. Świadkowie (Dominikowa, jej syn **Szymek** o nabożnej minie, Barbara Piesek) potwierdzają kradzież; Dominikowa nie żąda kary, lecz zadośćuczynienia za publiczne zniesławienie.

Po przerwie przychodzi **sprawa Boryny z Jewką** — była służąca oskarża go, że jest ojcem jej dziecka i nie zapłacił zasług. Rozgrywa się **groteskowy pojedynek**: Jewka, łkając i rzucając się na kolana, wywodzi swoje krzywdy („dzieciak jego!”), Boryna zaś z pogardą zaprzecza („cygani jak ten pies... żeś suka i latawiec”), wśród śmiechu sali kpiąco komentując jej zeznania. Gdy świadkowie przynoszą tylko plotki, Jewka jako „dowód” obnaża niemowlę („ten sam noskiej kartofel... kropla w kroplę Boryna”). Sąd i tłum wybuchają śmiechem, a Jewkę dosięga **okrutne, bezlitosne szyderstwo gawiedzi** z jej brzydoty i brudu. Pohańbiona kobieta milknie, „nieprzytomnymi oczami psa zgonionego” patrząc po ludziach i „ważąc coś w sobie” — Reymont, łącząc humor z bezwzględnością wiejskiej opinii, pokazuje, jak społeczność miażdży słabszych i jak Boryna, choć zapewne winny, wychodzi z procesu obronną ręką dzięki swej pozycji.

**Dominikowa ujmuje się** za wyszydzaną Jewką, a sprawa Boryny „kończy się na niczym” (zostaje uniewinniony). Odetchnąwszy z ulgą, Boryna domyśla się, że za skargą stoi nie Jewka, lecz **ktoś inny — kowal** (jego zięć), bo Jewka służy u młynarza będącego z kowalem „w kompanii”. Odwozi **Dominikową** wozem do Lipiec, a podczas długiej jazdy przez bór toczy się **kunштowny, podszyty wzajemną kalkulacją dialog**: Boryna, zbyt dumny, by wprost wyznać zainteresowanie Jagną, kołuje wokół tematu ożenku, a przebiegła Dominikowa wyławia jego intencje i podbija wartość córki („nie la takich Jaguś moja”). Rozmawiają o urzędach (Boryna gorzko wspomina, że sołtysostwo przyniosło mu tylko straty i kłopoty, a wójt bogaci się „bez kobietę”); Dominikowa przejrząwszy go („ino ten stary, co się ruchać nie może... widziałam, kiejście worek żyta nieśli”) podsuwa: „zróbcie zapis, a co najpierwsze się wama nie sprzeciwi” — czyli za zapis ziemi każda młódka pójdzie. Boryna oburza się („la zapisu! kiej te świnię!”). Wspólnie **lamentują nad czasami**: dzieci nastają na ojców, „posłuchu nie ma”, kowal i wójt „ludzi buntują a tumanią” przeciw księdzu — „kara boska przyjdzie”. Boryna kwituje: „ten kowal to moja trucizna, chociaż i zięć też”. Pod cmentarzem, gdzie kobiety **miądlą len**, Boryna wysadza Dominikową i wymienia spojrzenia z **Jagną** (w koszuli i czerwonym wełniaku) — jej „modre, ogromne oczy” i uśmiech przejmują go „ciarkami”: „dzieucha kiej łania... w sam raz”.

## Rozdział (niedziela)

---

W cichą, „przesłonecznioną” niedzielę wrześnieową rozgrywa się **komiczna scena nauki pacierza**: parobek **Kuba**, pilnując inwentarza pod brogiem, uczy roztargnionego **Witka** modlitw. Chłopak myli się i ślepi po sadach (marzy o jabłkach Kłębów), a w toku zabawnej wymiany pada chłopska teologia własności: „jabłka są Kłębowe, a ptaszki Panajezusowe... i pole jest Panajezusowe”. Reymont maluje przy tym **niedzielny poranek wsi** — strojne kobiety „niby maki czerwone”, parobcy, gospodarze w białych kapotach „podobni do żytnich snopów” — wszyscy ciągnący ku kościołowi nad złotym od słońca stawem. Tak otwiera się obrazowy, obrzędowy nurt powieści, w którym życie chłopów płynie w rytmie pór roku, prac polowych i świąt.

**Kuba** zanoszą księdzu kuropatwy i otrzymuje całą złotówkę oraz dobre słowo — wzruszony do łez, bo cała wieś przeżywa go „kulasem, darmożjadem”, a tylko ksiądz „uszanuje człowieka”. Z dumą, pierwszy raz, przepycha się w kościele aż przed wielki ołtarz, gdzie stają gospodarze. Reymont rozwija tu **wielką scenę mszy** widzianą oczyma rozmodlonego Kuby — jego **religijną ekstazę** wśród złota, światła i kadzideł. Ksiądz wygłasza **płomienne kazanie** przeciw skąpstwu, pijaństwu, rozpuście i lekceważeniu starszych, wzywając do upamiętania; cała wieś wybucha płaczem i pada twarzami na podłogę. Po sumie rusza **uroczysta procesja** z monstrancją pod baldachimem niesionym przez Borynę, kowala, wójta i Tomka Kłęba — kulminacja obrzędowego, sakralnego obrazu wspólnoty.

Po nabożeństwie wieś gromadzi się na **ementarzu przykościelnym**. W jednej grupie Antek z Hanką, w drugiej rej wodzi **kowal** (zięć Boryny) — duży chłop ubrany „z miejska” (czarna kapota, kaszkiet, srebrna dewizka), „wykpis na całą wieś”, którego ostrego języka Boryna się obawia (są w wojnie o wiano żony kowala). Najważniejszy jest tu jednak **wielki, barwny portret strojnej Jagny**, wychodzącej z matką z kościoła: pasiasty wełniak „mieniący się tęczą mazurską”, czarne trzewiki z czerwonymi sznurowadłami, zielony aksamitny gorset wyszyty złotem, bursztyny i korale na białej szyi, pęk wstążek na plecach. Jagna „rwie oczy parobków” i budzi zazdrość kobiet — sama jednak, „natknąwszy się na wlepione w siebie oczy **Antka, oblewa się rumieńcem**” i pociąga matkę, by odejść pierwsza. Tym wzajemnym, gorącym spojrzeniem Antka i Jagny (i jej zdradzającym rumieńcem) Reymont **rozpala wątek miłosny**, który stanie w jaskrawej sprzeczności z planami Boryny, by pojąć tę samą dziewczynę za żonę.

Niedzielny **obiad u Borynów** (mięso z dorzniętej krowy, kapusta z grochem, rosół, kasza) zaczyna się od rozmowy o księżych książkach i gazetach, lecz przeradza się w **kolejne ostre starcie Boryny z Antkiem**: na pochwałę gazety kowala Boryna wybucha gniewem, a Antek odgryza się, że żyje na ojcowskim chlebie, który mu „ością stoi we grdyce”. Boryna grozi: „szukaj se lepszego, na Hanczynych trzech morgach będziesz jadł bułki... kijek ci dam, co byś się miał czym od piesków oganiać”, a odchodząc rzuca twardo: „**Na wycug do ciebie nie pójdę, nie!**”.

Sednem chunku jest **scena Antka i Hanki w polu** — najpełniejszy obraz ich krzywdy i nieszczęśliwego małżeństwa. Oglądając żyzne, „doprawione” pola ojcowe i swoje uboższe zagony obsiewane za odrobek, **wyliczają z goryczą**, że z całego majątku przypadnie im ledwie osiem morgów (dzielone z Józką, kowalową, Grzelą), gdy „tyle dobra, a to wszystko cudze, nie ich”. Hanka płacze; **głód ziemi i poczucie ukrzywdzenia** zalewają ich „żalem, gniewem i głuchym buntem”. Reymont odsłania zarazem **przepaść między małżonkami**: Antek gardzi „małym pomysłem” żony („kobieta, co żyje jak cień padający od człowieka”) i nie umie podzielić się tym, co go pali; gdy Hanka, łkając, wylicza ukrywane przez ojca pieniądze i krzywdy, zbywa ją i w końcu odchodzi gniewnie. Hanka samotnie wraca z dzieckiem, żaląc się na swój „samsoński” los — bez kum, bez karczmy, bez dobrego słowa.

Tymczasem **Kuba**, kuszony złotówką, marzy pod brogiem o strzelbie (kowal zrobiłby ją za pięć rubli), licząc swoje ubogie potrzeby (kożuch, buty, wotywa za ojców), aż rusza do **karczmy**. Reymont maluje senną, przedwieczorną karczmę (Jankiel za szynkwasem, Jambroży, muzyka), w której Kuba pije półkwaterek wódki, potem harak, stopniowo rozgrzewając się i nabierając śmiałości — choć z chłopską dumą wzbrania się przed borgowaniem („chto borguje, ten się z butów zzuje”). Tak Reymont splata trzy nurty: konflikt o ojcowiznę, dramat małżeński Antka i Hanki oraz prosty, wzruszający los parobka Kuby.

W karczmie **Jankiel kusi Kubę** — najpierw obiecuje po dziesiątce za kuropatkę, potem proponuje cały interes: da mu strzelbę i proch, a Kuba ma znosić zwierzynę (rubel za sarnę), płacąc za proch i „za zużycie fuzji” — **ćwiartką owsa**. Kuba pojmuję, że Żyd namawia go do **kradzieży owsa od koni**, i wybucha gniewem („złodziej to jestem, parchu jeden?”), lecz spity i zadłużony pije dalej. Reymont rozwija przy tym **panoramę niedzielnej karczmy**: gospodarze, kobiety „jak małwy”, muzyka, rekruci pijący „na frasunek” przed poborem; **Franek młynarczyk** (kpiarz i zbereźnik, chełpiący się magiczną władzą nad młynem) z brzemioną **Magdą organiścianką**, której nie chce poślubić mimo nagany księdza; oraz zgryźliwa **Jagustynka**, dogryzająca wszystkim tańczącym.

Ważnym akcentem jest scena w alkierzu, gdzie **kowal** (zięć Boryny) wodzi rej wśród Antka i młodszych gospodarzy, wygłaszając **agitacyjną mowę** o krzywdzie ludu: „dziedzic ci panuje, ksiądz ci panuje, urzędnik ci panuje — a ty ino rób a z głodu zdychaj”; mówi o braku ziemi (dziedzic ma „więcej niż dwie wsie”), o pogłoskach, że „nadawać będą nowe grunta dworskie”, o krajach, gdzie chłopci „się uczą i są panami”. Jagustynka demaskuje go z pasją („Smoluch jucha, łże jak ten pies i tumani, a wy głupie wierzyta... Żydom się wysługuje, przed dziedzicem czapkę zdejmuję”), za co kowal wyrzuca ją z karczmy. Tak Reymont wprowadza **wątek społecznego fermentu i podziałów** (kowal jako wiejski „postępowiec”-demagog kontra zdrowy rozsądek). Chunk zamyka **gorzko-komiczny upadek Kubę**, który zasnął w popiele, a obudzony z przerażeniem odkrywa, że przepił całego rubla (winnego Żydowi); odmówiwszy znoszenia owsa („ocięć Kubów złodziej nie był, to i syn jego złodziej nie jest”), wraca chwiejnie do domu, bije się po twarzy w samooskarżeniu („pijanica jesteś i świnia”) i wreszcie, ogarnięty żalnością, siada na drodze i wybucha płaczem.

## Rozdział V

---

Reymont daje **wielki liryczny opis pogłębiającej się jesieni** — „jesień szła coraz głębsza”. Maluje zamierający, omroczony pejzaż (blade słońce w wieńcach wron, krwawe łzy opadających liści, „smętek konania” w cichych południach), później wstające dni, coraz częstsze deszcze i mgły, samotnego bociana z przetrąconym skrzydłem garnącego się pod bróg Boryny, oraz **działów** wędrownych nawiedzających wieś z opowieściami ze świętych miejsc i dalekich krajów. „Jesień to była, rodzona matka zimy”.

Wieś szykuje się do **walnego jarmarku na świętą Kordulę** (ostatniego przed Godami) — to obraz **gospodarczego życia gromady**: rozważa się, co sprzedać z inwentarza i ziarna, by zapłacić podatki, składki, spłaty i zasługi służbie; biedacy podpasają krowy i „przysposabiają” stare szkapy na sprzedaż. U Borynów trwa wytężona praca (domłacanie pszenicy, podpasanie maciory i gęsi, zwózka suszu i ściółki). Wieczorem przed jarmarkiem rodzina jada razem, po czym Boryna prowadzi z **Kubą układy o dalszą służbę**. Wygłasza przy tym **naukę o**

**porządku społecznym:** „co parobek, to nie gospodarz; każdy ma swoje miejsce, la każdego co innego Pan Jezus wyznaczył — na pierwsze miejsce się nie pchaj” (gani Kubę za pchanie się przed ołtarz). Kuba odpowiada z rzewną tęsknotą, że gdyby był gospodarzem, „baldach by nosił i dobrodzieja pod pachę wiódł”, a tak musi „stać w kruchcie jako te pieski”. W targu o zasługi, ośmielony gorzałką, Kuba twardo żąda „czterech papierków i rubla zadatku”; Boryna, choć niechętnie wyklada grosz, ceni go jako parobka robotnego „za dwóch” i staje na **trzech rublach i dwóch koszulach**. Sceną wzruszającą jest **ostatnia prośba Kuby** — by nie sprzedawać żrebicy, którą sam wyhodował i „kożuchem swoim przyodziewał, żeby nie przemarzła”: „nie sprzedawajcie... złoto, nie żrebica”. Tak Reymont, splatając poetycki obraz jesieni z realiami chłopskiej ekonomii, pogłębia portret Kuby — prostego, godnego człowieka czule związanego ze zwierzętami.

## Rozdział VI (jarmark)

---

Nazajutrz cała okolica rusza na **jarmark do Tymowa** — Reymont maluje **długi łańcuch wozów i tłumów** ciągnących drogą z prowadzonym bydłem, świniami, gęsiami. U Borynów Hanka z Józką gnają maciorę i wieprzka, Antek wiezie pszenicę i koniczynę, a Boryna idzie pieszo i wnet dosiada się do **bryczki organisty**. W ich rozmowie Reymont daje **satyrę na duchowieństwo i organistę**: organista i organiścina narzekają na biedę i ubożenie dworów (mniej dają za spis, kolędę, wotywy), choć Boryna wie, że organista „pieniądze ma i na procenta rozpozycza”. Wychodzi też wątek ich syna **Jasia**, który po szkołach pójdzie „na księdza” (bo „kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie”), oraz wzmianka o synu młynarza Stachu, niedoszłym księdzu, studiującym na doktora.

Po drodze wozy dopędzają **Dominikową z Jagną**; Jasio, ujrzawszy dziewczynę, stwierdza „bardzo ładna”, a organiścina drwiąco rzuca Borynie „to tylko wam posłać swatów, Macieju”. Boryna, zazdrosny i obrażony, w duchu wybucha: „wara ci od Jagusi!”, uznając, że „taki łachmytek miescki” nie będzie się przekpiwał z rodowych gospodarzy — i zamilkwszy, każe się wysadzić. Następuje wielka, **barwna panorama jarmarku** — gwar „jak bór, kiej morze”, błoto po kostki, rzeki ludzi rozlewające się po placu klasztornym, niezliczone kramy (płócienne budy z towarem kobiecym, paciorki, lusterka, wstążki, święte obrazy „bijące blaskiem”, czapnicy, szewcy z szeregami butów). Boryna kupuje **jedwabną chustkę dla Józki** (obiecana za pasionkę) i przepycha się ku targowisku świńskiemu. Tak Reymont rozwija jeden z wielkich obrazów obyczajowych powieści — jarmark jako żywe centrum gospodarczego i towarzyskiego życia wsi.

Panorama rozwija się dalej w drobiazgowym, niemal malarskim wyliczeniu: rymarze, powroźnicy, kołodzieje, garbarze, kożuszarze, stoły uginające się od kiełbas, sadła, słoniny i całych wypaproszonych wieprzy, piekarze z górami bochnów, kramy z zabawkami, piernikami,

kalendarzami, książkami „o zbójach”, piszczałkami czyniącymi ogłuszający jazgot, bednarze, garncarze, stolarze z malowanymi skrzyniami, a wszędy kobiety wiejskie sprzedające „po gospodarsku, bez gorącości” — w przeciwieństwie do krzykliwych Żydów — oraz tłumy zebranych dziadów „jak na odpuszcie”. Na **targowisku świńskim** Boryna odnajduje Hankę i Józkę przy maciorze (rzeźnicy dają trzydzieści papierków, „bo ino w gnatach gruba”); każe sprzedać za trzydzieści pięć i obiecuje kielbasy. Józka przypomina o obiecanej chustce.

Boryna szuka **Antka**, który na wozie targuje się zaciekle z Żydami o pszenicę („powiedziałem siedem, to powiedziałem”; grozi „jak ci, parchu, lunę przez ten pysk”). Antek prosi ojca o złotówkę na gorzałkę — stary „z żalem i markotnością” daje, myśląc gorzko „żyw wszystkich swoją krwawicą”. Pada też wymowna wymiana o pozwie: gdy Boryna idzie do pisarza ze skargą na dwór za zdechłą graniastą, Antek radzi raczej „borowego przyprzeć do chojaka i sprać, żeby żebra zapiszczały” — ale ojciec twardo chce sądowej sprawiedliwości.

Następuje **satyryczna scena u pisarza** — w alkierzu przy szynku siedzi nieumyty, rozczochrany pisarz z cygarem, przy nim śpi przepita, posiniaczona kobieta Franka. Pisarz cynicznie **fabrykuje sprawę**: „Wasza wygrana, jak amen w pacierzu” — namawia, by do zdechłej krowy dorobić jeszcze „chorobę chłopaka z pobicia”, choć Witek jest zdrów. Bierze rubla za skargę, drugiego na marki, trzy za stawanie w sądzie; obiecuje ciągnąć rzecz przez wszystkie instancje „aż do izby sądowej”. Boryna płaci skwapliwie, licząc, że dwór i tak zwróci wszystko z nawiązką — Reymont obnaża **korupcję wiejsko-miejskiego aparatu i pieniactwo chłopca**.

Na rynku Boryna natyka się przy czapnikach na **Jagnę** — kupuje czapki dla Szymka i Jędrzycha. Następuje **scena zalotów**: stary prawi jej komplementy („piękny z ciebie byłby parobeczek”, „mnie byś ta za droga nie była”, „robiłbym ja za ciebie, Jaguś, robił”), patrząc „namiętnie, aż dziewczyna cofnęła się zakłopotana”. Gdy dowiaduje się, że Dominikowa poszła zgodzić parobka, proponuje Jagnie wódkę, a potem prowadzi ją przez ciżbę. Kulminacją jest **ośnienie Jagny straganami** — wstążkami kołyszącymi się „niby tęcza pałaca”, atlasami, aksamitami, jedwabnymi chustkami „złościstymi kiej monstrancja”. Dziewczyna przymierza chustkę i przegląda się w lusterku, tak urodna i promienna, że ludzie szepczą „dziedzicówna jaka przebrana?”. Boryna, przewyciężając skąpstwo, każe jej wybrać wstążkę, lecz Jagna „z żalem” odrywa ręce od zbyt drogich rzeczy. Scena ta ustanawia **psychologiczny rdzeń wątku miłosnego**: zmysłową, łaknącą piękna naturę Jagny i rosnące pożądanie starego Boryny.

Jagna zachwyca się dalej koralami, owija nimi szyję we cztery rzędy — a Boryna z wyrachowaniem wspomina, że po nieboszce żonie leży mu w skrzyni „ze osiem biczów koralu, wielkich jak groch”. Dziewczyna gorzko rzuca „co mi z tego, kiej nie moje”. Gdy stary odchodzi do Antka, **wręcza Jagnie chustkę i tę samą wstążkę**, którą podziwiała — „la ciebie kupilem” — i radzi, by nie „odpijała” wódki od nadsyłających swaty parobków. To **jawny gest**

**zalotów**, większy niż przystoi obcemu; Jagna, olśniona i niedowierzająca, waha się, czy wypada brać dar od nie-krewnego, lecz chowa go za pazuchę uradowana. Po drodze spotyka **Agatę** – starą żebraczkę z otwarcia powieści, krewną Kłębów – siedzącą w błocie pod murem klasztoru. Agata, schorowana („żywą krwią pluję”), wędruje od kościoła do kościoła i marzy już tylko, by „do zwiesny dociągnąć, wrócić do wsi i tam między swojemi zamrzeć”. Jagna daje jej grosz, prosząc o pacierz za zmarłego ojca – przejmujący obraz **nędzy starości na wsi**.

Boryna, wracając, spotyka **kowala** – swojego zięcia (męża córki) – który ostro upomina się o **splątę żony**: czeka cztery lata i grozi sądem. Stary twardo odmawia oddania choćby morga czy gotówki („na wycug do waju nie pójdę”). W szynku, przy podpitym Jambrożym (kościelnym), pada kluczowa zapowiedź: mowa o tym, że Boryna „za trzecią kobietą się ogląda”. Stary nie zaprzecza – „spodoba mi się, to się i ożenię... z wódką poślę choćby jutro”. Przebiegły kowal, licząc na własną korzyść, deklaruje, że to on doradzał Borynie ożenek „żeby upadku w gospodarstwie nie było”, i wyłudza obietnicę **ciolka** pozostałego po graniastej. Rozchodzą się w pozornej zgodzie, lecz „jeden drugiemu nie wierzył ani tyła, co za paznokciem”. Jarmark dobiega końca w deszczu; Borynowie wracają do domu podpici i syci, a stary skąpiec dziwnie dziś hojny. Pijany Jambroży zatacza się topolową drogą, śpiewając w ciemność i pluchę.

## Rozdział VI – jesienne szarugi

---

Powieść wchodzi w wielki **liryczny obraz jesiennych deszczów**. „Deszcze się rozpadały na dobre” – świat zatapia się w „szarych, mętnych szklivach”, siwe lodowate bicze deszczu siekają ziemię, drzewa „trzęsą ostatnimi łachmanami liści i szamoczą się jak psy na uwięzi”, drogi rozlewają się w gnijące kałuże. Reymont personifikuje **wszechogarniający smutek**, który wstaje z przegniłych pól i głuchych borów, wlecze się tumanem przez rozstaje, krzyże „wyciągające rozpacznie ramiona”, opuszczone gniazda i umarłe cmentarze, zaglądając do chat i obór, aż byłoby ryczy z trwogi, a ludzie wzdychają „w nieutulonej tęsknocie za słońcem”. Ten poetycki opis przyrody – jeden z najsłynniejszych w powieści – buduje nastrój i zamyka pogodną część Jesieni, zwiastując ciężki, martwy czas.

W deszczu cała wieś **wycina i zwozi kapustę** z niskich kapuśnisk za młynem; izby i sienie pełne główek, przed domami mokną beczki. U Dominikowej na torfowiskach pracuje **Jagna z Szymkiem** – zmęczona, przemoczona, drwi z niemrawego brata („parobek z ciebie tyli, a miętki w grzbiecie kiej kobieta po rodach”). Z sąsiednich zagonów Józka, Hanka i Kuba rozmawiają o kapuście i swatach (Walek śle wódkę do Marysi), aż **Jagustynka** rzuca cynicznie: „jak się tatuś z trzecią nie ożeni!”. Hanka przerażona („dopiero na zwiesnę matkę pochowali”), lecz Jagustynka bezlitośnie szydzi z wdowców („kuźden chłop jak wieprzak, do nowego koryta ryj wrazi”). Wybucho załążek **konfliktu o spadek**: Józka „my byśwa ojcu nie

dali!", Jagustynka twardo „ojcowy grunt, ojцова wola", Hanka „dzieci też mają prawo swoje". Józia zaprasza Jagnę na obieranie kapusty do Borynów i na **niedzielną muzykę u Kłębów**.

Następuje **kluczowa scena — zapłon namiętności Antka i Jagny**. Gdy wóz grzęźnie w błocie u grobli, z ciemności nadchodzi **Antek** i potężnym ramieniem wtypycha go pod górę. Odprowadza Jagnę ku młynowi przez mokrą ęmę; idą „biodro w biodro, ramię w ramię". Pada pierwsza zmysłowa wymiana — Jagna: „oczy to się wam świecą jak temu wilkowi", a Antek wyznaje, że to **dla niej** zgodził skrzypka z Woli i namówił Kłęba na muzykę: „la ciebie, Jaguś", przysuwając twarz, dysząc. Po jego odejściu Jagnę wstrząsa „dreszcz gwałtowny", „coś jak płomień wichrem przeleciał przez serce i głowę"; ogarniają ją „szalone ciągotki", pcha wóz, aż główki spadają w błoto, a przed oczami wciąż widzi jego „roziskrzzone, pożądlive, palące" oczy — „Smok, nie chłop". Tak rozpała się **centralna miłość powieści**, brzemienna tragizmem, bo Boryna już sięga po Jagnę.

W chacie Dominikowej Jagna zastaje **starego pielgrzyma** („wędrownik od grobu Jezusowego"), który po cichej modlitwie odchodzi. Przybywa **Jambroży** i przynosi mrozącą wieść: zięć („zięciaszek") tak „sprzał kołkiem" swego teścia Bartka **o grunt**, że ten kona — dobrodziej już zaniósł mu wiatyk. To brutalne echo waśni o ziemię (paralela do sporu Boryny z kowalem) i ponura zapowiedź: Jagna gorzko „że kary boskiej nie ma na tych zabijaków", a stara Dominikowa twardo „Przyjdzie, nie bój się, przyjdzie". Kolacja schodzi w milczeniu, przerywanym tylko żartami Jambroża.

Po kolacji, gdy Jagna ze starą siadają do kądzieli (Dominikowa trzyma synów „żelazną ręką", rychtując ich do kobiecych robót, byle Jagusia rączek nie pomazała), Jambroży odsłania prawdziwy cel wizyty — przychodzi **w swaty od Boryny**. Ostrożnie wychwala dziewczynę („dobrodziej powiedział, że i w mieście nie spotkać piękniejszej") i sonduje matkę: oto „gospodarz na całą wieś, rodowy, ale wdowiec". Dominikowa zrazu się wzbrania (cudze dzieci, stary, „za starym nijakiej uciechy dla młódki"), lecz Jambroży zbija każdy zarzut — Boryna jest krzepki, pobożny, „na cudzy grosz niełasy", a nade wszystko **mógłby zrobić zapis** ziemi i pomóc, bo zna urzędników (Jędrzych staje na bezrok do wojska). Wskazuje przez staw na światła Boryny. Stara, w lot **kalkulując korzyść**, mięknie — już w myślach układa, by grunt wypadł „koło żyta pod górką, ze sześć morgów". Jagna, **całkowicie bierna i obojętna**, zdaje się na matkę: „mnie ta wszystko jedno, każecie, to pójdę". Pada zgoda: „Niech przysyłają... zrzekowiny nie ślub jeszcze" — i Jambroży rusza prosto do Boryny.

Następuje słynna **liryczna charakterystyka duszy Jagny** — porównanej do **świętej ziemi**: „jako ta ziemia święta, taka była Jagusia dusza". Leży w niezbadanych głębiach, „ogromna a nieświadoma siebie, potężna a bez woli, bez chcenia, bez pragnień, martwa a nieśmiertelna"; bierze ją każdy wichur i niesie, gdzie chce, a wiosenne słońce budzi ją do „ognia, pożądania i miłości", i „ona rodzi, bo musi". To klucz do psychiki Jagny — istoty żywiołowej, niewybierającej, biernie poddanej naturze; jej obojętność wobec tego, „ten czy

tamten" (Boryna czy Antek — „każden dobry, byle miał Borynowe pieniądze”), płynie z tej elementarnej natury. Wieczór zamyka pieśń starej „Wszystkie nasze dzienne sprawy”, wtórowana przez dzieci.

## Rozdział VII — obieranie u Borynów (przygotowania)

---

Nazajutrz deszcz przechodzi w **ulewę i powódź** — staw wzbiera, trzeba wyrzeć stawidła, rzeka zalewa łąki, kapuśniska sterczą „jak wyspy spośród siwej topieli”. Jagna od rana **rozdrażniona i stęskniona** („cni mi się, że laboga!”), miota się po izbie, krzyczy na chłopaków, obkłada bolącą głowę owsem z octem, wyczekując wieczornego obierania u Borynów. Wpatruje się przez okno w rozchlustany staw (obraz ptaka, co „bije skrzydłami, a ulecieć nie może, jakby wrośnięty w ziemię”) i w dach domu Boryny za wodą. Z nudów wyjmuje świąteczny przyodziewek, przymierza Borynową chustkę i wstążkę przed lusterkiem. Dominikowej nie ma — wezwano ją jako **lekującą i akuszerkę** do rodzącej. Wówczas wchodzi **Mateusz Gołąb** — postawny, harny parobek po trzydziestce, najbardziej z nim wiążą Jagnę plotki o nocnych schadzkach w sadzie. Mistrz wszelkiej roboty (gra na fleciku „aż do duszy idzie”, stawia chałupy, lepi piece), ale rozrzutny pijak. Wrócił po pół roku „i dwudziestu trzech dniach” (dokładnie liczył), ściska jej rękę, „gorąco patrzy w oczy”; zmieszana Jagna zapala światło, by mu się wyrwać. Tak na widowni pojawia się **kolejny adorator** — w przededniu zrękowin z Boryną.

Mateusz, „głodny smok”, chwyta Jagnę wpół i zapamiętale całuje, aż dziewczyna „mięknie i leci przez ręce kiej woda” — puszcza ją dopiero na odgłos kroków. Wraca **rozniewana Dominikowa** i z furią przegania parobka („Wara ci od Jagusi! żeby ją potem na ozorach obnosili jak tę ostatnią!”), porywając żelazny pogrzebac; Mateusz spluwa i wychodzi. Stara obrusza się na córkę, lecz Jagna z płaczem broni swej niewinności — to on ją dopadł, a ona **nie umie się oprzeć**: „niech kto ostro spojrzysz albo ściśnię mocno, to się w niej wszystko trzęsie, moc ją odchodzi” (znów jej zmysłowa bierność). Matka mięknie, pociesza ją i każe stroić się do Borynów, zdradzając przy tym dwie nowiny: **kowal pogodził się z Boryną** (wiodła go ze starym ciołkiem wartym ze piętnaście papierków — co Dominikowej na rękę, bo kowal „pyskacz i na prawie się zna”), oraz że złodzieja **Kozła wypuszczono**, więc trzeba wszystko zamykać.

Centralną częścią rozdziału jest **wieczór obierania kapusty u Borynów** — wielki obraz wspólnej pracy. W rozświetlonej ogniem izbie, pod belkami z wiszącymi kolorowymi „światami” z opłatków, dziewczyny i kobiety siedzą półkolem, obierając główki, parobki znoszą kapustę, a **Antek szatkuje nad cebrem**, rozebrany do koszuli, spocony, rozczochrany i tak urodny, że „Jagna jak w obraz poglądała” — wymieniają płomienne spojrzenia, które podchwytuje tylko czujna Jagustynka, by „opowiedzieć na wsi”. Wśród śmiechów, drwin

Jagustyńki i komicznego upadku Kuby z naręczem kapusty toczą się gawędy. Kłębową daje obszerną charakterystykę tajemniczego **wędrownika Rocha**, który co trzecią zimę staje kwaterą u Boryny: pobożny, uczony (mówi po niemiecku z Żydem, „po zagranicznemu” z panienką), nic nie bierze prócz mleka i chleba, uczy dzieci i rozdaje obrazki święte — ale też **„takie z królami, co to z naszego narodu przódzi wychodziły”**. To zawołany sygnał — pod cenzurą — że Roch jest **ukrytym patriotą, krzewicielem polskości i oświaty wśród ludu**; jego słowa „z narodem mi ostać, nie na pokojach moje miejsce” zapowiadają jego rolę w dalszych tomach.

Wieczór zamyka nowina wpadającej **Nastusi** (siostry Mateusza): **młynarzowi skradziono konie** — wyprowadzono je ze stajni, psa otruto, uprząż znikła. Rozmowa schodzi na bezkarność złodziei i „prawo każdego, by dochodzić swojej krzywdy” — parobek grozi, że złapanego konokrada „ubiłby na miejscu jak psa wściekłego”. Powraca więc **motyw prywatnej zemsty i nieufności wobec sądów**, przewijający się przez całą Jesień.

Do izby wchodzi **podchmielony Boryna** — wesoły, rozgadany, wita wszystkich, lecz nie śmie przysiąc do Jagny (póki jawnie z nim niezmówiona), tylko rad patrzy, jak piękna jest w jego chustce. Obnosi półgarncową **butlę okowitki**, przepijając do każdego; dziewczyny piją wzdragając się i krzywiąc, a tylko **Jagna stanowczo odmawia** („nawet smaku gorzałki nie znam i nie ciekawam”). Gospodarze rzetelnie ugaszczą zebranych obfitym jadłem (ziemniaki z rosółem, mięso z kaszą, kapusta z grochem), a wygłodniały **Kuba** łapczywie wciąga zapachy i wzdycha, marząc, że „pół wołu by zjadł”, po czym je swoją miskę na progu. Następnie zjawia się **Roch** — przyjmuje jedynie mleko i chleb, mięsa nie jada. Jagna wpatruje się weń ze zdumieniem, że to „taki człowiek jak wszystkie”, a był u grobu Jezusowego i pół świata zeszedł; rozmyśla o nieosiągalnym dalekim świecie, lecz wstydy się zapytać.

Syn Rafałów (wrócony z wojska) gra na **skrzypcach** — najpierw pieśni pobożne dla wędrownika, potem rzewną „o Jasiu jadącym na wojenkę”, tak żałośliwie, że czuła na muzykę **Jagna zalewa się łzami** z niewytłumaczonej tęsknoty; zaraz jednak rżnie siarczyste mazury i obertasy, aż izba huczy tupotem i śmiechem. Nagle przeraźliwie zawodzi pies (ktoś przyciął mu ogon drzwiami) — **Roch zrywa się wzburzony** i wygłasza naukę o współczuciu: „i pies stworzenie boskie, czuje krzywdę jako i człowiek... Pan Jezus miał też swojego pieska i Burkiem go przeżywał”.

Rozdział zamyka długa **gawęda Rocha — ludowa legenda o Panu Jezusie i psie Burku**. Jezus, wędrując na odpust do Mstowa przez parzące piachy, znosi cierpliwie utrapienia od Złego, który tarza się w kurzawie i trzęsie borem, by zmylić mu drogę „na zbawienie grzesznego narodu”. W lesie napada Go dziki pies (bo „w ony czas pieski nie były jeszcze z ludźmi pobratane”), szarpiąc szaty; Jezus, choć mógłby go zgładzić, litościwie rzuca mu chleba i prorokuje: „jeszcze ty za to człowiekowi odsłużysz i żyć bez niego nie poradzisz” — pies ucieka oszalały. Na odpuszcie (kościół pusty, lud pije i swawoli w karczmie) tłum z biczami i kłonicami

goni „wściekłego psa”, a ten chroni się u Jezusa. Pan okrywa go **kapotą** i gromi pijane, bluźniercze chłopstwo: „psa się boita, a Pana Boga się nie boita?”, nazywając ich łajdakami, złodziejami i bezbożnikami, których kara boska nie minie. Legenda charakteryzuje **Rocha jako ludowego kaznodzieję-gawędziarza** i wnosi motyw miłosierdzia wobec stworzenia oraz moralną przyganę zepsuciu wsi.

Legenda dobiega końca: skruszony lud pada na kolana i błaga Jezusa, by został, a Pan, ulitowawszy się, naucza ich i obiecuje, że odtąd **pies będzie służył człowiekowi** — pilnował gąsek, owiec i dobytku. Wierny Burek towarzyszy odtąd Jezusowi wszędy, broni Go nawet przed wiodącymi na mękę; pod krzyżem wyje, liże przebite nóżki i jako jedyny trwa po odejściu wszystkich, aż trzeciego dnia zmartwychwstały Pan woła „Pójdź, Burek, ze mną!” — i pies puszcza ostatnią parę, by pójść za Nim. Roch kończy, żegna się i idzie spać. Wzruszone dziewczęta ocierają oczy, lecz cyniczna **Jagustynka** przebija nastrój urągliwą, sprośną kontrbajką „skąd się wół wziął człowiekowi” (Bóg stworzył byka, chłop go „urznął kozikiem” i zrobił wołu) — „taka dobra moja prawda jako i Rochowa!”. W gwarze żartów rysuje się jej **portret wiejskiej cyniczki i wolnomyślicielki** — wdowy po trzech mężach (każdy ją bił), o ostrym języku, niczego nieszanującej, drwiącej nawet z księdza i kościoła („i bez księdza kaźden do Pana Boga trafi, niech jeno będzie pocziwy”).

Wchodzą **wójt z sołtysem**, obwołując na jutro **szarwark** (przymusową naprawę rozmytej grobli za młynem); wójt zauważa, że Boryna zaprosił „same najpierwsze, rodowe dziewczyny z wianem”, i naradza się ze starym na osobności (o swatach). Po rozejściu się gości Jagustynka zaczepnie wytyka Borynie, że „gospodyni mu brak”, a on, zmieszany, szuka oczami Jagny. W ciemnościach pod płotem czeka na nią **Antek** — „odprowadzę cię, Jaguś” — obejmuje ją wpół i przytuleni **giną w mroku**: ich miłosny związek wchodzi w fazę cielesną, w przededniu jej zrękowin z ojcem Antka.

## Rozdział VIII — wieść o zmówinach i ferment we wsi

Nazajutrz po Lipcach **gruchnęła wieść o zmówinach Boryny z Jagną** (wójtowa, mimo zakazu męża, wyaplala ją „pożyczając soli”). Wieść wrze plotką i zgorszeniem: stary dziad bierze trzecią kobietę, a Jagna, co „łachała się z tym i owym”, zostanie pierwszą gospodynią — „jest na świecie sprawiedliwość?”. Powszechnie wróżą **bitki, procesy i awantury**, bo kowal ani dzieci nie darują macosze; stary, poważany **Kłab** orzeka groźnie: „Z tego padnie złe na wieś całą”. Rozmowy obracają się wokół **działów, zapisu i chytrości Dominikowej** („matką jest, to jej psie prawo o dziecko stoić”). Reymont podkreśla pozycję Boryny — pierwszego, rodowego kmiecia „z dziada pradziada”, który choć urzędu nie sprawuje, przewodzi gromadzie dzięki rozumowi i bogactwu.

Tymczasem **dzieci i kowal jeszcze nie wiedzą** o zmównach (boją się nieść nowinę, by w pierwszej złości nie oberwać). W domu Borynów cisza — Antek z Kubą i kobietami pojechali do lasu po susz na opał. **Stary Boryna**, który został w domu, jest od rana dziwnie przykry i rozdrażniony: sprawia Witka, kłóci się z Antkiem, wykrzykuje Hankę i Józkę. Sam na sam z **Jagustynką** (pilną inwentarza) nie znajduje sobie miejsca — pełen niepokoju i niepewności (czy Jambroży go „nie ocyganił za kieliszek”), łązi po izbie, wygląda na drogę i ku chałupie Jagny, wyczekując zmięczenia „kiej zmiłowania”. Drwiące, świdrujące oczy Jagustynki — „czarownica, wierci ślepiami kiej świderkiem” — powstrzymują go od pobiegnięcia do wójta; w końcu, by zająć ręce, bierze się do wbijania kołów pod ścianą.

Jagustynka, krążąc przy nim, wygłasza gorzki **lament o swoim losie** — kluczowy dla jednego z głównych tematów powieści. Pochwala, że stary się żeni i **nie zamierza odpisać dzieciom ani zagona** („Ja ta nie odpiszę ni zagona” — rzekł twardo), bo jej własna naiwność ją zgubiła: oddała dzieciom dziesięć morgów „jak złoto”, poszła na wycug — a dziś jest komornicą na wyrobkach. Sądy pochłonęły jej grosz, synowa wyгнаła ją „za prześpiegi” z własnego gruntu, który sama szczepiła, a dobrodziej pocieszył tylko, że „Pan Jezus ją wynagrodzi” — co kwituje cynicznie: wołałaby „pogospodarzyć, w cieplej izbie pod pierzyną się przespać, tłusto podjeść i uciechy zażyć”. To **przestroga przed oddaniem ziemi za życia** — motyw, który zaważy na całym konflikcie Boryny z Antkiem.

O zmięczeniu Boryna idzie do wójta; **wójt (Piotr) i sołtys Szymon** ruszają jako **dziewosłęby** do Dominikowej, a Boryna z niecierpliwością czeka w karczmie. U Dominikowej rozgrywa się **obrzędowa scena swatów** — tradycyjny, zrytualizowany dialog, w którym narzeczoną „targuje się” jak jałowicę („ze srebra poświęcanego mamy powrózek”). Pyszałkowaty wójt raz po raz powtarza „ja, wójt, to wama mówię — wiercie”; stara gra na zwłokę (Jagna młoda, na dziesięć wiosnę, robotna), aż dziewosłęby ujawniają konkurenta — **sam Boryna**. Dominikowa udaje zawód („Stary! Wdowiec!”), lecz pada warunek **zapisu ziemi** („Mówili Maciej, coby bez zapisu nie było” — „przed ślubem chyba!”). Jagnę nakłaniają do **rytualnego wypicia kieliszka** na znak zgody — upija ǳiebek, resztę wylewa; podają chleb, sól i kielbasę. Po ceremonii Jagna ucieka do komory i **wybuca płaczem** („i ciele beczy, kiej je od maci odsądzają” — kwituje wójt), a rozrzewniona Dominikowa czuje żal „kiej na pochówku”.

Zrękowiny postanawiają odprawić w **karczmie, „po staremu”**. Synów (Jędrzycha, Szymka) — olbrzymich, lecz trzymany przez matkę „żelazną ręką” jak wyrostki — zabierają, każąc wpierw obrządzić bydło. W karczmie **Boryna rzuca się ich witać**, traktuje Jagnę jak już swoją, kupuje za złotówkę karmelki i wtyka jej w garście, obiecując, że „ptasiego mleka by la niej nalazł, krzywdy nijakiej nie będzie”. Jagna przyjmuje wszystko **zimno i obojętnie, „jakby to nie jej zmówny”** — jej jedyna myśl: czy stary da obiecane **korale przed ślubem**. Pije się gęsto arak ze słodką, podpija nawet Dominikowa (wódz dziwi się jej

mądrości) i synowie. Wreszcie stara odciąga Borynę pod okno i wprost oddaje mu córkę: „Wasza Jagusia, Macieju, wasza” — a stary, uradowany, ściska ją za szyję i całuje. Tak **zrękowiny zostają przypieczętowane** — a chłodna obojętność Jagny i jej skryty romans z Antkiem zapowiadają nieuchronny dramat.

Dominikowa natychmiast przyciska Borynę o **zapis**. Stary zrazu się wzbrania („co po zapisie, co moje, to i jej”), lecz matka argumentuje, że to „przespieczność la dziewczyny” przed pasierbami. Zaczyna się **targ o ziemię**: Boryna proponuje trzy morgi koło Łukaszowych, Dominikowa żąda **sześciu najlepszych morgów przy drodze** (tam, gdzie miał kartofle). Stary cierpi — „najlepsze pole moje! sześć morgów to karwas pola, całe gospodarstwo, co by dzieci powiedziały!” — ale ulega i obiecuje zapisać. Postanawia: w sobotę zapowiedzi i wyjazd do miasta, do rejenta. Picie trwa, karczma pełna; Boryna oczadziały z uciechy obłapia Jagnę. Gdy Dominikowa zbiera się do domu, **pijany Szymek się buntuje** („Gospodarz jestem! dosyć matczyngo panowania!”) — matka grzmoci go pięścią w pierś, a zapłakany Jędrzych wywleka go w błoto. Po wyjściu kobiet **Jambroży** majaczy o swej żołnierskiej przeszłości — bagnet „w kałdun”, „sam naczelnik”, komenda „Szlusuj!” — zdradzając w sobie **weterana powstania** (kolejny zawoalowany akcent patriotyczny). Wreszcie wchodzi **młynarz** i otrzeźwia ich nowiną: **dzień sprzedał porębę na Wilczych Dolach** — „naszą porębę sprzedał!”. Wściekły Boryna roztrzaskuje butelkę („wziąć nie damy, jak Bóg na niebie!”); zawiązuje się tu **załążek wielkiego sporu wsi z dworem o las**, wokół którego osnuje się dalsza akcja.

## Rozdział IX — Dzień Zaduszny, męka Antka

---

Kilka dni po zmówinach nadchodzi **Dzień Zaduszny** — szary, martwy, bezsłoneczny. Od rana **biją dzwony**, a niebo zasnuwają **niezliczone stada wron i kawek** ciągnących ku borom — złowróżbny obraz przyrody, czytany przez lud jako znak ciężkiej zimy. Wieś tonie w „żałośliwej ciszy” zadumy nad zmarłymi; ludzie idą do kościoła, wdychają „Mój ty Jezu kochany”. To jeden z wielkich **nastrojowych obrazów** powieści, splatający rytm natury z obrzędem i religijnością ludu.

W domu Borynów „ciszej niżli zazwyczaj, choć siedziało piekło przytąjone” — **dzieci już wiedzą o wszystkim**. W niedzielę padły pierwsze **zapowiedzi**, a w sobotę Boryna u rejenta **zapisał Jagnie sześć morgów**. Wrócił z miasta z podrapaną twarzą (podpity, chciał na wozie brać Jagnę — dostał „pięścią a pazurami”), z nikim nie gada, codziennie przesiaduje u narzeczonej. **Józka popłakuje** cały dzień, a **Antek gorze w coraz sroźszej męce zazdrości** — nie je, nie śpi, twarz mu poczerniała, oczy płoną „jak łzami skamieniałymi”, godzinami siedzi nieprzytomny w bólu. Dom „ogłuchł”, pełen jęków „kieby po pogrzebie”, inwentarz wałęsa się luzem. W stajni tymczasem **Kuba czyści strzelbę**, a Witek wpatruje się

nabożnie; Kuba opowiada o nocnym **kłusownictwie na dworskim** — przepuścił ogromnego rogakza, ustrzelił łanię (odrzut zbił mu ramię), którą musiał dorznąć w obawie przed borowym. Tak ujawnia się **kłusowniczy proceder Kuby na gruntach dworu** — wątek, który jeszcze tragicznie zaważy.

Kuba zaprzysięga Witka do milczenia, daje mu dziesiątkę i obiecuje nauczyć strzelać; wzruszające jest **sieroce marzenie Witka** — bosego, bez butów — by podrosnąć, pojechać do Warszawy „zgodzić się do koni”. Idą razem do kościoła. W natłoku Zaduszek, wśród wrzeszy dziadów, organista z synem Jasiem przyjmują **wypominki** (po sześć groszy lub trzy jajka za duszę). Tu rozgrywa się **przejmująca scena Witka-znajdy**: gdy dociska się do stołu, by podać imiona, uświadamia sobie, że **nie ma nikogo** — nie zna ani matki, ani ojca, podczas gdy wszyscy wokół wymieniają po dwadzieścia imion „za całą rodzinę”. Zdławiony, chowa się pod kropielnicę i szlocha „Matulu! Matulu!”, nie pojmując, czemu on jeden jest sierotą. Lecz zaraz zbiera się w sobie, wraca i hardo podaje pierwsze imiona z pamięci (Józefy, Marianny, Antoniego) — „sierota, to la siebie”. Zmęczony płaczem, zasypia w kościele wsparty o Kubę.

Popołudniu cała czeladź Boryny ciągnie na nieszpory do cmentarnej kaplicy. Reymont rozwija **wielki elegijny obraz nocy Zaduszek na cmentarzu** — rzędy beczek na ofiary (księżę, organistowe, dziadowskie), do których lud składa chleb, ser, słoninę, przędzę i len, szepcząc imiona zmarłych; światełka świec migocą wśród mogił „niby robaczki świętojańskie”, a w mroku łkają pacierze, szlochy i nagłe krzyki rozpacz. Nad wszystkim unosi się kamienna rezygnacja ludu: „Každy umiera!” — jeden z najsilniejszych liryczno-nastrojowych fragmentów powieści.

Kuba prowadzi Witka na **stary, zapomniany cmentarz**, gdzie rozrzuca po zapadłych grobach okruchy chleba: „Pożyw się, duszo krześcijańska” — wedle ludowej wiary kościół zabiera ofiary, lecz pokutujące dusze głodują, a w Zaduszki wracają na ziemię, gdy „Pan Jezus sam chodzi po świecie i liczy, co mu dusz ostało”. Przy bezimiennych, rozsypanych mogiłach „tych, co ich w boru pobili”, Kuba **wyjawia swoją tragiczną historię** — kluczową dla jego postaci. Był synem Magdaleny i Pietra Sochy, furmana dworskiego; wychowany przy pańskich koniach, jeździł z dziedzicami na polowania i nauczył się strzelać (młodszy dziedzic dał mu strzelbę). Gdy „wszystkie szły” — w **powstaniu** — wzięto i jego: przez rok robił, „co kazali”, „niejednego burka zakatrupił” (zabijał Moskali), wyniósł na barkach postrzelonego w brzuch młodszego dziedzica, a potem z przestrzeloną nogą włókł się z listami do starszego pana. Wróciwszy nocą, zastał **dwór spalony do cna, a starszego pana, panią, swoją matkę Magdalenę i pokojówkę Józefkę pobitych na śmierć w ogrodzie**. Kuba okazuje się więc **weteranem powstania i sierotą jego represji**, człowiekiem, któremu zagłada dworu odebrała cały świat — oplakuje ich cicho, łzami „jak groch”, podczas gdy znużony Witek śpi. Dwie sieroty dworu, oboje naznaczone tą samą historią, klęczą razem w zaduszkową noc.

Noc Zaduszek dopełnia się grozą — cmentarz „napelnia się cieniami”, wrony zrywają się z kaplicy, psy wyją po Lipcach, a gospodynie wystawiają na przyzby resztki wieczerzy dla błądzących dusz. W izbie u Antków **Roch** czyta i snuje **pobożną naukę o śmierci**, że umierać niestraszno: „jako ci ptaszkiwie pod zimę do ciepłych krajów ciągną, tak duszyczka do Jezusa podąży” — liryczna przypowieść o śmierci jako wiosnie i przyobleczeniu wiecznym, zamykająca zaduszkowy nastrój.

## Rozdział X — Antek u księdza, spór o las, kłótnia u kowala

Rozdział otwiera nocna rozmowa **Antka z księdzem**, który niespokojnie szuka zbłąkanej ślepej kobyły. Antek przyszedł do dobrodzieja po radę i współczucie w swej krzywdzie, lecz spotyka go **przygana**: nie wolno podnosić ręki na rodzonego ojca („grzech śmiertelny”, „pokorne cielę dwie matki ssie”), niech weźmie się do roboty zamiast „wyrzekać jak baba”. Antek buntuje się gorzko — „sprawiedliwości chcę ino”, a ksiądz: „a pomsty szukasz”; ma już „po grdykę” pokory, bo ojcu „wolno wszystko”, a dzieciom nie wolno dochodzić krzywdy; grozi, że odejdzie ze wsi (ksiądz przypomina o żonie i dzieciach, Antek z goryczą: „całe trzy morgi”). Mijając karcznię, gdzie piją **rekruci** (w niedzielę pognają ich do wojska), Antek odsłania **narastający spór wsi z dworem o las**: dziedzic sprzedał porębę Żydom, a gromada — wbrew chcącemu się procesować Borynie — pod wodzą Kłaba „rąbać nie pozwoli i choćby całą wsią z siekierami i widłami” stanie w obronie lasu. Przerażonemu księdzu Antek rzuca mściwie: „jak się parę łbów dworskich rozwali, zaraz będzie sprawiedliwość” — i ginie w ciemnościach. Tak Reymont zapowiada **gwałtowny zbiorowy konflikt o las**, główną oś dalszej akcji tomu.

W samotnej wędrówce Antka odsłania się jego **udręka** — omija chałupę Jagny, w której „jak zła zadra” tkwi mu pod sercem („ojcowa ona już, ojcowa!”); szarpie nim dziki gniew, chęć „chycić kogo za gardziel i dusić aż do śmierci”, a zarazem **niechęć do żony Hanki** — jej płaczu, pokory, „psich, skamlących oczu” („gdyby nie ona! żeby to był sam!”). Szuka schronienia u szwagra-**kowala**. W rozżarzonej **kuźni** pada cyniczna uwaga o księdzu („uczony, jak wziąć trzeba, ale nie, kiej co dać”). W izbie kowala żona (córka Boryny) i syn ślęczą nad elementarzem (uczy go panienka z młyna, „bo w szkołach w Warszawie była”). Pada istotny **szczęgół prawny**: „póki ociec żyją, zawżdy zapis mogą odebrać” — zapis ziemi można jeszcze cofnąć za życia Boryny. Antek wybucha goryczą, że stary zapisał sześć morgów „obcej”, podczas gdy on z żoną służą „za parobków”, i zapowiada, że nie ustąpi, choćby go z chałupy wygnano. Wchodzi **kowal** i namawia, by „złością ze starym nie wygrał”, aż Antek oskarża go: „Ty z nim trzymasz!” — i wytyka mu wszystko, co tamten wyłudził od Boryny (statki, krowę, gąski, prosiaki, świeżo ciolka). Kłótnia szwagrów („mogłeś i ty brać” — „Złodziej nie jestem ni cygan!”) obnaża **rozbitcie rodziny przez chciwość i walkę o spadek**.

Kowal celnie trafia Antka w żywe miejsce: „Latałeś za Jagną, to ci teraz markotno” („Widziałeś?...” — krzyczy ugodzony). Wchodzi **wójt**, też broniąc Boryny, a Antek łyże go bez pohamowania — „pijanica, judasz, przeniwierca”, oskarżając, że **za gromadzkie pieniądze baluje i wziął od dworu łapówkę** za sprzedaż lasu — i porywa za kij. Po awanturze wraca do domu, w gruncie rad, że ulżył sobie, żałując tylko zwady ze szwagrem.

Nazajutrz kowal, jakby nigdy nic, godzi się z Antkiem i odsłania **przebiegłą intrygę o spadek**: nie wolno staremu przeciwieć się złością (zapis i tak można cofnąć dopiero po jego śmierci) — przeciwnie, trzeba **przychwalać ślub i zapis, iść na wesele**, a przy tym wymusić, **przy świadkach**, obietnicę reszty ziemi dla Antka i dla żony kowala. Prawne „zaczepki”: zapis odwoławczy za życia ojca oraz **cztery morgi maczyny Antka**, które Boryna sieje, lecz mu nie oddał; gdyby dobroć nie pomogła, „sądy radę dadzą”. Kowal posuwa się do podszeptu, by Antek **użył Jagny** do przechylenia ojca — i to dotyka najczulszej rany. Antek, blady, trzęsący się, wybuchą: „Judasz ścierwa, złodziej!” — a kowal ucieka.

Na drodze kowal, wściekły, że Antek przejrzał jego zamysły i może je wydać staremu, postanawia temu **zapobiec**: zawraca, by „przypadkiem” spotkać Borynę (który poszedł zapraszać młynarzów na wesele), a żonie każe wystroić się, wziąć dzieci i iść w południe do Antków — „a jak będzie potrza, beknij, ojcowe nogi obłap i proś”, pilnie słuchając rozmowy. Liczy, że tak czy owak „cosik się udrze la siebie”. Tymczasem Antek, ochłonawszy przy zażartym rżnięciu siczki (Kuba dziwi się, że narżnął „na cały tydzień”), postanawia jeszcze dziś rozmówić się z ojcem. Zagląda na ojcową stronę, gdzie **Roch uczy dwadzieścioro dzieci** czytania — chodzi z różańcem, to ucho pociągnie, to pogłaszcze, cierpliwie wyklada, a dzieci „jak indory” rwą się odpowiadać.

W drugiej izbie **Hanka** gotuje obiad przy swym ojcu, starym, schorowanym **Bylicy** — siwym, trzęsącym się, ledwie żywym. Starzec wyjawia swą **niedolę u starszej córki Weronki** (żony Stacha): zapomina go nakarmić, zabrała mu pierzynę i łóżko, skąpi opału, każdą łyżkę stawy wypomina, wygania na żebry, a nawet wyłudziła grosz chowany „na pochówek”. Oburzona Hanka („Piekielnica! Wzięła pół gruntu i pół chałupy, a taki wycug daje!”) namawia ojca do sądu i zaprasza go na wiosnę do siebie (popasie gęsi, dopilnuje dzieci). Wzruszająca wdzięczność starca — spałby „choćby w oborze, byle u ciebie, Hanuś, byle nie wracać”. To **kolejna tragedia wycugu**, bliźniacza losowi Jagustynki, ukazująca **krzywdę starości i bezdusność dzieci wobec rodziców** — a zarazem dobre, współczujące serce Hanki. Po obiedzie, gdy nadchodzi kowalowa z dziećmi, Bylica cicho zabiera przygotowany przez córkę węzełek i wymyka się.

Boryna nie wraca na obiad; rodzina czeka. **Jagustynka** wpada z nowinami o **przygotowaniach do hucznego wesela** (zaproszono księdza, przyjdą młynarze, „takiego wesela Lipce nie widziały”, ona z Jewką będzie kucharzyć, wieprza już sprawiono) i wyczuwa narastające napięcie. Tymczasem Antek, ogacając ścianę, tonie w **udręce** — miota się między

nienawiścią a obezwładniającym pożądaniem: prześladuje go zjawia rozplamionej twarzy Jagny, jej głos „Jantoś! Jantoś!”, wspomnienia schadzki w sadzie, w lesie, w drodze z miasta; od trzech tygodni żyje „w gorączce”, warował nocą jak pies pod jej chałupą, lecz ona go unika. Najstraszniejsza jest myśl, że **Jagna stanie się jego macochą** — że to „grzech, grzech!”, przed którym serce zamiera „ze zgrozy”. Kłębi się w nim szalone pragnienie, by stanąć ojcu w oczy i wykrzyknąć „nie możecie się żenić, bo ona moja!” — powstrzymywane strachem przed wsią. A ślub już za tydzień.

O zmierzchu (piękny obraz wschodzącego nad lasem czerwonego księżycy w pełni) Boryna wraca, obrządza gospodarstwo i zastaje wszystkich czekających „jak na sąd”. Wybuch **wielka konfrontacja rodzinna o zapis** — punkt zwrotny tomu. Boryna twardo: „Grunt jest mój i zrobię z nim, co mi się spodoba!”; Antek, Hanka i kowalowa domagają się swojego (dziecińska ziemia, matczyzna, „robimy za parobków jak te woły”), grożąc sądami. Kłótnia narasta w **dziką awanturę** — wyzwiska, walenie pięściami w stół, płacz kobiet i dzieci. Boryna lży Hankę („trzy morgi piachu wniosła”), broni Jagny („wara ci od niej!”); Hanka w rozpacz miota na Jagnę i kowalową obelgi „lakudra, włók”. Wreszcie **Antek, nieprzytomny z wściekłości, publicznie ogłasza**: „I ja przywtórzę, że lakudra jest, włók, ja! A spał z nią, kto chciał, ja!” — wyjawiając, że **sam spał z narzeczoną ojca**. Rozjuszony Boryna wali go w twarz, aż Antek, okrwawiony, runie na oszkloną szafkę — i rzuca się na ojca. **Ojciec i syn biją się jak dwa wściekłe psy** — chwytają się za piersi, miotają sobą o łóżka, skrzynie i ściany, tarzają po ziemi, duszą się, a kobiety na próżno próbują ich rozerwać. Tak zazdrość, chciwość i krzywda eksplodują **otwartą, fizyczną wojną między ojcem a synem** — kulminacją całego konfliktu Jesieni.

Sąsiedzi w porę ich rozrywają. Osłabłego, okrwawionego (twarz pociętą o szyby) Antka przenoszą na drugą stronę; staremu nic się nie stało, lecz **gryzie go zarzut o Jagnę** — z początku odrzuca go jako plotki zazdrośników, ale dawne gadania wracają i palą „jak ogień”. Nie może jeść; wałęsa się nocą po wsi, nie wstępuje do Jagny, pije w karczmie do północy z wójtem — i podejmuje jedno postanowienie. Nazajutrz **rozkazuje Antkowi wynosić się z chałupy**: „Chcesz sądu — idź do sądu, a teraz wynoś się!”. Chciał, by Kuba odwiózł ich wozem, lecz **Kuba rozchorował się naprawdę** — leży na werku, jęczy, „kulas go boli”, a Witek ukradkiem nosi mu wodę i pierze w potoku **skrwawione szmaty** (ponure przecucie, że Kuba jest ciężko ranny). Antkowie **wyprowadzają się** — już bez krzyków, w głuchej żalości: Hanka mdleje, Antek pożycza konia od Kłęba (ojcowego nie chce) i przewozi dobytek do **chałupy starego Bylicy** na końcu wsi. Próby zgody (gospodarze z Rochem na czele) spelzają — ani ojciec, ani syn nie ustępują; Boryna drwi „pobróbuje, jak wolność smakuje i swój chleb”, a Antek z groźbą i strasznym przekleństwem odjeżdża, blady „jak papier”, nie obejrzawszy się na chałupę, podczas gdy Hanka wlecze się za wozem z dziećmi, krowami i gęśmi, wyklinając tak, że wieś odprowadza ich „jak procesją”. Wierny pies **Łapa biegnie za Antkami** i nie wraca.

Boryna pociesza zapłakaną **Józię** — teraz ona gospodynią — obiecując trzewiki, kaftan i wstążki na wesele.

## Rozdział XI — dzień wesela

---

Wstaje **dzień ślubu Jagny z Boryną**. U Dominikowej Jagna od świtu nie śpi („już dzisiaj wesele, aż wierzyć trudno”). Matkę przepełniają **gorzko-czułe uczucia** — ostatni dzień z córką, nagły lęk i wątpliwości. Nie boi się o Borynę („dobry człowiek, uszanuje, a Jaguś poprowadzi go, gdzie zechce”), lecz o **pasierbów**: żałuje, że Boryna wygnał Antków, bo „teraz dopiero będą pomsty szukać”, choć gdyby zostali, Antek pod bokiem groziłby „obrazą boską albo czym gorszym”. Lecz już za późno — zapowiedzi wyszły, wieprzek zabity, goście sproszeni, **zapis w skrzynce**. Dominikowa daje Jagnie ostatnie **przestrogi**: szanować Boryny, „z bele kim się nie zadawać”, być z mężem „miętko, dobrocią” (może dopisze gruntu albo da grosza), bo — w jej materialistycznym świecie — „o grunt jeno, o dobro” wszyscy się kłócą, a „święta ziemia” jest wszystkim.

Pada wymowna scena: Jagna nieoczekiwanie **bierze w obronę Antka** — „Maciej jest jak ten zły pies, żeby ich z chałupy wygnać!”. Zdumiona matka przypomina, że to Antek najczęściej na nią wygadywał i grunt chciał odebrać, lecz Jagna nie wierzy i obstaje przy nim: „dobrze widzę, że mu się krzywda dzieje”, „nie jestem jak pies dziadowski, co za każdym idzie”. Podejrzliwa Dominikowa: „czemu jego stronę trzymasz?... może byś mu i zapis oddała?” — a Jagna zalewa się łzami i ucieka do komory. Nowe **strapienie wśliznęło się w serce matki**: jej obojętna na ziemię córka sercem wciąż jest przy Antku — cień, który zawisnie nad całym małżeństwem. Mróz nocny ściał kałuże, lecz dzień wstaje pogodny i przejrzysty — choć złowroźnie „wrony tłukły się koło domów i piałły koguty”.

Nadchodzi sama **niedziela weselna**: nim jeszcze przedzwonili do kościoła, już „pół wsi szykowało się na wesele Borynowe z Jagną”, a między chałupami biegają dziewczyny z pękami wstążek i strojami. Dom Dominikowej, świeżo obielony, **umajony jest jak na Świątki** — chłopaki nawtykali świerczyny w strzechę i wysypali opłotki jedliną, „pachniało jak w borze na zwiesnę”. Wnętrze wyporządkowano galanto: wyniesiono sprzęt, ustawiono długie stoły i ławy, a **Jagna przystroiła poczerńiały pułap i belki wycinankami** — kółkami, kwiatuśkami i całymi obrazkami (psy goniące owce z pasterzem, procesja z księdzem i chorągwiami), tak foremny, „kieby żywe”, że ludzie się dziwowali; nie ma w Lipcach chałupy bez jej strzyżek. Ten szczegół odsłania **artystyczny talent Jagny** — jej wyobraźnię i zręczność, wyróżniające ją spośród wsi. Lecz sama panna młoda **nie czuje w sobie żadnej radości**: krząta się jak senna, raz po raz wychodzi przed dom i „patrzy długo w świat”, łakoma już tylko tańca i muzyki, a poza tym „martwa jesienią i ogłuchła”. Korali, które Boryna dał jej na rozpleciny — osiem sznurków, „wszystkie, jakie mu ostały po nieboszczkach” — nawet nie przymierzyła; „nie

stała dzisiaj o nic", leciałaby tylko „gdzieś przed się, choćby w cały świat". Wszystko ją mierzi, a do głowy wciąż wraca matczyne powiedzenie, że **Antek na nią wygadywał** — nie chce w to wierzyć (mijał ją u stawu i przed kościołem nie spojrzawszy), aż buntowniczo „niech szczeka, kiej taki!" — gdy nagle palące **wspomnienia wieczoru z obierania kapusty** zatapiają ją „całą w ogniu".

Z tego wzruszenia rodzi się znamienna **scena o włosach**: Jagna oznajmia, by jej po ślubie **nie obcinać warkocza**, „bo po dworach i miastach nie obcinają". Matkę oburza ten „miejski wymysł" — gospodarska córka „z dziada pradziada" ma robić, „jak Pan Bóg przykazał", a nie naśladować „dworskie pannice" i „Żydowice"; sypie odstrasżającymi przykładami zepsucia miasta (Pakulanka, co „dzieciaka udusiła i w kryminale siedzi"; Borynów krewniak Wojtek, co „dorobił się" i teraz „po proszonym chlebie chodzi"). Lecz Jagna obstaje przy swoim, a **Jagustynka** dorzuca swój cyniczny komentarz: „Ostaw warkocz, ostaw, zda się Borynie — okręci se nim rękę, ostrzej przytrzyma i mocniej cię kijem zleje" — ponura zapowiedź małżeństwa starego z młodką. (Jagustynka przeniosła się tymczasem na służbę do Boryny, bo Józia nie radzi sobie z gospodarstwem; co chwila zagląda też do **chorego Kuby**, który „tak stęka i jęczy, aże na drodze słyhać" — jego stan się pogarsza.)

Do domu wciąż wpadają **kumy i krewniaczki**, dawnym obyczajem znosząc w podzięcie za prosiny dary (kury, bochen białego chleba, placek, sól, mąkę, słoninę, „srebrnego rubla w papierku"), przepijają ze starą po kieliszku słodkiej i rozbiegają się; Dominikowa „tego się zwija", na wszystko ma oko. Na sumę mało kto poszedł — gniewał się o to dobrodziej — bo „takie wesela nie co niedziela się odprawiają". Po obiedzie, w „przesyconym światłem dogasającej jesieni" dniu, zjeżdżają się goście z okolicznych wsi. Po nieszpórach rusza wielka **procesja weselna**: od wójta wywała się na drogę **muzyka** (skrzypce z fletem, bębenek z brzękadłami, strojone we wstęgi basy), a za nią dwaj dziewczosłęby i **sześciu drużbów** — młodzi, dorodni „kiej sosny", „taneczniki zapamiętałe, pyskacze harde, zabijaki sielne... same rodowe, gospodarskie syny". Wałą środkiem drogi ramię w ramię, w pasiastych portkach, czerwonych spencerkach i kapotach, z pękami wstęg u kapeluszków, krzycząc i przytupując „szumno, jakoby się młody bór zerwał". Chodzą od domu do domu zapraszać weselników, wszędy wynoszą im gorzałkę, a pod oknami drухen śpiewają chórem: „**Wychodź, druhenko, wychodź, Kasieńko, na wesele czas...**". Cała wieś tłoczy się wokół, dzieci biegną „chmarą" przodem. Doprowadziwszy gości do weselnego domu, drużbowie zawracają po pana młodego; rezolutny **Witek**, sam przystrojony we wstęgi, skacze naprzód i biegnie do Kuby.

Rzęsiście zagrali na ganku — i wychodzi **Boryna**, „aż dziw, tak młodo wyglądał": wystrzyżony, wygolony, weselnie przystrojony, „urodny jak mało który", a przez to, że „mocno w sobie podufały i rozrosły", ma „posturę z dala widną i powagę niemałą"; weselo pogaduje z parobkami, najczęściej z kowalem, który „wciąż mu się na oczy nawijał" (intryga kowala trwa w tle). Z graniem wiodą go do Dominikowej, lecz **Jagny jeszcze nie ma** — stroją ją kobiety w

zawartej komorze, a parobcy dobijają się do drzwi, robią szparki w deskach i przekomarzają z druhnami, aż „pisk, śmiechy i babie wrzaski”. Matka z synami przyjmuje **dostojnych gości** — samych rodowych, bogatszych gospodarzy, krewniaków i kumów Borynów i Paczesiów, także z dalszych wsi; narodu się zwaliło, że trudno przejść. Reymont zaznacza z naciskiem **podział klasowy wewnątrz wsi**: „ni Kłęba, ni Winciorków, ni tych morgowych biedot nie było, ni tego drobiazgu” — „Nie dla psa kielbasa, nie dla prosiąt miód!”.

Wreszcie otwierają komorę i organiścina z młynarzową **wywodzą Jagusię** — otoczoną wiankiem strojnych druchen, ona „najśmiglejsza”, „kieby ta róża najśliczniejsza”, cała „w białościach, w aksamitach, w piórach, we wstęgach, w srebrze a złocie”, tak że „się widziała niby ten obraz, co go naszają na procesjach”. Izba przycichła z podziwu — „jak Mazury Mazurami, nie było śliczniejszej”. Drużbowie gruchnęli pieśnią pożegnalną: „**Rozgłaszaj, skrzypku, rozgłaszaj! A ty, Jaguś, ojca, matkę przepraszaj...**”. Następuje obrzęd **błogosławieństwa i przeprosin**: Boryna ujmuje Jagnę za rękę, oboje przyklękają, matka żegna ich obrazem, błogosławi i kropi wodą święconą, a Jagna „z płaczem pada do nóg macierzy”, potem przeprasza i żegna się ze wszystkimi. Kobiety biorą ją w ramiona, podają sobie, aż „popłakali się społem”, a **Józia zawodzi najrzewliwiej**, bo przypomniała się jej „matula nieboszczka”. Tak obrzędowy obraz wesela — przepych, muzyka, śpiew i łzy — splata radość z melancholią, a pod nim cicho tli się martwota i skryty żal Jagny.

Cały orszak rusza pieszo do kościoła. Reymont daje **malarski obraz pochodu w lunach zachodu**: na przedzie gra muzyka, za nią drużbowie wiodą **Jagnę** — „weselną niby ten kierz kwietny”, uśmiechniętą przez łzy, w wysokiej koronie ze złotych szychów, pawich oczek i rozmarynu, z furkocącymi „kieby tęcza” wstążkami, w błękitnym aksamitnym gorsecie wyszytym srebrem i sznurach koralu i bursztynów. Za nią drużny prowadzą **Macieja**, który „jako ten dąb rozrosły... następował po śmigłej sośnie”, rozglądając się niespokojnie po bokach drogi, „bo mu się zdało, że Antka w ciżbie uwidział” (zazdrość nie opuszcza go nawet w dniu ślubu). Dalej idą Dominikowa ze swatami, kowalowie, Józia, młynarze i co przedniejsi, a na końcu „cała wieś”. Zachodzące, „czerwone, ogromne” słońce zalewa drogę krwawym brzaskiem, a barwny tłum — wstążki, pawie pióra, czerwone portki, pomarańczowe wełniaki, białe kapoty — „jakoby ten zagon, rozkwitłymi kwiatami pokryty”, kołysze się i pośpiewuje, gdy drużny zawodzą żałośnie: „**A moja Jaguś, po tobie płaczą... A da na smutek, Jagusiu, tobie**”. Dominikowa przez całą drogę popłakuje, „jak w obraz wpatrując się w córkę”.

W kościele **ślub odbywa się prędko**, bo ksiądz spieszy do chorego; przy wyjściu organista wycina na organach takie „mazury, obertasy i kujawiaki, aż same nogi drygały”. Wracają już bez porządku, rozśpiewani. Dominikowa wybiega naprzód i na progu **wita państwa młodych obrazem, chlebem i solą**, po czym znów się ze wszystkimi obłapia i zaprasza do izby. Następuje wielki **obraz weselnej zabawy**. Najpierw, gdy tylko muzyka gruchnie w sieniach, każdy wchodzący chwytą pierwszą z brzoza kobietę i rusza posuwistym

„**chodzonym**” — pary toczą się dokoła izby „niby ten wąż farbami migotliwy”, godnie przytupując i kołysząc się, „niby rozkołysany zagon dostalego żyta przekwiecony bławatem a makami”, a na przedzie Jagusia z Boryną; światła dygocą, „dom się chwiał” od ciżby i mocy taneczników. Potem muzyka przegrywa obrzędowy **pierwszy taniec dla młodej**: w wielkim kole parobków Jagna tańczy niezmordowanie, „krew w niej zagrała”, oczy się lśnią, zęby połyskują — z każdym musi raz przetańczyć, a wywija tak zapamiętale, że wstęgi chlaszczą po twarzach, a rozdęte spódnice „zapełniały izbę”; parobcy z uciechy walą pięściami w stoły.

Na koniec wybiera **pana młodego** — i Boryna, który tylko na to czekał, „skoczył kieby ryś”, porwał ją wół i rzucił muzykantom: „**Z mazurska, chłopcy, a krzepko!**”. Następuje **popisowy taniec starego** — Boryna hula niezmordowanie, „hołubce bił, aż wióry leciały z podłogi”, okręca i miota Jagną, „że się w jeden kłęb zwarli”, aż wszyscy przycichają ze zdumieniem nad jego krzepą; dopiero gdy mocna skądinąd Jagna „rychło zmiękła i jęła mu przez ręce lecieć”, przestaje i odprowadza ją do komory. Zachwycony **młynarz** bierze go w ramiona: „Kiedyś taki chwyt, bratem mi jesteś — przy pierwszych chrzcinach w kumotry mnie proś!” — i gorąco się bratają.

Zaczyna się **poczęstunek**: Dominikowa, synowie, kowal i Jagustynka uwijają się z butelkami, przepijając do każdego, Józia z kumami roznosi chleb i placki. Pod oknem zasiada „starszyzna” (młynarz, Boryna, wójt, organista, pierwi gospodarze), wśród których krąży arak i piwo, „gęsto przepijają, bo się już brać poczynali w ramiona i sielnie kumać”. W osobnej komorze, godnie rozsiadłszy się po skrzyniach, **gospodynie z organiściwą i młynarzową** cedzą miód i poskubują placek, słuchając, „co młynarzowa rozpowiadała o dzieciach”. Młodzież wysypuje się na mróz przed dom — śmiechy, wrzaski, gonitwy po sadzie, którym starsi przygadują z okien dwuznacznie: „Kwiatuszków szukacie? Byście, dziewczyny, czego innego nie pogubiły po nocy!”. Po izbie chodzą wół objęte, chichocąc i szepcząc sobie na ucho, **Jagusia z Nastką Gołębianką**, a za Nastką wodzi okiem i nadskakuje jej z wódką **Szymek** (brat Jagny). Wystrojony **kowal** „uwijał się najraźniej, wszędzie był, ze wszystkimi pił”, przebiegle krążąc po izbie.

Wśród zabawy Reymont wplata **dwa wątki społeczne** w pijackich rozmowach starszych. Najpierw spór o **szkołę**: napity wójt, waląc pięścią w stół („Wójt wama to mówi, to wiercie!”), oznajmia, że przyszedł nakaz, by uchwalić grosz z morgi na szkołę — lecz gospodarze odmawiają gremialnie, a Boryna kwituje pogardliwie: „Skoły nam takiej nie potrzeba!... w Woli moje dzieci trzy zimy chodziły i na książce pacierza rozebrać nie potrafią — na psa taka nauka! Matki niechaj pacierza uczą”. To **nieufność chłopów wobec narzucanej (rusyfikacyjnej) szkoły**. Zaraz potem powraca, ostrzej, **sprawa lasu**: Szymon donosi, że „las sprzedany Żydy ozechowały i rąbać wnet będą”, czekając mrozów i sanny. Gospodarze wrą — jedni chcą skargi do komisarza, lecz inni gorzko: „komisarz zawsze z dziedzicem trzyma” — więc trzeba „gromadą iść, rębaczów rozpędzić, ani jednego chojaka ściąć nie pozwolić!”.

**Młynarz** (który zawarł z Żydami umowę, że na jego tartaku rznąć będą drzewo) studzi zapal — „nie pora teraz uradzać, po pijanemu łącno wygrażać choćby i Panu Bogu” — lecz gospodarze, przyciszwszy głosy przed nim, umawiają się **zejść u Boryny i coś postanowić**. Tak weselna uciecha staje się zarazem narady gromady przed nadciągającym **konfliktem o las**.

Wreszcie starsze kobiety zaśpiewem („**Zapraszajcie dobrych ludzi do stoła!**”) wzywają na **wieczerę**, a druźbowie odśpiewują żartem. Goście zasiadają „po uważaniu, po majątku, po starszeństwie” — na pierwszym miejscu państwo młodzi — przy stołach wzdłuż trzech ścian; tylko druźbowie i muzycanci stoją, by usłużyć. Po modlitwie organisty (którą jako jedyny „na łacinie się rozumiejący” powtarza kowal) kucharki z druźbami wnoszą „dymiące ogromne donice”, przyśpiewując komicznie („Niesiem rosół z ryżem — a w nim kurę z pierzem!”, „Opieprzone słone flaki, jedźże, siaki taki!”). Jedzą „przystojnie, wolno, w milczeniu prawie”, aż „mlaskanie a skrzybot łyżek zapelniały izbę”. Jedynie **Jagusia jakby nic nie jadła** — utrudzona i rozgrzana, nie może przełknąć mięsa, tylko popija zimne piwo, wodząc oczami po izbie. Boryna ją „niewoli”, bierze w pół i prosi „jak to dzieciątko”, szepcząc miłośnic: „**Jaguś, kumentna jesteś?... Panią se będziesz, Jaguś, panią... dziewczkę ci przynajmę, byś się zbytnio nie utrudzała**” — patrzy w nią tak zakochanie, że całe wesele kpi półgłosem ze starego zalotnika: „Jak ten kot do sperki się dobiera”, „Stary kręci się niczym ten kogut”, „Użyje se jucha stary, użyje!” — aż izba gruchnęła śmiechem.

Zabawa dojrzeła w **swawolę**. Wójt, przechyliwszy się za Boryną, szczypie Jagnę w bok („na chrzestnego mnie proś!”), a podpite kobiety, zaśmiewając się, prześcigają w **rubasznych radach dla młodej**, jak „obchodzić się z chłopem”: grzać mu co wieczór pierzynę, „tłusto jeść dawać, by krzepę miał”, „przypodchlibiać, za szyję ułapiać”, „miętko dzierz, to nie pozna, gdzie go zawiedziesz”. Izba trzęsie się od śmiechu, aż **młynarzowa** napomina, by miały wzgląd na dziewczuchy i dzieci, a **organista** — już niewyraźnie bełkocąc — prawi o grzechu **gorszenia**: „lepiej zabić, niżli masz zgorszyć... jako te niewiniątka zgorszysz, to jakby mnie samego, tak stoi w Piśmie świętym”. Nielubiany we wsi, zbywany jest drwiną („Kalikant jucha, zabawy ludziom broni!”), „O księdza się obciera, to myśli, że święty”), aż wójt rozstrzyga z mocą: „Wesele dzisiaj, to nie grzech się zabawić... i Jezus po weselach bywał i wino pijał” (powtarza to za nim cicho pijany Jambroży, lecz nikt go już nie słucha).

Kolejne dania (kucharki wnoszą je z przyśpiewkami o świni, co „za szkodę płaciła”) rozluźniają język gości, którzy dziwiają się **rozmachowi wesela** („z tysiąc złotych kosztuje!”) i zaraz cynicznie je przeliczają: „Opłaciło się, bo to nie zapisał sześciu morgów... Za tę dziecińską krzywdę se balują”. Rozwija się **długa, złośliwa obmowa** całej rodziny — sednem ideowym chunku. Komentują obojętność Jagny („siedzi jak ten mruk”) i zakochanie „świecącego ślepiami kiej żbik” Boryny, którego określają sentencją „kiej to próchno, moiściewy, kiej próchno!” i wróżą: „nie z tych, co płaczą — do kija się prędzej weźmie”. Najwięcej **plotkują o Jagnie i jej kochankach**: że „niech ino muzyki zaczną w karczmie, to za parobkami ganiać

będzie", że **Mateusz** na to czeka (wygadywał w karczmie, że stary chciał go prosić na wesele, lecz Dominikowa się sprzeciwiła), że **Bartek Koziół wypatrzył ich na wiosnę w boru** (choć ten „złodziej i cygan, z Paczesiową miał sprawę o świnie, ze złości gada"), a teraz „o **Antku** też napomykają, że widywali ich razem, jak się zmaiwali". Powtarza się prorocze przeczucie sprawiedliwości: „**Antkom krzywda się stała i dzieciom, to i kara przyjsć przyjdzie... Pan Jezus nie rychliwy, ale sprawiedliwy**". Nie darują nikomu — szydzą ze starej („piekielnica") i z synów Dominikowej, „parobów pod wąsem", których matka „matczynej kiecki" trzymać każe, nie dając się żenić mimo pięciu morgów, byle „Jagusia rączków nie powalała"; kobiety przygryzają sobie nawzajem (o Marcyczę, Franke, Adama), aż konkludują o Jagnie: „**Jaki korzeń, taka nać — jaka córka, jaka mać!**" (stara „za młodu nie lepsza była").

Po wieczerzy, gdy muzykanci idą jeść, na chwilę robi się „cicho niby w kościele podczas Podniesienia", po czym gwar wybucha jeszcze mocniej. Wybrany podają zaprawiany **krupnik**, reszcie szczerze stawiają okowitę i piwo, aż „ze łbów się kurzy". Tu Reymont wprowadza wielki, **chóralny dyskurs gromady** — splatające się głosy biesiadników, w których wieś wypowiada swoją **filozofię losu, ziemi i wspólnoty**. Sąsiad bratający się z sąsiadem mówi, że wesele jest po to, „bych zawziętość stajała i braterstwo a zgoda rosły między ludźmi" — choćby „na dzień jeden", bo „jutro samo przyjdzie": „Nie uciekniesz przed dolą, chyba pod tę świętą ziemię; przyjdzie, za łeb ułapi, jarzmo na kark włoży, biedą popędzi". Roztrząsają, czemu ludzie, „na braci stworzeni", są „wilkami dla siebie" — jedni winią **biedę** („to bieda podjudza, kłyżni i jednych na drugich rzuca, że gryzą się jak psy o gnat"), inni **Złego**, co „ćmę na naród rzuca" i „dmucha w duszę, aż chciwość i złość rozdmucha". Wspominają z tęsknotą **dawne, sprawiedliwsze czasy** — gdy był „posłuch, poszanowanie starszych i zgoda", gdy „grontu kaźden miał, co mógł obrobić", a o podatkach nikt nie słyszał i „co było dziedzicowe, było i chłopskie" (jechało się do boru i brało „najlepszą sosnę"); dziś zaś las „ni dziedzicowe, ni chłopskie — żydoskie jest abo i kogo gorszego". Całość wieńczy **fatalistyczno-religijna postawa ludu**: wobec nieszczęść (śmierć żony, padłe bydło, pogorzeli) trzeba korzyć się przed „wolą boską" i nie przeciwic, bo „wszystko jest w boskim ręku" — „Pan Jezus wszystkim zasługi szykuje i wypłaci rzetelnie"; „Tym ci polski naród stojał — to i tak ma być aż po wiek wieków. Amen... a cierpliwością i bramy piekielne przemoże". Najgłośniej, choć niesłuchany, prawi swoje pijany **Jambroży**. Ten zbiorowy monolog — pomieszanie krzywdy, religijności, mądrości i rezygnacji — jest jednym z **kluczowych ideowych fragmentów** powieści: portretem zbiorowej duszy chłopskiej.

Wreszcie **Ewka z Jagustynką** wnoszą z paradą przystrojoną **warzāchew**, śpiewając o zapłacie dla kucharek („Po trzy grosze za potrawę... da kuchareczkom dajcie!"), a podochocony naród rzuca na nią nawet srebro. Goście dźwigają się od stołów — jedni na powietrze, inni ciągną dyskursy, jeszcze inni „po ścianach łbem orzą" lub „jak ten baran trykają", bo wieczerza była „rzęsisto gorzalką przeplatana". Za stołem zostają tylko **wójt z młynarzem**, którzy kłóć

się i „skaczą do siebie jak jastrzębie”; Jambroży próbuje ich godzić wódką, lecz wójt go odprawia szorstko („Kruchty pilnuj, dziadu, a do gospodarzy ci zasie”). Na dworze, w **jasną księżycową noc** (staw lśni tak, że widać kręgi „niby węże sunące w cichości”, chwytą przymrozek, szron bieli dachy), młódź gzi się i ugania w opłotkach, aż „dudniało od przegonów”. Późno już — pieją pierwsze kury — gdy w izbie szykują do **tańców**: muzykanci, podjadłszy, zaczynają przegrywać, lecz parobcy są jeszcze „przyciężcy” po wieczery i umykają do sieni podpierać ściany. Jagnę wprowadzają kobiety do komory, Boryna siada z Dominikową na przyzbie, a pozostałe na izbie dziewczyny, by „rozruchać chłopaków”, zarządzają **zabawy w gry** — najpierw „Chodzi lis koło drogi”. Na lisa przebierają w kozuch wełną do góry **Jaśka Przewrotnego** — wyrosłego, lecz głupawego „niedojdę i prześmiewisko całej wsi”, którego wszędzie proszą tylko dlatego, że „jedynak na dziesięciu morgach” — a zajączkiem czynią **Józię Borynianównę**.

Zabawa weselna toczy się dalej w grach i płasach: gromada bawi się w „Chodzi lis koło drogi”, „Przepiórkę”, „Świnkę”, aż wreszcie Tomek Wachnik udaje **bociana** — okryty płachtą, z długim kijem za dziób, klekocze tak zmyślnie, że dzieci gonią go z wrzaskliwą śpiewką „Kle, kle, kle, twoja matka w piekle”, a izba trzęsie się od śmiechu i przegonów. Po godzinie starszy drużba ucisza gości, bo nadchodzi **obrzęd oczepin**: kobiety wyprowadzają z komory Jagusię nakrytą białą płachtą, sadzają ją na dzieży pokrytej pierzyną, druhny niby ją odbijają, a gdy odsłaniają — ma już **czepiec na grubych warkoczach**, jeszcze urodniejsza, roześmiana, jarząca oczami. Cały naród śpiewa „Chmiela” jednym głosem, potem do tańca biorą ją tylko gospodynie, a podpita Jagustynka sypie kaśliwymi przyśpiewkami o pójściu „za wdowca” i wieńcu „z samego jałowca”. Jagusia musi się **wkupować do gospodyń**, tańczyć wrywana z koła oplecionego powróstem z pszenicy (gdzie ją druhny prażą drugimi powróstami), a na koniec młynarzowa z Wachnikową **zbierają na czepiec**: wójt rzuca pierwszy złoty pieniądz, za nim grad srebra i papierków — **ponad trzysta złotych**. Dla bogatej Dominikowej to mucha, ale że tak ochotnie „szkodowali” dla Jagusi, rozrzewniona stara nie może wstrzymać płaczu, każe podawać gorzałkę i sama przepija do kumów „braci rodzonych”.

Potem izba tonie w **tańcu bez końca**. Boryna, jako jedyny nie przystając do żadnej gromadki, chodzi dumny, raz po raz rzuca muzykantom złotówki i wreszcie skacze z Jagną siarczystego oberka „aż dyle zaskowyczały”. Reymont rozsnuwa tu wielki liryczny **hymn do tańca chłopskiego** — krakowiaki drygliwe i swawolne, mazury „długie kiej miedze”, przyciężkie a strzeliste i zabijackie jak sami chłopci gotowi „świat cały sprać i stratować”, obertasy zawrotne, wściekle, a rzewliwe i pełne kochania. Tańce ciągną się łańcuchem przez całą noc; dom śpiewa, trzęsie się, drzwi i okna otwarte na rozcież, a w wyobraźni narratora cały świat — łąki, sady, ziemia i gwiazdy — splata się w jeden ognisty, wirujący korowód. Świt zastaje weselników wciąż tańczących: kto się opił, śpi na przyzbie, w sieni czy pod płotem, a reszta hula do upadłego, póki trzeźwiejsi nie zaczną śpiewać „Zbierajcie się, weselnicy, już nam czas” — czego nikt nie słucha.

## Rozdział XII – Konanie Kuby

---

O świtaniu zmęczony i wyganiany przez Jagustynkę **Witek** wraca do chałupy przez przymrozkowy, ogłuchły od mrozu świt (zmarzłe kałuże „siniały na drodze niby szkła potrzaskane”). W izbie tli się światelko — Roch śpiewa nabożne pieśni. Przy oborze rzuca się chłopcu na piersi ze skowytem **Łapa** — wierny pies, który po wygnaniu Antków powrócił, wygłodzony, lecz łaknący nie jadła, jeno radości. Witek tuli go, zabiera na wyrko, obiecuje odtąd bronić. Ze stajni słabym głosem woła **Kuba**: trawi go gorączka, prosi o wodę. Wypytuje o wesele — ile mięsa, gorzałki, miodu, kiedy przenosiny — i z goryczą rozpamiętuje własną dolę: leży i kona, gdy drudzy się bawią, a on marzył, „żeby choć kosteczkę ogryźć i podjąć raz do sytu”. Pokornie godzi się na wolę boską, lecz ból w nodze rośnie — wkręca się „niby sękaty kije”, piecze żywym ogniem — aż Kuba krzyczy i śle Witka po Jambroża albo Jagustynkę. Daremnie: **wszyscy są pijani** — Jambroży zatacza się po drodze śpiewając jedną śpiewkę i nie słyszy, a Jagustynka, uczująca z kumami przy krupniku, wyrzuca chłopca za drzwi z pięścią na drogę.

Dopiero po śniadaniu, odprawivszy obrządek, Jagustynka zagląda do Kuby — z żartem „ożeń się z młódką, to się wylekujesz”, ale ujrzawszy jego twarz **siną i obrzękłą**, poważnieje: „Księżdz ci więcej potrzeba niżli dochtora... już chory na czystą śmierć”. Radzi posłać po dobrodzieja, lecz Kuba, wstrząśnięty, **odmawia z pokory** — jakże to wieść księdza do stajni, w gnój koński, do niego? „Dobrodziej kochany po pokojach se chodzi, z Panem Bogiem rozmawia” — nie godzi się ściągać go do siebie. Zostaje sam, zapomniany, gdy wieś znów zbiera się u Dominikowej na **przenosiny**. Józka wpada z plackiem, Witek doglądania koni; Kuba zaś leży cicho, dzieli placek z Łapą, głaszcze przychodzącą do wyrka źróbkę i — najpiękniejszy obraz chunku — **rozpoznaje całą wieś samym słuchem**: po skrzypie osi poznaje wóz Kłębów po ściółkę, słyszy starego Pietrasa idącego do karczmy, wykrzykującą Walentową, księżą kobyłę po wodę, i tak myślami chodzi po wsi, żyjąc jej życiem, gdy do stajni wpadają kolejno wróble, świnię, kury i gęsi, które Łapa z uciechą rozgania.

Pod wieczór przychodzi wreszcie **Jambroży**, jeszcze nie wytrzeźwiony. Odwija zeschłe, przykrwione szmaty przywarte do nogi — Kuba wyje z bólu — i odkrywa **łydkę poszarpaną, zaropiałą, nogę spuchłą jak konew**. Kuba wyznaje w tajemnicy: to **borowy go postrzelił**, śruciny tkwią pod skórą „kiej mak”. Jambroży orzeka ponuro, że „kulas na nic już, kosteczki chroboczą”, i pyta z wyrzutem, czemu nie wołał go zaraz — w ranę wdała się gangrena. Tak kłusowniczy postrzał Kuby okazuje się raną śmiertelną, a jego ciche konanie w stajni rozgrywa się w jaskrawym kontraście do hucznej, sytej zabawy weselnej za ścianą.

Kuba wyznaje, że **borowy zasadził się na niego**, gdy z głodu wyszedł na zajęcia, i strzelił z obu luf; błaga, by nikomu nie mówić — sąd by go pozwał, strażnicy zabraliby nie jego fuzję. Jambroży, klnąc na „ścichapkę, co się z dziedzicem zajęciami dzieli”, kozikiem **wydłubuje**

**śruciny i wyciska ropę** (Kuba ryczy, mdleje z bólu), opatruje nogę maścią i szmatami, lecz orzeka twardo: trzeba **do szpitala**, gdzie nogę by **urznęli w kolanie** — wtedy może by wyżył, jak on sam żyje na kuli. Tu zaczyna się **najboleśniejszy dramat wewnętrzny Kuby**. Najpierw chwytą się nadziei („to ino oberznąć bolejące miejsce i byłbym zdrowym?”), ale szpitala śmiertelnie się boi („tam żywcem krają”), prosi, by Jambroży sam mu uciął — za zapłatę, byle nie do miasta, „wolę już tutaj zdychać”. Gdy Jambroży wychodzi po podwodę do wójta, Kuba w samotności pojmuje całą prawdę: gdyby nogę odjęli, **Boryna by go wygnał** — parobek bez kulusa „ni do pług, ni do żadnej roboty”, zostałyby mu pasać bydło albo iść na żebry „pod kościół, jak ten stary trep na śmiecie, zdychać pode płotem”. Ta jasność porażeniem trwogi rzuca go w głęboki, żalospny płacz niemocy „staczającej się w przepaść bez ratunku”, aż przez łzy zaczynają się w nim więc jakieś ciche postanowienia i Kuba zapada w siebie, nieprzytomny na bliskie granie i śpiewy.

A w tym samym czasie wesele **przenosi się do Boryny** — odbywają się przenosiny Jagusi do męża. Wpierw przeprowadzono krowę i przewieziono skrzynię, pierzyny i statki z wiana; potem o zmierzchu, gdy świat zaciągał się mgłami, rusza od Dominikowej pochód: muzyka na przedzie, Jagusię (wciąż po weselnemu strojną) wiedzie matka z braćmi i kumami, za nimi hurmą weselnicy. Idą wzdłuż czarnego, przyduszonego mrokiem stawu, w wilgotnym ziąbie i ciszy, bez dawnej ochoty; dopiero w Borynowych opłotkach druhny zawodzą **złowróbną pieśń** — „A płakała dziewczyna, jak jej ślub dawali... Wczoraj trochę, dzisiaj trochę, a na całe życie płacz!” Na ganku czeka Boryna z kowalami i Józką; Dominikowa wnosi w węzełku chleb, sól, węgiel, wosk z gromnicy i poświęcone kłosy, a gdy Jaguś przestępuje próg, kumy ciskają za nią nici i paździerze, „by zły nie miał przystępu” i wiodło się jej szczęśliwie. Boryna obnosi poczęstunek, kowal mu pomaga, Magda z Józką roznoszą placek z miodem i serem — umyślnie upieczony, by się ojcu przypochlebić.

Lecz zabawa „idzie nietęgo”: goście, choć piją ze smakiem, siedzą osowiali, ziewają ukradkiem i myślą tylko, by się dostać na słomę. Jagusia przebiera się w zwyczajne, świąteczne szmaty i wychodzi ugaszczać, ale **matka nie daje się jej tknąć żadnej roboty** — „Wesela se zażyj, córuchno! Narobisz się jeszcze!” — i raz po raz z płaczem tuli ją do piersi, co wielu dziwi i drażni do przekpinek. Reymont rozwija tu wielki obraz **zazdrości wsi**: kobiety obchodzą dom i przez każdą szparę wpychają zawistne oczy — najlepsza chałupa we wsi, „stancje kieby w dworze”, dwadzieścia obrazów w szklach, obory, stodoła, pięcioro krów i byk, trzy konie, grunt, gęsi, świnie — „Mój Boże, że to Pan Jezus daje takim, co i nie zasłużyły!”; zawiść matek dorosłych córek obraca się w obmowę reputacji Jagny („bo wstydu nie ma”, przeciwstawiona ich cnotliwym Ulisiom).

Zabawę rozrusza dopiero **wójt**, spóźniony, bo odstawiał rekrutów do powiatu: pije, rozprawia z gospodarzami i sypie rubasznymi żartami z „młodych” („pan młody kiej ściana, młoducha niby sukno czerwone”, „rzuć kamuszkim w krzaki, a zawždy ptaszek wyfrunie”), aż Jagna ucieka na

drugą stronę. Gorzałka i wójt robią swoje — tańce gęstnieją, śpiew i przytupywanie rosna; **Nastka Gołębianka** umównie i czule wodzi się z **Szymkiem Paczesiem** (Dominikowa z niepokojem naglądająca do syna). Zjawia się **Jambroży** i w słownym pojedynku z wójtem sypie przypowieściami o wodzie i wódce („Chrzeszt przyjmuj wodą, ślub polewaj wódką, a śmierć płakaniem”), przepija „jeden za pierwszą żonę, a dwa za drugą — że wczas pomarła, bym se poszukał trzeciej”; kobiety swatają go z Jagustynką, a izba trzęsie się od śmiechu z jego cygaństw i ciętej Wachnikowej. Wreszcie wciągają z sieni **Jankla** — częstują wódką, każą tańczyć „żydowskiego”, lecz Żyd cicho wymyka się na podwórze i **idzie do Kuby odebrać strzelbę** — nikt nie dostrzega jego wyjścia, a wesola wrzawa toczy się aż do wieczery, podczas gdy o ścianę dalej rozstrzyga się los konającego parobka.

Po żartobliwych przekomarzaniach goście zasiadają wreszcie do stołów (Dominikowa z synami w środku, druhny z družbami osobno), a **Boryna z Jagusią posługują i doglądają**. Jagna **ołśniewająco wciela się w rolę gospodyni** — każdego z osobna prosi i nęci jadłem, mili urodą, aż parobcy wodzą za nią tęsknymi oczyma, a matka „rośnie z kuntentności”. Boryna dopędza ją w sieniach, ściska i całuje: „gospodyni moja kochana, kiej dworska pani!” — a Jagna czuje, jak „rządy same jej w ręce idą”, rośnie w niej powaga i harność. Jagustynka rzuca jednak **cyniczną przepowiednię**: będzie gospodynią „póki jej stary nie obmierznie”, aż „ktoś mocniejszy” od Boryny i Mateusza zmusi ją, by „ganiała za parobkami” — złowróźbna zapowiedź jej losu.

Równolegle dopełnia się **wstrząsająca śmierć Kuby**. Roch znajduje go (zaalarmowany przez psa Łapę) leżącego w poprzek progu stajni, zbroczonego krwią: ze strachu przed szpitalem (gdzie groziła amputacja) **Kuba sam odrąbał sobie siekierą nogę w kolanie**, wierząc, że tak się wyleczy. Przy okrwawionej siekierze i taczalniku leży, blady, wykrwawiony — a przecież spokojny, niemal **blogi i dziecięco rozradowany**: nie czuje bólu, „zdrowszym”, przechwala się, jak dobrze naostrzył siekierę i „dziabnął w samo jabłko”, marząc, że nabierze sił, pójdzie na wesele i do tańca. Jambroży, opatrując nogę, orzeka, że „do rana wykipi”. Brak księdza (pojechał do dworu w Woli), więc **Roch rusza nocą konno po niego**, każąc Jambrozemu pilnować chorego — lecz ten wnet zapomina i wraca do butelki.

Do umierającego przychodzi tylko pocziwa **Józka** z miską i wódką. W rozdzierającej scenie Kuba wypija wódkę, lecz **jeść nie może** — „tyle kielbasy, tyle mięsa, a nie mogę, całkiem nie mogę” — chowa jedzenie w garści pod słomę, płacząc „jak dzieciątko ukrzywdzone”, podczas gdy Łapa po cichu obgryza mu kielbasę z ręki. Do końca troszczy się o zwierzęta — niespokojną, żrebną klacz **Ceśkę** („biedota kochana, a ja nic nie potrafię pomóc”) — i wypytuje o wygnanych Antków (Józka zaniósła im jedzenie, lecz Antek ją wypędził). Gdy z chałupy gruchnęła weselna muzyka, **duśza Kuby z wolna uchodzi** — Reymont snuje **liryczną wizję jej odejścia**: jak „ptaszek Jezusowy” krąży jeszcze nad świętą ziemią, między żywymi, aż mocą i miłosierdziem Pańskim niesie się „na pola wiośniane, Boże ugory wieczną światłością oprzędzone”, do

„kościół świętego, nieśmiertelnego, Bożego”, gdzie „wieczny dzień”. Wierny parobek-sierota **kona samotnie w stajni**, gdy o ścianę dalej szaleje weselna hulanka — przejmujący kontrast, jeden z najtragiczniejszych obrazów powieści.

Wesele tańczy do świtu jeszcze ochotniej niż wczoraj — hulanka „wre jak ukrop”, aż o brzasku zaczyna prószyć śnieg. Goście rozchodzą się (poprawiny zaplanowano na wieczór w karczmie), a drużbowie z druhnami żegnają młodych pieśnią „Dobranoc państwu młodym”. W tej samej chwili **Kuba „składa duszę pod święte Panajezusowe nóżki”** — umiera, gdy gaśnie wesele. Tak symbolicznie **zamyka się Tom I „Jesień”**: życie i śmierć, ślub i pogrzeb splecione w jednym rytmie wsi.

## Rozdział I — nadejście zimy

---

Tom drugi otwiera **potężna, rozbudowana uwertura przyrody** — „Nadchodziła zima...”. Reymont maluje zimę jako „srogiego, głodnego zwierza”, który długo „barowa się z jesienią”: martwe, sine dni, nawiedzone noce pełne wycia psów i zjaw, ogromne czerwone słońce zapadające „niby kadź roztopionego żelaza”. Po świętej Barbarze nadlatują **pierwsze zapowiednie wiatry**, a po nich wielka **wichura** — w jednym z najświetniejszych opisów powieści chmury nadciągają ze wszystkich stron „jak potworne łby” i „czarne góry”, świat czernieje, lęk pada na wszelkie stworzenie, aż wreszcie wichry „rwą się z łańcuchów” i rozdzierają niebo. Wiatr hula niemal tydzień, czyniąc szkody (obalone płoty, zerwane dachy — wójta, Bartka Kozła, młyna, dwadzieścia topoli na drodze, Jaśka Przewrotnego zwiąło z mostu do stawu); Lipce zamierają, ludzie kryją się po chałupach, chłopci młóćą cepami, mróz ścina rzeki i staw. Przed świętą Łucją przychodzi odmiana: wichry „zdychają”, a z cichego, nisko zwisłego nieba zaczyna **padać gęsty śnieg** — przez całą noc, aż okrywa świat „modrawą białnością” na trzy piędzie i zapada uroczysta, głucha cisza, „jakby przed cudem”. Ta liryczna symfonia zimy ustanawia **nastrój i rytm całego drugiego tomu**.

Śnieg sypie dwa dni i dwie noce, zasypując chałupy „jak śniegowe kopce”, wyrównując drogi z polami, grzebiąc staw — aż wieś budzi się do **radości zimy**: przekopują ścieżki, dzieci szaleją, lepią bałwany, biją się śnieżkami i zjeżdżają na saneczkach, tak że Roch musi przerwać nauczanie. Po trzecim dniu śnieg ustaje, niebo chmurnieje, noc zapada „zakrzepla i martwa”.

Akcja przenosi się do **nędznej chałupy Bylicy**, gdzie gnieźdzą się wygnani **Antek z Hanką**. W zimnej, przegniłej izbie (od Stachów dobiega ciągła kłótnia okrutnej Weronki) Stacho proponuje Antkowi zarobek przy młóccie u organisty — lecz **Antek dumnie odmawia** („u organisty wyrabiał nie będę”). Hankę ogarnia rozpacz: żyją „ziemniakami ze solą”, grosza nie ma, Jankiel już nie borguje, trzeba będzie **sprzedać krowę**, a mąż „robić nie chce” — gdyby była chłopem, „kulasy by po łokcie urobiła”, byle krowy nie sprzedać i dotrzeć do wiosny. Między małżonkami panuje **głuche, bolesne milczenie** — trzy tygodnie po wygnaniu, a żadne nie przeboleło krzywdy.

Reymont kreśli **psychologiczny portret wygnańca**: Antek nie nosi już słodkich wspomnień o Jagnie (myśli o niej z pogardą — „kobieta jako pies zwleczony, pójdzie za każdym”), całą nienawiść skupia na **ojcu-krzywdzicielu**, przesnuwając przez serce „rózaniec bolesny” doznanych uraz. Najbardziej rani go duma: cała wieś odwróciła się od niego „jak od

zapowietrzonego", choć inni biją się z ojcami (Wachnik, Płoszka) bezkarnie — „na kogo Pan Bóg, to i wszyscy święci”. Żyje w gorączce zemsty, nocami błąka się po drogach knując odwet, do roboty się nie bierze. Naprzeciw stoi **samotne cierpienie Hanki** — cały ciężar biedy na jej głowie, a od męża żadnego ciepła: traktuje ją „jak drewno”, „jak obcy”. Tęskni choćby za ostrym słowem, byle nie za tym lodowatym milczeniem; pragnie go pocieszyć, lecz nie śmie — jej małżeństwo to „gorzki piołun” zamiast „miodu”. Tak Reymont pogłębia **dramat zubożałej, wyobcowanej pary**, w której krzywda i pycha zatruwają nawet bliskość.

Hanka, szlochając nad krową przy żłobie („i ciebie zbraknie, żywicielko nasza”), zbiera się, by wreszcie wygarnąć mężowi wszystko — lecz jego smutne, zaczerwienione oczy rozbijają jej gniew. Następuje **rzadka chwila czułości**: rozmawiają łagodnie o konieczności sprzedaży, a Hance „staje dusza” z nadziei i miłości na dobry ton męża. Antek odkopuje z głębokiego śniegu kopiec z ziemniakami (nieprzemarznięte). Nadchodzą **Żydzi-handlarze** (gonieni przez psy) i rozgrywa się **rozdzierająca scena sprzedaży krowy** — bydłatko ryczy żałośnie, rwie się z postronka, a Hanka z dziećmi wybucha lamentem „jak na pogrzebie”. Po zaciętym targu (Hanka żąda trzystu złotych, Żydzi dają trzydzieści rubli) staje zgoda na **czterdziestu rublach** i dwóch złotych „postronkowego” dla Bylicy. Krowę odprowadzają do sań pod karczmą; Hanka nie może się od niej oderwać, klnąc handlarzy.

Przy rozłożonych na stole pieniądzach wybucha **gorzka kłótnia**: Hanka rozpacza nad ostateczną ruiną („jak te ostatnie komorniki, ani kapki mleka”), a Antek chowa pięć rubli do pularesa i oznajmia, że **idzie „we świat” szukać roboty** — „gnił tutaj nie będę”. Z dumy nie pójdzie na wyrobek ani do chłopów, ani do „ciaracha” organisty; zamierza zaciągnąć się na służbę do **dworu** (choćby na rataja od Godów), byle uciec od wsi, od litościwych spojrzeń „jak na parszywego psa” i od krzywdy „na oczach”. Przerazona Hanka błaga, by jej samej nie zostawiał, lecz Antek lodowato („Cóż to, ceckał się z tobą będę?”) trzaska drzwiami i odchodzi. Idzie rażno, **podniecony nagłą tęsknotą za szerokim światem**, nowymi wsiami i innym życiem — „Dola go rzuciła we świat” — podczas gdy Hanka, porzucona, zanosi się płaczem pod ścianą, a Weronka wygląda przez okno. Tak Antek **opuszcza żonę i dzieci**, gnany pychą i niepokojem, pogłębiając ich nędzę i osamotnienie.

Na topolowej drodze Antek wymija nadjeżdżające sanie — to **Boryna z Jagusią**, roześmiani, pędzą w kurzawie śnieżnej. Antek i Jagna **wpijają się w siebie oczami** na jedno mgnienie — i sanie znikają, lecz on stoi „skamieniały”, a jej modre oczy „jak lnowe kwiatki” odtąd go prześladują, gasząc mu duszę. Oszołomiony, zawraca do karczmy, gdzie Jankiel donosi, że wieś gromadnie ruszyła **do sądu** — sprawa z dworem o krowy i pobitych pastuchów (Boryna pojechał przodem). Antek pije kwaterkę po kwaterce, ścigany wizją błękitnych oczu Jagny, które „kołują i chwieją się po karczmie”; w końcu, pijany i przerażony, roztrzaskuje butelkę, grozi Janklowi i wybiega bez zapłaty.

## Rozdział II – Hanka sama

---

W mroczny, mroźny dzień **Hanka samotnie trwa w nędznej chałupie**, niespokojna o Antka. Toczy zza ściany kłótnię z **Weronką** (o pomyje, świnie, sprzedaną krowę) i pali się w niej **zawiść** – porównuje swój „chlew” do ciepłego, czystego domu Boryny, gdzie Jagna żyje w dostatku (korale po nieboszczce, wełniaki, Jagustynka za nią robi, wysypia się i pija herbatę) – i wybucha przekleństwem „złodziej, lakudra, tłuć!”. Wzruszający jest **stary Bylica**, który mozolnie zasypuje śniegiem kopiec ziemniaków, marząc o dwóch złotych „postronkowego” (kupiłby wnukom organki, sobie tabaki) – lecz Hanka, z biedy, **zabiera mu i te grosze** („nie potraza wam, jeść macie”), a starzec pokornie przytakuje, odwracając się ze łzami.

Wieczorem, obrządziwszy wszystko, Hanka idzie do wsi pospłacać długi, postanawiając **nie puścić Antka „we świat”** i samej znaleźć mu robotę. Reymont kreśli tu jej **zakorzenioną, mocną naturę** – przeciwieństwo niespokojnego męża: „Z tegom wyrosła i jak ten wiater nie będę się tłućła po świecie... tu mnie Pan Jezus dał na świat, to tu do śmierci ostanę”. Nie pójdzie po proszonym – weźmie się do przędzenia i tkania, byle „biedzie się nie dać” i dotrwać do wiosny. W karczmie płaci Jankłowi, który pomaga jej liczyć i częstuje wódką, lecz **przebiegle milczy o długi Antka** (bo „co tam kobiecie wiedzieć o chłopskich interesach”). Tak kontrastują dwie postawy małżonków: **Antek rwący się w świat – i Hanka twardo wrośnięta w ziemię i wieś**.

Jankiel proponuje Hance robotę (zwózka drzewa przy tartaku) i chce kupić jej gęsi – odmawia. Idąc nocą przez wieś, Hanka trafia pod dom organisty na **wygnanie Magdy** – służącej, którą organiścina z furią wypędza w mróz, bo dziewczyna **zaszła w ciążę** (poród zaskoczył ją w oborze przy dojeniu) i okryła dom wstydem. To kolejna **kobieta zhańbiona i wyrzucona** „jak pies na drogę”. W izbie organista piecze **opłatki** na Gody (chłopak je obcina, w głębi brzęczy klawikord – lekcja sieroty-organisty Michała), a organiścina pokazuje Hance wytłoczone na opłatku sceny Bożego Narodzenia. Hanka, pierwszy raz od trzech tygodni, wylewa swoje żale; gospodarze współczują (ostrożnie milcząc o Borynie), a przemyślna organiścina daje jej **robotę – sto funtów wełny do oprzędzenia** – oraz mąkę i kaszę na odrodek. Pokazując bogatą komorę (zboże, słonina, przędza, płótno, sery, bochny), budzi w Hance **zawiść** – „kto ma owce, ten ma, co chce”, a organista „precentami zdziera”.

W drodze powrotnej Hanka czuje „wilczy głód pracy” i postanawia nie napraszać się ludziom (pomna słów Antka, że tylko „użalać się będą jak nad zdechłym psem”). Przechodząc zamrzniętym stawem, **przystaje wprost domu Boryny** i z bólem wpija oczy w światła w oknach: „to nasze, nasze... jak pies warowała będę, czy Antek chce, czy nie... ociec nie wieczny, może się co przemieni” – utwierdzając swą **wolę pozostania i walki o spadek dla dzieci**. Reymont uprawia tę scenę w przepiękny obraz **mroźnej, gwiazdzistej nocy zimowej**. Spotkaną **Nastkę Gołębiankę** (niesie kolację Mateuszowi) wypytuje o nowiny: Mateusz

pracuje teraz w **tartaku** przy młynie (5 złotych dziennie), kowal („ten judasz”) trzyma w lesie spółkę z Żydami i oszukuje ludzi, a **poręby już rąbią** — choć wójt, sołtys i bogacze trzymają ze dworem przeciw gromadzie. Hanka dociera wreszcie do kuchni młynarzów, gdzie wita ją **młynarzowa**.

Popędliwy **młynarz**, choć wymyśla Antkowi od wałkoni, **daje mu robotę przy tartaku** (ciężka, pod pilami, dwa złote piętnaście groszy dziennie). Lecz wprost, „z mostu”, wyjawia Hance bolesną prawdę: „źle pilnujecie swojego — chłop ma żonę i dzieci, a za drugimi się ugania... **za Jagusią lata, cała wieś o tym wie**". To dla Hanki cios — w drodze powrotnej słowa „za Jagusią lata” tłuką się w niej „jak ptak przetrącony”, budząc rozpacz i zwątpienie w siebie („taka urodna, spaśna, a ja chuchro, skóra i gnaty — serca dla mnie nie ma”). Przędzie do pierwszych kurów, a lzy zamarzają jej na wełnie „w krwawy różaniec boleści”. Nazajutrz jednak wstaje **spokojniejsza** — nie czas jej na turbacje „jak jakiej dziedziczce”; modli się do Matki Bolesnej, ślubuje pielgrzymkę do Częstochowy i kamień wosku, i z ulgą bierze się do przędzenia. Antek wraca wieczorem zbiedzony, lecz czuły (przynosi dzieciom bułki, pomaga przy obrzędku), tak że Hanka niemal zapomina o podejrzaniach — choć on nie mówi, gdzie był (naprawdę tylko się wałęsał).

Wieczorem przychodzi Stach, a potem niespodzianie **stary Kłęb** — **pierwszy człowiek ze wsi od czasu wygnania** — co Antków szczerze wzrusza. Rozmowa schodzi na mróz i na **wilki**, które już podchodzą pod wieś (podkopały się pod chlew wójta — znak ciężkiej zimy); rozwija się też **wątek lasu**: dziedzic z Woli ze złości nie chce najmować Lipczan do poręby, sięgając po tańszą biedotę z Woli, Rudki i Dębicy. Na pytanie „a jak nasz bór zaczną?” Kłęb odpowiada twardo: „**Nie damy! Pobarujemy się! niech dziedzic zobaczy, kto mocniejszy — on czy cały naród!**” — formułując **zbiorową wolę obrony lasu**. Bylica ostrzega przed podstępem dziedzica. Życzliwy Kłęb na odchodne ofiaruje sąsiedzka pomoc.

Po jego wyjściu Antek wyznaje (kłamliwie), że roboty nie znalazł, lecz oznajmia, że **postanowił zostać we wsi** — „nie będę się tłukł jak pies bezpański”. Uradowana Hanka mówi mu o robocie w tartaku. W **gorzko-słodkiej scenie nocnej** Hanka, wyzbyta podejrzeń, z miłością i oddaniem tuli się do męża — lecz Antek leży bezsenny, a **z księżycowej ciemności znów patrzą nań modre oczy Jagny**: tak blisko żony ciałem, a sercem wciąż przy tamtej. Na jej czule „Jantoś, pójdziesz jutro do roboty?” odpowiada machinalnie „może i pójdę, trzeba” — gdy Hanka szuka jego ust, on nie drgnie, wpatrzony w modre oczy Jagny.

### **Rozdział III — Antek w tartaku, wrogość z Mateuszem**

---

Młynarz przyprowadza Antka do **roboty w tartaku**, gdzie rządzi nim **Mateusz** — i to jest dla syna Boryny upokorzenie nie do zniesienia: zwykły parobek przewodzi mu, „w co lubi”. Pracuje w parze ze starym, gadatliwym **Bartkiem**, który sypie ludową mądrością (m.in. o ostrzeniu

siekiery — „z żelazem jak z człowiekiem”). Mróz, śnieg i odwilż, ciężka praca ponad siły — Antek z dnia na dzień się wzwyczajają, lecz w obiad je suchy chleb na mrozie, byle nie natknąć się w młynicy na znajomych, co cieszyliby się z jego poniżenia. Hanka troskliwie mu dogadza (ucisza dzieci, chodzi bosy, grzeje mleko).

Najbardziej **piecze go zwierzchnictwo i ciągle docinki Mateusza** — a na samym dnie tej złości tkwi **Jagusia**: obaj od wiosny chodzili za nią na zaloty, sekretnie rywalizując, lecz Mateusz mógł się chełpić miłością jawnie, a Antek musiał kryć swoją — stąd „głucha, pałaca zazdrość”. Nigdy nie byli przyjaciółmi (każdy ma się za najmocniejszego chłopca we wsi), a teraz **nienawiść rośnie z dnia na dzień** — po tygodniu mijają się bez słowa, „jak dwa wilki”. Mateusz nie jest zły (hojny, szerokiej ręki), lecz zarozumiał i próżny bawidamek, rad, że Boryna „pokornie patrzy jak trusia, byle roboty nie stracić”. Wieś gada, że Antek się upokorzył — choć przewidują, że nie daruje i „spierze Mateusza na kwaśne jabłko”. Antek dusi w sobie groźbę: „Przyrządzę cię, ścierwo”.

Mądry **Bartek** próbuje go studzić: Mateuszowi „płacą za to, by poganiał — jak ten piesek, co strzeże chudoby”; „z wolna trza wszystko, a i Pan Jezus mógł świat stawić w jeden dzień, a wolał bez cały tydzień, odpoczywający”. Na pytanie, gdzie był latem, Bartek snuje **barwną, komiczną gawędę** o swym wędrownym życiu majstra-cieśli: rzucił budowę dworu, ruszył na odpust ku Kalwarii (dwa tygodnie, za Kraków), nie doszedł, bo zatrzymał się we wsi stawiać chałupę gospodarzowi, który chciał go ożenić z owdowiałą siostrą (pięć morgów) — rubaszny portret brzydkiej, lecz przytulnej wdowy (łysawa, koślawa, świdrem patrzyła, „gładka jak bochen przez myszy obgryzany”) — aż Bartek w nocy „wyniósł się we świat”. Tak wprowadza się postać **Bartka — wolnego ducha, wędrownego rzemieślnika i gawędziarza**, kontrapunkt dla zżeranego nienawiścią Antka.

Bartek sypie mizoginicznymi żartami (nie ożeni się, „kobiecie Pan Jezus dał ino pół duszy”), lecz na pytanie, czy miał żonę, urywa nagle — „Miałem, miałem!” — i milknie, zapatrzonej w dal, kryjąc dawny żal. Przy obiedzie w młynicy Hanka wpatruje się w męża z miłością — Reymont daje tu **pełny portret Antka**: wysoki, smukły, barczysty, o suchej twarzy, jastrzębim nosie, wielkich siwozielonych oczach i słynnych czarnych brwiach „od skroni do skroni”, urodny ponad wszystkich. W rozmowie ujawnia się jego **harda duma**: nie pójdzie upominać się u ojca o należną paszę ani Hance nie pozwoli — „pókim żyw, ojca o nic prosił nie będę”, woli brać od organisty na odrodek lub sprzedać ostatnie bydło.

Wśród chłopów w młynicy pada ważny **wątek Jacka** — brata dziedzica z Wólki, który wrócił z dalekich krajów „niespełna rozumu”, nie chce mieszkać we dworze, przeniósł się do borowego w lesie, gra wieczorami na skrzypcach po cmentarzach i **chodzi po wsiach, dopytując o jakiegoś Kubę**, co miał go „z wojny wynieść i od śmierci uchronić”. Antek odpowiada: „Był ci u nas Kuba... ale ten pomarł”. Tak okazuje się, że Jacek to **ów młodszy dziedzic, którego**

**Kuba wyniósł z pola powstania** — wraca szukać swego wybawcy właśnie wtedy, gdy ten umarł; przejmujące domknięcie tragedii Kuby.

Antek pracuje tak rzetelnie, że młynarz **podnosi mu płacę o trzy złote** — ku wściekłości Mateusza, którego blef („cisnę wszystko”) młynarz przebiegle ucina, grożąc, że „tartak poprowadzi Boryna za cztery złote” (chytrze rozgrywając tańszą siłę roboczą). Upokorzony Mateusz mięknie na zewnątrz, lecz nienawiść chowa „głęboko za pazuchę”; Bartek kwituje: „głupi jak psiak, co dostał w zęby, to się łasi — zawsze tak z bogaczami bywa”. Antkowi wszystko jedno — ani podwyżka, ani upokorzenie rywala go nie cieszą; pracuje „jak koń w kieracie”, bo tak mu się podoba, nie dla grosza.

Tygodnie ciężkiej pracy aż do Godów odmieniają go z wierzchu — dusza „skrzepla na lód”, jest cichy, dobry, pomaga w gospodarstwie, jakby zapomniał krzywd. Lecz to tylko powłoka: w środku, „jak woda bystra pod lodem”, wciąż **belkocze, szumi, huczy**. Hanka nie daje się zwieść — czujnie służy mężowi, lecz łapie jego smutne spojrzenia i ciche wzdychy, z zamartwionym sercem przeczuwając, że „w nim waży się cosik straszego”. Antek milczy, wstaje na roraty, **przystaje pod kościołem słuchać organów** (przejmujący obraz muzyki świtu zimowego), po czym dłuższą drogą omija ojcowy dom i ludzi. W niedzielę nie idzie do kościoła — **boi się spotkania z Jagną** („nie zdzierzy”). Czuje, że wieś śledzi go „jak złodzieja”, a te świdrujące oczy bolą; coraz bardziej **odgradza się od wszystkich** („nie przegryziecie, ścierwy”), Kłębowi rzuca „nie potrzeba mi nikogo”. Pod żelaznym kantarem trzyma duszę, lecz ta „coraz częściej mdleje”, a głęboki **smutek, „jak jastrząb wczepiony w serce”, rozdziera go** — życie mu zmierzło. Reymont kreśli tu **stan głębokiego, tłumionego kryzysu wewnętrznego Antka**, zwiastun nadciągającej katastrofy.

Antek czuje się „jak drzewo obłamane, schnące w środku kwitnącego sadu”, jak „obcy ptak kołujący koło jarzących okien” — poza wsią, która **żyje swym zwykłym, gwarnym życiem** (chrzciny u Wachników, zrękowiny u Kłębów, śmierć starego Bartka pobitego przez zięcia, procesy Jagustynki, wieczory przy kądzieli). Kilka dni przed Godami **kowal** zachodzi mu drogę z fałszywą ofertą zgody, lecz Antek przejrząwszy jego chciwość („drzesz starego, byś mi ostatni kozuch zwłókl”) brutalnie go odprawia z groźbą. Dzień jest pechowy — wyszczerbiony topór, przygnieciona drzewem noga, zaczepny Mateusz; w domu **Pietruś leży w gorączce** (Jagustynka go okadza), a jej świdrujące oczy drażnią Antka, który idzie do młyna dopilnować mielenia kaszy.

Tam dochodzi do **punktu kulminacyjnego rozdziału**. Antek podsłuchuje, jak **Mateusz wyśmiewa przed gromadą Borynę i Jagnę** (stary nosi jej herbatę do łóżka, sam obrządza krowy, kupił porcelanę, „by się nie przeziębila za stodołę wychodzić”, a „głupi baran” uwierzył w jej wykręty), a w końcu **zniesławia Antka i Jagnę** — kłamliwie chełpiąc się, że to **on** był w komorze Jagny, a Antka „jak psa mietłą odganiała”. Poblądły z wściekłości Antek wpada do izdebki z okrzykiem „Łzesz jak ten pies!”, chwyta Mateusza jedną ręką za gardło, drugą za pas,

wyrywa go jak krzak, wynosi za tartak i z całej mocy ciska do rzeki — żerdki pękają, a Mateusz wpada w głęboką, bystrą wodę. Wyciągają go nieprzytomnego, rzygającego krwią; przenoszą do młynarza, posyłają po księdza — może nie dożyć ranka.

Antek spokojnie siada na jego miejscu przy ogniu i oznajmia głośno: „**Kto ino będzie mnie szarpał, każdemu tak zrobię albo jeszcze lepiej!**”. Wieś patrzy nań z **podziwem i lękiem** — unieść takiego chłopca jak Mateusza „jak snopek” i cisnąć do wody to siła niesłychana, a dla rywala **hańba na całe życie**. Antek miele kaszę, o północy wraca do domu („nie będziesz się przechwalał, żeś u Jagny w komorze bywał”), milcząc przed Hanką. Nazajutrz nie idzie do roboty pewny, że go odprawią — lecz **sam młynarz przychodzi**, oddając mu prowadzenie tartaku za **cztery złote i obiad**: „co macie z Mateuszem, to wasza sprawa”. Tak Antek **brutalnie odzyskuje dominację**, broni (skrycie) swej więzi z Jagną i zyskuje groźną sławę najmocniejszego we wsi. Wytargowawszy Mateuszową stawkę, obejmuje prowadzenie tartaku — a Hanka wciąż nic o całym zajściu nie wie.

## Rozdział IV — Wigilia w Lipcach

---

W **Wigilię Bożego Narodzenia** całe Lipce wrą gorączkowym, radosnym ruchem. Reymont maluje przepiękny **obraz mroźnego, słonecznego dnia** — drzewa obwalone sadią, śniegi skrzące „diamentową rosą”, głuche pola z kuropatwami i zajęcami, a wśród nich rozgwar świątecznej krzątanimy: mycie, bielenie, pieczenie chlebów i strucli, uprawianie śledzi, ucieranie maku. Świętu Pańskiego Dzieciątka towarzyszy „błogosławiona przerwa” i przebudzenie dusz z zimowego odrętwienia.

U **Borynów** trwają przygotowania: stary pojechał do miasta z nowym parobkiem **Pietrkim** (przyjętym na miejsce Kuby), Józka wycina kolorowe strzyżki, a **Jagna z Dominikową pieką** strucle, chleby i placek z serem i miodem. Witek, zamiast pilnować ognia, zastawia w polu sidła na kuropatwy (z psem Łapą i oswojonym **boćkiem**, którego wykurował jesienią). Roch stroi z Jambrozym kościół jedliną. Przychodzi **kołęda** — organiściak **Jasio** (idący od Wielkanocy na księdza) roznosi opłatki; jest wyraźnie **zauroczony Jagną** (wpatruje się, czerwienieje). W rozmowie wraca **śmierć Kuby** i ludowa wiara, że jego dusza, zmarła bez spowiedzi, „pokutuje”, błądząc nocami po rozstajach; pada pochwała jego dobroci (sam ksiądz płakał). Jasio wspomina też, że był u **Antków** — dziecko chore, bieda „aż skrzypi”, a Antek tak wychudł, że ledwie go poznał (na co Jagna milcząco odwraca twarz).

Po powrocie Boryny izba tętni krzątanimą (ciele się ocielilo u organisty, źrebię nie chce pić). Kończąc, Reymont podkreśla **całkowite zaślepienie Boryny Jagną** — cała wieś mówi, że „zglupiał z tego kochania”: choć dla innych wciąż twardy, Jagnie ulega we wszystkim, „jej oczami patrzy”, patrzy na nią „jak w obrazek święty” i myśli tylko, czym by się jej

przy podchlebić. Tak Reymont przeciwstawia **dostatni, rozkochany dom Boryny** nędzy wygnanych Antków, a w tle utrzymuje napięcie wokół wciąż żywej więzi Jagny i Antka.

Jagna **nie dba o miłość Boryny** — rozdrażniona jego amatorami, mroczna, niespokojna. Wzmianka Jasia o Antku przywołała go „jak żywego”: nie widziała go prawie trzy miesiące (od spotkania na drodze przed ślubem), a teraz staje przed nią „z takim wyrzutem”, że dusza jej drży. Dziwi się, czemu prześladuje ją **on jeden**, nie Mateusz czy Stacho — „zadać jej cosik musiał”; rośnie w niej **tęsknota** i pragnienie, by z nim choć raz pomówić — lecz to „śmiertelny grzech” (mówił ksiądz na spowiedzi), a ona „Borynowa jest na wiek wieków”. Prześladowana wizją jego niebieskich oczu i czarnych brwi, wybucha płaczem, potem nagle weseleje. Boryna z Dominikową, wymieniwszy znaczące spojrzenia, dochodzą do wniosku, że **Jagna jest brzemienna** (poród wypadłby na lipiec, w żniwa). Stary cieszy się i czule ją całuje, lecz Jagna **zaprzecza i nie chce dziecka**; matka tłumaczy korzyść (dziecko dziedziczyłoby część, w razie śmierci Boryny mogłaby zostać na całym gruncie), na co Jagna: „wam ino jedno w głowie: grunt i grunt, a la mnie to tyła stoi, co nic” — znów jej obojętność wobec ziemi.

Zapada **wieczór wigilijny** — Reymont maluje cichnącą, mroźną wieś i przygotowania w każdej chałupie (sноп zboża w kacie, biały obrus, siano, wyglądanie pierwszej gwiazdy). Witek wypatruje **gwiazdy betlejemskiej**; Roch klęka w śniegu: „Oto gwiazda Trzech Króli... niech będzie święte imię Jego pochwalone”. Następuje **wieczera wigilijna** — Boryna dzieli opłatek, jedzą uroczyście tradycyjne potrawy (kwas buraczany na grzybach, smażone śledzie, kluski z makiem, kapusta z grzybami, racuszki gryczane z miodem). W trakcie ktoś puka — to **Jagustynka**, którą rodzone dzieci zostawiły samą w mróz; przychodzi, płacząc, prosić „o ką i to, co psu wyrzucicie” — kolejna **bożonarodzeniowa odsłona krzywdy wycugu**. Roch przygarnia ją z dobrocią. W ciepłej, nabożnej ciszy „jakby między nimi leżało Dzieciątko Jezus” Roch **czyta opowieść o Narodzeniu Pańskim** („Jako to stała się nam nowina, Panna porodziła Syna...”), a głos jego wzmaga się w śpiew, gdy wszyscy słuchają w olśnieniu cudem. Tak Reymont splata **liryczno-obrzędową apoteozę polskiej Wigilii** z dramatem Jagny — rozdartej między nowym macierzyństwem a zakazaną miłością do Antka.

Czytanie Rocha wzrusza wszystkich (Józka i Jagna płaczą nad niedolą Dzieciątka). Rozwija się bogata **obrzędowość wigilijna**: wierni, że tej nocy **zwierzęta rozumieją ludzką mowę** (bo Pan narodził się wśród nich), idą do obory **dzielić się opłatkiem z krowami** — Jagna jako gospodyni czyni krzyż między rogami i karmi każdą (koniom nie wolno, „nie było ich przy Narodzeniu”). Roch głosi **panteistyczną naukę**: każde stworzenie, trawka, kamień, gwiazda „ma swoją duszę” i czeka swej godziny, aż Pan rzeknie „Wstań, duszo, ożyj” — czego Boryna i Dominikowa nie umieją pojąć. Roch snuje też **ludową legendę o cudzie Narodzenia**: rozbójnicy napadający bogatego chłopa w borze **kamienieją** wraz z całym światem (ptaki w locie, rzeki, słońce, wiatr) w chwili, gdy rozlega się anielskie „Bóg się rodzi, moc truchleje”, po czym, ujrzawszy przestrołę, idą pokłonić się Dzieciątku.

Następuje **gorzki bunt Jagustynki** — niemal bluźnierczy: dawniej z nieba przychodzili opiekunowie biednych, czemu nie teraz, gdy nędzy nie ubyło? Człowiek to „ptak bezbronny”, którego dobija jastrząb, głód i śmierć, a kapłani „manią obietnicami zbawienia” — „przyjdzie, ale Antychryst!”. Wstrząśnięty Roch woła „Nie bluźnij, kobieto!”, po czym, zalany łzami zgrozy nad „zgubioną duszą”, wyklada prawdę „lepiej niż ksiądz na ambonie”. Tymczasem **Witek i Józka**, przejęci wiarą w mowę zwierząt, skradają się do obory i drżąc pytają krowy (Siwulę, Łaciatę) — lecz nie słysząc odpowiedzi, uznają się za grzesznych i **ze łzami wyznają sobie nawzajem winy** (Witek — kradzież postronczków i rzemienia); przejmująca, dziecięco czysta scena spowiedzi. Pietrek tymczasem zrzuca żołdacki szynel i **przebiera się po chłopsku** (Roch: „mowa mu sama powróci, bo duszy nie stracił”). Gdy odzywa się **sygnaturka na pasterkę**, cała wieś rusza przez mroźną, gwiazdzistą noc do kościoła (Jagustynka zostaje pilnować domu i „dać folgę uciśnionemu sercu”). Reymont rozwija tu **pełny, etnograficznie bogaty obraz polskich obrzędów wigilijnych**, splatając ludową religijność i wiarę z buntem cierpienia.

## Pasterka — spotkanie Antka i Jagny

---

**Pasterka** daje sposobność do wielkiej **panoramy okolicznych wsi**: Reymont z etnograficzną wyrazistością maluje lud ściągający do kościoła z Polnych Rudek, Modlicy, Woli, szlachtę rzepecką, chłopów z Przyłęka i bogatych, butnych dębickich — każdą gromadę o własnym wyglądzie, stroju i reputacji. Kościół, przystrojony jedliną „jak gęsty bór”, pęka od ludzi; po mszy i kazaniu naród „jednym głosem” ryczy kolędę „W żłobie leży”. **Antek** przyszedł z Hanką, lecz stoi osobno; dostrzegłszy Jagnę, **przeciska się i klęka tuż przy niej, głową dotykając jej kolan**. Podczas Podniesienia Jagna go spostrzega — „kamienieje z radości”. Następuje ich **niemy, płomienny zjazd** — oboje „jakby poza światem”, nieświadomi mszy i śpiewów, połączeni strachem, miłością i pożądaniem. Antek szepcze jej „Jaguś! Jaguś!”, a potem proponuje **schadzkę**: „Wyjdź którego dnia za bróg... o każdym wieczorze czekał będę... pomówić mi z tobą pilno”. Jagna, obezwładniona, niemal wstaje, by pójść — gdy gruchnie kolęda, opamiętuje się, a Antka już nie ma (wymknął się i pobiegł przez pola, „jak wicher”, z sercem rozpieranym radością).

## Rozdział V — udręka Jagny

---

Borynowie wracają o świcie; dom śpi, lecz **Jagna nie może zasnąć** — dusi ją zmora, w północy raz po raz przeżywa kościół, szepty Antka „Wyjdź! Wyjdź!”, dawne pocałunki i uściski, aż „gorąc ją przenika”. Wstaje „jak z krzyża zdjęta”, blada, roztrzęsiona, smutna. W dzień świąteczny, wśród gwaru i śpiewek Józki, czuje się **obca wśród swoich, „jakby wśród zbójów”**, ścigana zarazem płomiennym wezwaniem Antka i grożącym głosem księdza: „Gniew

boski i potępienie wieczne na takie!". Tak rozgrywa się w niej **dramatyczne rozdarcie** — między lękiem przed śmiertelnym grzechem („Nie, nie wyjdę!") a duszą rwącą się do Antka „jak drzewo przywalone rwie się o wiośnie do słońca". Reymont splata tu **majestatyczny obraz pasterki z budzącą się na nowo, zakazaną namiętnością** — zapowiedzią nieuniknionego dramatu.

Lęk grzechu jeszcze przeważa — Jagna nie wychodzi z chałupy (boi się, że Antek czeka w opłotkach), rozdrażniona doglądającymi ją oczami Boryny ucieka do **matczynego domu**, gdzie odzyskuje spokój, krzątając się po starych śmieciach. W świątecznym gwarze Nastka pokazuje **różgę**, która zakwitła wiśniowym kwiatem (ludowy wróżbny znak ślubu), a Jagustynka, znów w swej cierpkiej formie, przynosi wstrząsającą wieść: **Magda** (wygnana służąca organistów) **urodziła w kruchcie kościelnej**, gdzie **dziecko zamarzło na śmierć**, a ona ledwie żyje. Wywiązuje się **ostra krytyka społeczna** — wina organistów (zaharowali ją i wygnali chorą) i obojętność wsi; Boryna kwituje bezdusznie „każdy ma dosyć swojego, co mu do obcych", a Jagustynka przypomina, że dawniej, „za pańskich czasów", był we wsi **szpital dla biednych** (w domu, gdzie dziś siedzi organista) — „komu jest dobrze, temu się widzi, że wszystko dzieje się, jak Pan Bóg przykazał".

Do domu Borynów dociera wreszcie **wieść o pobiciu Mateusza przez Antka** (rzeka, cztery żebra, krwią pluje) — i że stało się to **o Jagnę** (Mateusz chępił się w młynie, że bywał w jej komorze). Jagna wybucha gniewem na oszczerstwo („Cygan ścierwa! za nieprawdę bym zabiła!") i z dziką satysfakcją cieszy się, że Antek go pobił („jeszcze bym sama dołożyła"); zalewa ją **czułość i wdzięczność**, że ją obronił. Zarazem zachodzi w niej **przełom**: gdy Boryna próbuje ją głaskać, odpycha go z **odrazą** — po raz pierwszy dostrzega jego **starość** (powłóczy nogami, garbi się, ręce mu drżą) i budzi się w niej wstręt, „nienawiść prawie" („Dziad ten, niezguła!"). Odtąd już **nie broni się przed myślami o Antku** — wygląda na pola, ku brogowi (z wydrażoną w sianie jamą), powtarzając jego prośbę „Wyjdz za bróg! Wyjdz!".

Na nieszpory idzie do kościoła sama, w skrytej nadziei spotkania Antka. Jego nie ma, lecz w kruchcie spotyka **Hankę**, która **dotkliwie ją lekceważy** — nie oddaje pozdrowienia, omija święconą wodę i uderza Jagnę wrogim spojrzeniem „jakby kamieniem". Zranioną Jagnę pociesza dopiero **mistyczna ekstaza** muzyki i piękna kościoła — zda się jej, że święci zstępują z obrazów z błogosławiącymi rękami. Tak Reymont prowadzi **psychologiczny zwrot Jagny** — od lęku do pełnego oddania uczuciu do Antka, podkreślając zarazem narastającą wrogość między obiema kobietami.

Wieczorem Jagna trwa w **gorączkowej udręce** — rośnie w niej chęć wymknięcia się „za bróg" do czekającego (jak sobie wyobraża) Antka, lecz powstrzymuje ją lęk grzechu i śledzące oczy domowników. Gdy Łapa zaszczeka, zrywa się („Pewnie Antek!") — ale to **stary Kłab z delegacją gospodarzy** (Winciorek, Grzela, Caban i in.). Przychodzą w **sprawie lasu**: po Trzech Królach dziedzic ma rąbać nie tylko przykupy las, ale i wiejski bór na Wilczych Dołach

(już wycechowany i rozmierzony). Boryna proponuje skargę do komisarza, lecz oni argumentują, że to za wolne („nim urząd zjedzie, pniaków nie ostanie, jak w Dębicy”) — „z dworem jak z wilkiem, niech jedną owcę spróbuje, całe stado wybierze; nie trza dać, by się znarowił”. Zapraszają go na **naradę gromady** u Kłaba po kościele. Lecz Boryna **wykrętnie się usuwa** (rzekomo musi jechać do Woli rozsądzić spór krewniaków), a w duchu prowadzi **samolubną kalkulację**: nie pójdzie z gromadą (wójt, młynarz i bogacze też nie pójdą), bo chce, by dwór wiedział, że nie nastaje nań — wtedy prędzej zapłaci za krowę i ugodzi się z nim osobno; cynicznie myśli, by dać dworowi wyrąbać las, a potem sądami „przycisnąć” i wytargować więcej. Gospodarze wychodzą markotni, czując, że szczerze z nimi nie trzyma.

## Rozdział VI — czyhanie na dziedzica

---

Nazajutrz (św. Szczepan) Boryna szykuje się rzekomo do Woli, każąc Jagnie rozgłaszać, że wyjechał. Jagna z **ukrytą radością** liczy, że zostanie sama i o zmroku **wyjdzie „za bróg” do Antka** — lecz nagły lęk każe jej impulsywnie błagać: „Weźcie mnie ze sobą!”. Zdziwiony stary się zgadza i ruszają saniami w zamieć. W istocie wyjazd okazuje się **podstępem Boryny** — zamiast jechać do Woli, **zaczają się, by przechwycić przejeżdżającego przez zamieć dziedzica** i ubić z nim swój osobny interes. W chałupie, wśród szalejącej wichury, Boryna struga przy kobylicy, niecierpliwie nasłuchując (Jagna motając nici, rozmowy o dziedzicu, o włóczącej się Józce), aż wpada **Witek z wieścią**: „**Dziedzic już przejechał!**”. Tak Reymont splata **dwie intrygi** — zbiorowy opór wsi wobec dworu, który Boryna podstępnie podkopuje dla własnej korzyści, oraz udaremioną (na razie) schadzke Jagny z Antkiem.

Boryna, dowiedziawszy się przez Witka, że dziedzic stanął u młynarza, niecierpliwie wychodzi do wsi (czekając, aż gromada go wezwie). Jagna zostaje sama przy kądzieli, gdy do chałupy wchodzi **obcy, ośnieżony wędrowiec** — w stroju na poły pańskim (szaro-zielonym, „jak dworski strzelec”), na poły chłopskim — prosząc o ogrzanie. Pije własną herbatę, z zachwytem ogląda **ludową sztukę** izby (papierowe „światy” Józki, wycinanki na ścianach), a psy się doń łaszą („mnie psy nie gryzą”). Wreszcie pyta: „Służył u was Jakub Socha?” — i okazuje się, że to **pan Jacek, brat dziedzica z Woli**, który wrócił z dalekich krajów i **od lata szuka po wsiach Kuby**, swego wybawcy. Witek przez łzy potwierdza, że Kuba — co Jacka „pacierza i strzyłać uczył, jak rodzony ociec opiekę trzymał” — **umarł jesienią od postrzału**. Reymont daje **portret Jacka**: stary, siwy, „suchy jak wiór”, o ziemistej, poradlonej twarzy z **dziurą w policzku (śląd od kuli)** i blizną nad okiem, o głęboko zapadłych, jarzących oczach, z nieodłączną fajką — naznaczony weteran (powstaniec), demokratyczny i asketyczny (odmawia zapłaty za gościnę, „Żyd to jestem?”, obrażona Jagna).

Jacek prosi, by go zaprowadzić **na grób Kuby**, i rusza z Witkiem przez budzącą się z zamieci wieś na cmentarz. Po drodze pyta o ludzi — Witek tłumaczy mu **rozwarstwienie wsi**:

dźwigający drewno na plecach to **komornicy** (bezrolni), którym dwór raz w tydzień pozwala zbierać susz „z kulką”, podczas gdy tylko gospodarze mają prawo wozu i siekiery; z dumą wspomina, jak z Kubą **kłusowali drwa**, ścinając grabki i chowając przed borowym. Opowiada też o chorobie i śmierci Kuby, a wzruszony Jacek dopytuje. Docierają do **krzyża Kuby** pod parkanem, obok rozwianych mogił **poległych na wojnie** (powstańców). Tak Reymont wprowadza w pełni postać **Jacka — szlachcica-powstańca, który wraca szukać swego chłopskiego wybawcy**, spajając tragiczną historię dworu z życiem wsi i pogłębiając pośmiertny hołd dla Kuby.

Jacek klęka przy grobie Kuby i obdarowuje Witka, który wraca do wsi i spotyka **Antka**. Dowiedziawszy się od chłopca, że Boryna jest u młynarza, a Jagna sama w domu, Antek — drżąc — postanawia działać i skrada się za stodoły. Następuje **sekretna scena w ciemnej oborze**: gdy Jagna doi krowy, zjawia się Antek. W gorącym, zdławionym szepcie wyznaje, że „od samych Godów warował jak pies pod brogiem”, że bez niej „ani śpi, ani je, ani robić może”; potwierdza, że to **o nią pobił Mateusza** za oszczerstwo. Po przerwie (Witek wbiega po cebratki, Antek się chowa) Antek obejmuje ją z tyłu i całuje tak namiętnie, że szkopek z mlekiem leci na ziemię, a oni „zwierają się na śmierć” w „szalonym, dzikim pocałunku”. Antek wymyka się, kazać jej przyjść **pod bróg**.

Jagna, w upojeniu („Jantoś!”), dokończywszy dojenia ze łzami szczęścia, ulega wezwaniu i **wymyka się przez wąskie przejście za szopą do przelazu**, gdzie Antek porywa ją „jak wilk” i wciąga pod **bróg**. Lecz ledwie zwierają się w pocałunkach, rozlega się **ostrzy głos Boryny**: „**Jaguś! Jaguś!**” — niczym piorun. Rozpierzchają się: Antek ucieka pod ogrodami, a Jagna (zapaska zdarta przez gałęzie, obsypana śniegiem) wraca do izby z naręczem drwa, kłamiąc, że zaglądała do chorej krowy i zbierała drewno. Stary jej nie wierzy — widzi „cała w ogniach, oczy rozjarzone kiej w chorobie”; budzi się w nim **głuche podejrzenie i kaśliwa zazdrość**, lecz błędnie podejrzewa, że to **Mateusz** ją gdzieś przyparł (wypytuje Nastkę — Mateusz wciąż w łóżku). By zatrzeć milczenie, Jagna opowiada o wizycie **pana Jacka** — a Boryna, paranoicznie, dochodzi do mylnego wniosku, że **dziezic wysłał Jacka, by go szpiegował** w sprawie poręby („miedzami kołuje, by drogę wypatrzeć... dziezicowa sztuczka”), nie wierząc, że szlachcicowi naprawdę chodziło o Kubę. Tak Reymont splata **kulminację namiętności Antka i Jagny** (sekretne spotkania, ledwie udaremniiona schadzka) z budzącą się zazdrością Boryny i jego nieufnością wobec dworu — zaciskając węzeł nadciągającego dramatu.

Boryna, dręczony pominięciem w naradzie gromady (radzili „bez niego!”), kipi w duchu nienawiścią do młynarza, wójta, kowala i dziezica. Gdy **Roch** przychodzi z prośbą — by wstawił się za biedotą, bo dziezic „ani jednego Lipczaka nie weźmie do poręby”, a dwudziestu komorników czeka roboty „jak zmiłowania” w srogą zimę — Boryna **twardo odmawia** („Prosił go nie będę!”). Choć będzie bronił wsi przed wyrębem (póki dwór nie odda, co jego),

nie zamierza „płakać”, że „który Wojtek nie ma co do gęby włożyć” — „księżdzo to sprawa, nie moja... jeden ma, a drugi wiater po polu łapie”. Roch odchodzi zgnębiony tą **bezdusznnością wobec biedy**. Po jego wyjściu Boryna rzuca Jagnie pod nogi **ośnieżoną zapaskę znaną przy przelazie** — „Zapaski gubisz” — a gdy ona kłamie (że Łapa wywłókł), kwituje urągliwie „Łapa?... no, no”, nie wierząc; jego **zazdrosne podejrzenie narasta**.

## Rozdział VII — Trzej Królowie, wieś wykluczona z poręby

W **Trzech Króli** (pierwsza muzyka po adwencie) wieś ciągnie do karczmy — szykują się zmówiny Małgośki Kłębianki z Wickiem Sochą, zaręczyny zabijaki Stacha Płoszki z Ulisią (targ o cztery morgi), chrzciny u wójta. Lecz nad wszystkim ciąży **wieść potwierdzona na sumie**: dziedzic najął do poręby ludzi z **Rudki, Modlicy, Dębicy i szlachtę rzepecką — ale z Lipiec ani jednego**. Spada to **ciężkim frasunkiem na biedotę** — pięć rodzin bez zimowej roboty, które na porębę czekały „jak zbawienia”, grozi głód i przednówek. Gdy bogacze (Kłęb i in.) wykręcają się od poprowadzenia ich do księdza, **Bartek z tartaku** — zawsze trzymający z biednymi — zbiera czterech towarzyszy i idzie **prosić dobrodzieja o wstawiennictwo** u dziedzica.

Wieczorem (przepiękny obraz mroźnej, gwiazdzistej nocy) **karczma wypełnia się** ludźmi. Wśród gości weselnych i rodziny Sochów osobno, pod oknami, siedzą **Rzeczczaki** (szlachta, którzy nazajutrz mają ciąć las) — nikt im nie czyni wstrętów, lecz nikt do nich nie przystępuje (prócz wyludzającego gorzałę Jambroża). **Bartek głośno relacjonuje rozmowę z księdzem i pomstuje na dziedzica**, a wtóruje mu zapalczywy mały Wojtek Kobus — z rozmysłem prowokując milczących Rzeczczaków. Tak Reymont **zaostrza konflikt o las** (najem obcych, wykluczenie Lipiec, rosnący gniew biedoty) i odsłania **egoizm bogaczy z Boryną na czele** — zderzając go z solidarnością biednych pod wodzą Bartka.

Zabawa rozkręca się (Socha z Małgością w pierwszą parę mazura). Zjawia się **Mateusz** (o kiju, ledwie podźwignięty z łóżka) i — ku zdumieniu karczmy — **pojednawszy się z Antkiem** („owstydziłeś mnie, alem gniewu nie mam, mocarz z ciebie”) razem piją. Mateusz odwołuje oszczerstwo o Jagnie, ale w pijackiej rozmowie **chytrze wyciąga z Antka prawdę**: wyznaje, że sam chciał Jagnę wziąć przemocą, lecz go „pazurami pobronowała”, bo „tyś jej był miłszy... poszła za starego na twoją krzywdę”. Antek wybucha: „na moją krzywdę i na moje zatracenie!”. Mateusz daje cyniczne rady na miłość (jedyny lek — ożenić się lub „dostać kobietę, a smak przejdzie”) i sypie mizoginiczną tyradą o kobietach („diable nasienie”); spragniony zwierzeń, na wpół pijany Antek wymyka się znaczącymi słowami, z których Mateusz wszystko miarkuje, lecz nie daje poznać.

Tymczasem przy szynkwasiu wzbiera **konflikt biedoty z Rzeczczakami** — Wojtek Kobus i inni obrzucają szlachtę wyzwiskami („Ślachta, ścierwy, worek i płachta!”, „dworskie pomietla”,

„będą ludzom robotę odbierać”); milczący Rzepczaki ściskają kije, gotowi do bitki, którą w ostatniej chwili łagodzą Kłęb i starsi. **Jambroży** rozśmiesza karczmę zmyślonymi historiami (Napoleon, Naczelnik) i **komiczną gawędą o zmówinach Kłębianki** – dwóch jednako nędznych konkurentów (Socha i Pryczek) wychwalanych szyderczo przez swatów, których Kłęb każe „zważyć”, a Socha wygrywa dzięki gęsiorowi schowanemu pod kapotą. Rozdział zamyka **liryczna refleksja**: zima odrywa lud od ziemi, a w zabawie i odpoczynku każdy człowiek staje się wyrazisty „jak drzewo w borze” – latem złane w zielony gąszcz, a gdy spadnie śnieg, każde rozpoznasz z osobna: dąbek, grabek, osiczyna. Tak Reymont łączy **rubaszny obraz karczny** z pogłębieniem psychiki Antka (niebezpieczne zwierzenia) i narastającym napięciem klasowym wokół lasu.

Wokół Antka znów gromadzą się **najpierwsi kawalerowie wsi** (Płoszka, Balcerek, wójtów brat), korząc się przed nim jak dawniej – co on kwituje gorzkim uśmiechem (wczoraj go omijali). Rozmowa schodzi na **las i bunt pokoleniowy**: młodzi żalą się, że starzy trzymają grunt i władzę, „rządzą się głupio”, nie dopuszczają synów; „trza by we wsi zrobić porządki!”. Krystalizuje się **plan obrony lasu** – gdy dziedzic zacznie ciąć, „całą wsią iść, rozegnać, nie pozwolić, póki się nie ugodzi”. Gdy pada, że poprowadziłby ich Boryna (lub, jeśli stary nie zechce, **sam Antek**), wszyscy z zapalem **obwołują Antka przywódcą**; tylko rozważny Grzela Rakoski (czytelnik „Zorzy”) odradza gwałt na rzecz adwokata i sądu – lecz go zakrzykują. W karczmie zjawia się też **pan Jacek** (szuka Bartka, siada do Rzepczaków), a z chrzcina u wójta wracają podpici kowal i sołtys.

Późno przybywa **Jagna** – wymusiwszy na opornym Borynie ustępstwo (groziła, że pójdzie sama, aż musiał ją przeprosić i przyprowadzić). Reymont maluje ją jako **najpiękniejszą ze wszystkich** – w odświętnym stroju (żółto-zielony wełniak, modry aksamitny stanik szyty złotem, korale, bursztyny, perły, jedwabna chusteczka) przewyższa wszystkie dziewczęta „jako róża przenosi nasturcje”, wśród zawistnych szeptów kobiet. Gdy Żyd odprowadza Borynę do alkierza, **Antek korzysta z chwili** i porywa Jagnę w taniec – „Obertasa, chłopacy, a ostro!”. Następuje **ekstacyjny, jawny taniec Antka i Jagny** – oboje „zapamiętali”, nieświadomi gapiącego się, plotkującego tłumu; ona „Jeszcze, Jantoś, jeszcze!”. Rozdział wieńczy **wielki liryczny obraz tańca** – pięćdziesiąt par wirujących w rozśpiewanej, pijanej uciechę gęstwie, przy zawodzących skrzypcach i flecie, aż karczma drży, a wrzask hulanki płynie w mroźną, śnieżną noc. Tak Reymont spleta **wyłonienie się Antka jako przywódcy wiejskiego oporu z bezwstydnym, namiętym manifestem jego miłości do Jagny** na oczach całej wsi.

Antek tańczy coraz zuchwalej, niemal sam z Jagną w kole, aż kobiety głośno gorszą się i litują nad Boryną; Józka donosi ojcu („Antek tańczy z macochą!”), lecz stary zbywa to lekceważąco. W końcu, przywiedziony przez zgorszone baby z alkierza, **Boryna pojmuje wszystko** – blady z wściekłości **wdziera się w koło i wyrywa Jagnę z ramion Antka**, wyprowadzając

ją, nie spojrzawszy na syna. Muzyka milknie, zapada grobowa cisza. Antek rzuca się za nimi i dopada ich u stawu – następuje **groźna konfrontacja ojca z synem**: Józka wtyka staremu kół, wrzeszcząc „Bijcie tego zbója!”, a Boryna z śmiertelną groźbą („zakatrupię cię jak psa!”) rzuca Antka w przerażenie tak wielkie, że ten – wyzbyty zawziętości i miłości, opanowany **śmiertelnym strachem** – cofa się, drżąc. Roztrzęsionego odprowadzają przyjaciele do karczmy (gdzie zostają już tylko Rzepczaki i grający żalosne pienia **pan Jacek**). Gdy przychodzi **Hanka**, Antek brutalnie ją odtrąca: „Żeby mnie w kajdany skuli, w lochu zamknęli – wolniejszym bym był niżli przy tobie!”. Wlokąc się nocą ku młynowi, ścigany strasznymi słowami ojca, znajduje pod figurą **Hankę leżącą krzyżem w śniegu, żebrzącą miłosierdzia** – i z nagle zmiękkłą duszą podnosi ją i odprowadza w milczeniu do domu.

## Rozdział VIII – choroba i zazdrość Boryny

W domu Borynów panuje po święcie **grobowa, złowroga cisza** – bez krzyków, lecz pełna tłumionych gniewów i trwogi „jak pod dachem, co lada chwila ma paść”. Boryna nie mówi do Jagny ani słowa, jakby nic nie zaszło, lecz z tłumionej złości **rozchorowuje się** (nie może wstać, mdłości, gorączka). Dominikowa, smarując mu boki, **bronii córki** („nie jej wina – zostawiliście ją samą, poszli pić; młoda, zdrowa, zabawy jej trzeba; Antek ją zniewolił przez złość do was”), aż wybucha kłótnia o to, czemu w ogóle ją wydali. Leżąc, **Boryna roztrząsa dawne plotki o Jagnie**, a zazdrość „gryzie go jak jastrząb”; wodzi za nią złymi, jastrzębimi oczami. Jagna **mizernieje** – blada, bezsenna, ścigana wrogim spojrzeniem starego i tęsknotą za Antkiem (przez cały tydzień ani słowa o nim, na próżno wygląda pod bróg). Ucieka do surowej matki, do sąsiadów cedzących słowa, wszędzie obca – a wieś biada nad chorobą Boryny i „paskudnymi czasami”. Tak po jawnym skandalu **dramat dojrzewa**: zazdrość Boryny przeradza się w chorobę i czujną nienawiść, a Jagna i Antek tkwią w udręce rozłąki.

Wydobrzawszy, Boryna obchodzi wieś, **obracając skandal w żart** („napilem się, tom zachorzał”) – gasi plotki dla obrony swej dumy; ludzie przytakują, lecz nie wierzą, a sołtys Szymon rzuca mu w oczy przysłowie „jak stary bierze młodą, złego nie odegna i święconą wodą”. W domu Boryna **odbiera Jagnie władzę** – traktuje ją jak dziewczkę (nie gospodynię), rozkazy wydaje Józce, zamyka jej świąteczne szmaty, pilnuje każdego kroku (z zapaski wyliczył, że wychodziła do Antka). Jagna cierpi w omroczonym domu, gdzie nocą zachodzi tylko **kowal** (judzi starego przeciw niej), Jagustynka i Dominikowa (radząca pokorę).

Lecz **Jagustynka podszeptuje** rzecz przeciwną – manipulacyjną naukę o przetrwaniu: „złego dobrością nie przeprosz, ino większą złością”; nie ustępować chłopu, a nade wszystko **odmówić mu siebie** („odstaw go kiej ciołka od krowy”) – wtedy zmięknie; jej cyniczna filozofia: „do krzepkich należy świat wszystek”, słabych „dziobią na śmierć”. Jagna bierze radę do serca i **wszczyna bunt** – zabiera klucze i nie oddaje („same moje szmaty”). Odtąd w

chałupie **wre piekło**: Jagna nie ustępuje, odszczekuje głośno, robi wszystko „na złość”, dręczy Józkę, wieczorami każe Pietrkowi grać i śpiewa, w niedzielę stroi się i sama idzie do kościoła, wystając z parobkami. Boryna, osłupiała tą przemianą („barankiem się widziała, a teraz okoniem stawa!”), wścieka się, lecz coraz częściej **ustępuje „dla świętego spokoju”** — układ sił między nimi się odwraca.

Po **Gromniczej** ksiądz przyjeżdża z **kołędą** (poświęcenie domu i dobytku, Boryna niesie wodę święconą); przepytuje pacierz Józki i Witka (Kubę i Rocha wspomina jako nauczycieli) — po czym, patrząc na Jagnę, **groźnie ostrzega**: „nic się nie ukryje przed okiem sprawiedliwości Bożej... pokutujcie póki czas!”. Jagna, pojąwszy, że mowa o niej, czerwieni się i ucieka, nie śmiejąc spojrzeć księdzu w oczy. Tak Reymont kreśli **odwrócenie się ról w małżeństwie** (zbuntowana Jagna bierze górę nad starym) i **narastającą presję moralną wsi i Kościoła** wobec jej grzechu.

W rozmowie na osobności **ksiądz** (uprzedzony przez Dominikową) **broni Jagny** — niesprawiedliwie ją karzecie, winien Antek (zniewolił ją do tańca przez złość, chciał awantury); namawia do **zgody z synem** (donosi, że Antek „buntuje chłopaków” i „coś przeciw dworowi zamierza”) oraz do ugody z dworem („dziedzic dobry człowiek, chciałby po sąsiedzku”). Boryna twardo odrzuca jedno i drugie: „Wilcze sąsiedztwo, a na takiego najlepszy kół albo żelazo”. Scenę przeplata komiczny wątek **boćka**, który dziobie księżę buty — ksiądz **kupuje go** za złotówkę, a zrozpaczony **Witek** (płacząc cały dzień) musi go odnieść na plebanię. Ukojony słowami księdza Boryna łagodnieje wobec Jagny i dom wraca pozornie do dawnego stanu — lecz „jak garnek odrutowany, co cieknie w niewidzialnym miejscu”: **nieufność, żale i podejrzenia żyją nadal**. Stary wciąż ją śledzi, ona nie wybacza i tym mocniej go nienawidzi, rwąc się do Antka.

Jagna zmyślnie urządza **schadzki z Antkiem pod brogiem co parę dni**, wspomagana przez Witka (zniechęconego do gospodarza po stracie boćka) i nade wszystko przez **Jagustynkę** — która nosi wieści i stróżuje z **czystej złości do świata** (mści się za własną poniewierkę, nienawidzi i bogaczy, i biednych, „diabelska kuma” o „złych oczach”, licząca, że kochankowie i stary „pozagryzają się jak wściekle psy”). Gdy Jagustynka donosi Antkowi, że Boryna oskarżył go przed księdzem (jakoby podmawiał na dwór, że trzeba go oddać strażnikom), Antek wybuchą groźbą **podpalenia**: „takiego bym mu na dach puścił koguta!” — co baba zaraz przekazuje staremu. Boryna zwierza się Rochowi (który ostrzega przed Jagustynką i namawia do ustąpienia gruntu), lecz przypomina sobie precedensy (Pryczek spalił szwagra o działą) i twardo odmawia oddania „choćby zagona”. Wówczas dociera doń **mroczne olśnienie**: w nienawiści syna „jest cosik więcej niżli gniewy o grunt” — owa zapamiętałość „z innego źródlika bije” (przeczuwa rywalizację o Jagnę) — i czuje w sobie tę samą zimną, mściwą nienawiść: „**Za ciasno dla nas obydwóch w Lipcach!**”.

Odtąd Boryna żyje w lęku przed podpaleniem — czai się nocami, obchodzi budynki, kupuje **srogiego psa** (głodzonego, rzucającego się na ludzi), znajduje pod brogiem i przełazem wydeptane ślady (mylnie biorąc je za tropy podpalacza, nie domyślając się romansu). **Mizernieje i schnie** z utajonych myśli, nie mając się komu zwierzyć; wieś sądzi, że to przez wilki (rozmnożone tej zimy, podchodzące pod obory) i złodziei (kradzieże koni i bydła w okolicy). Tłem jest **zmienna, sroga zima** (rekordowe mrozy, śniegi, odwilże, wiejby, a po nich pogodne dni). Tak Reymont zacieśnia **morderczy węzeł między ojcem a synem** — zazdrość Boryny dojrzewa w nienawiść i strach, a trwający w ukryciu romans pcha akcję ku katastrofie.

Reymont daje **kronikę tętniącego życia zimowej wsi** — wesele Kłębianki, zmówiny, śmierć starego Pryczka, wieczory przy kądzieli (którym przewodzi wyzdrowiały Mateusz), plotki, listy od żołnierzy, drobne wydarzenia (Magda idzie na służbę do karczmy, pies Boryny pogryzł chłopaka). U Borynów inaczej: stary „kamieniem siedzi w domu” i nie puszcza kobiet na zabawy (Jagna w desperacji, Józka mamrocze). Pewnego lutowego wieczoru, podczas posiedzenia przy kądzieli (komiczny wątek **Jaśka Przewrotnego** bojącego się boćka i Witka knującego, jak ptaka odzyskać), wchodzi **wójt z pozwem** — jutro sąd w sprawie o krowę z dworem (Witek pojedzie na świadka). Na osobności wójt namawia Borynę, by **przystał do spółki zwózki drzewa** (którą wójt, młynarz i kowal ugodzili z dworem) — można zarobić do stu rubli. Boryna **godzi się, z cyniczną kalkulacją**: zwózka to jedno, sprawa lasu osobno — będzie udawał, że z nimi trzyma, zarobi, a „swojego i tak nie daruje”. Myśli o nich z pogardą: „głupie juchy jak barany, myślą, że mnie wywiedli”.

Wróciwszy, Boryna nie zastaje Jagny i niespokojnie czeka — aż w nocy chwyta ją wracającą od strony przełazu (z **sekretnej schadzki z Antkiem**): „Gdzieżeś to była?”. Jagna, zrazu wystraszona, odpowiada urągliwie i wchodzi do izby. Stary milczy, lecz przy spaniu obłudnie radzi jej zostać nazajutrz w domu (sam jedzie do sądu, wróci późno w noc).

## Rozdział IX — Hanka i Bylica po drewno

---

Nazajutrz, mimo zrywającej się **zameci**, **Hanka ze starym Bylicą** i kilkoma komornicami wyrusza po susz do lasu — przejmujący obraz nędzy rodziny (zimno, brak warzy, dzieci marznące, suchy chleb). Reymont maluje **straszną wicherę i mróz**: idą gęsiego przywianymi miedzami ku dalekim borom, wiatr „prażąc w twarze suchym śniegiem” ledwie pozwala ustać na nogach. Na końcu wlecze się **schorowany Bylica** w starym kożuchu Antka, ledwie żywy, lecz uparcie nadążając za córką („Idę, Hanuś, idę... nie ostanę!”). Tak Reymont przenosi uwagę na **dramat ubóstwa Antkowej rodziny**, zestawiając go z zamożną — choć zatrutą — chałupą Boryny i jego podstępą grą wokół dworu.

Hanka idzie po drewno **w jednym rzędzie z największą biedotą** (Filipka, Krakalina, Kobusowa, Magda Kozłowa), zaciskając zęby z **hardą, stoiczną wolą** — nie będzie płakać ani żebrać litości. Jej najgłębszą raną nie jest bieda ani nawet pijaństwo Antka, lecz jego **przeniewierstwo**: „za Jagną lata, ją miłuje, przez nią to wszystko” — zazdrość „ściska ją rozpalonymi obcęgami za serce”. Komornice plotkują o niej z zawiścią (dawniej dumna, teraz w rzędzie z dziadówkami), o Antku-„łajdusie” i o Jagnie („kiej suczka nie chce, pies nie weźmie... kiecką przywabią”), wróżąc, że „przyjdzie do tego, jeśli czymś gorszym się nie skończy”.

Reymont rozwija **potężny liryczny obraz zimowego boru w zamieci** — wichur zmagają się z lasem w naprzemiennych ciszach „jak w kościele” i dzikich rykach, gdy „bór się prostuje i uderza jak moczarny oslepy gniewem”; jeden z najsłynniejszych jego opisów przyrody. W martwych ciszach słychać **dalekie łomoty siekier** — „las rąbią przy Wilczych Dołach” (dwórtnie bór). Hanka z Bylicą zbierają susz, lecz w zamieci **gubią drogę**, błędząc przez dębinę, mokradła i nieprzebyte pola (Bylica pada, Hanka go dźwiga), aż padają wyczerpani **pod krzyżem** na skraju lasu — przejmujący obraz **Chrystusa zerwanego przez wichur**, wiszącego na jednej ręce, tłukącego się o drzewo „jakby litości prosił”. Pod krzyżem Hanka tonie w mrocznych myślach o zdradzie Antka — zgrozie, że „jakby z rodzoną matką się sprzął” (Jagna jest jego macochą) — i wzbiera w niej **dziki gniew jak storm-targany bór**: ślubuje **zemstę na Jagnie** („Zapłacę ci za wszystko! zgniję w kreminalu, ale sprawiedliwości by nie było, żeby taka spokojnie chodziła po świętej ziemi”). Lecz złość gaśnie pod ciężarem wyczerpania — brzemień wgniata jej plecy, węzeł dusi gardło, idzie coraz wolniej. Tak Reymont splata **wielką elegię zimowej przyrody** z psychologicznym portretem **Hanki — udręczonej zazdrością, lecz niezłomnej** — i z wciąż obecnym w tle wyrębem dworskiego lasu.

W mozolnym powrocie przez szalejącą **zamieć** (kolejny potężny obraz kotłującej się zawieci) Hanka, przygnieciona brzemieniem „jakby dźwigała całą zimę”, omackiem wlecze się od topoli do topoli, popłakując i szepcząc pacierze, gnana trwogą o dzieci. Dogania ją **Boryna**, wracający z sądu (sprawę o krowę **przegrał** i zapłacił kosztą) z Witkiem i Jambrożym. Stary, choć zrazu chce ją wyminąć, **zatrzymuje się i podwozi** ją (drewno do półkoszków). W drodze, studiując jej twarz, zdumiewa się **przemianą Hanki** — zamiast dawnej zalęknionej pokory bije od niej „mrozący spokój” i „moc skamieniała”; mówi jak równa, bez skargi: „bieda łacniej przekuwa człowieka niżli kowal żelazo”. Pod chałupą Boryna **cicho ją zaprasza**: „zajrzyj do mnie, choćby jutro... miarkuję, że krucho z wami, ten łajdus przepija wszystko, a ty mrzesz głodem z dziećmi... znajdzie się i dla was”. Wzruszona Hanka całuje go w rękę i obiecuje przyjść.

W zimnej chałupie, brooding nad tym spotkaniem, w Hance **dokonuje się przełom**: gniew na starego gaśnie, a wzbiera **bunt przeciw Antkowi** — to przez jego pijaństwo i zdradę cierpi najbardziej, nie przez Borynę. Przybyły **Bylica** (uratowany przez Borynę od zamarznienia) potwierdza dobroć starego („kwardy jeno z wierzchu”) i **doradza córce zgodę z Boryną**: „na

Antka się nie oglądaj, ino siebie i dzieci miej na widoku... u niego piekło, nie dziś to jutro Jagnę wygoni i ostanie sam... może by przyzwał z powrotem". Hanka rozważa rady, czuwając na próżno przy oknie na Antka. Pada wymowny szczegół — **Hanka jest brzemienna** („troje nas cierpi biedę, niezadługo będzie czworo”) — i przestaje liczyć na męża, biorąc na siebie los wszystkich. Marzy o **odzyskaniu gospodarstwa** i ziemi pod nogami; rośnie w niej nadzieja, moc i odwaga, aż postanawia nazajutrz **zabrać dzieci i pójść do Boryny**, choćby Antek zakazywał lub ją skatował. Tak rozpoczyna się **realignacja sił** — udręczona, lecz wewnętrznie wzmocniona Hanka zaczyna przymierze ze starym Boryną przeciw Antkowi i Jagnie, walcząc o przyszłość swoją i dzieci.

Nocą, gdy wiatr ucichł, Hanka dostrzega nagle **krwawą lunę i wrzask — we wsi wybuchł pożar** (gdzieś w środku Lipiec), dzwon bije na trwozę. Wybiegłszy, natyka się na **Antka pędzącego od wsi — okrwawionego, bez czapki, z rozdartym kożuchem, osmoloną twarzą i dzikim ogniem w oczach**; ten brutalnie wpycha ją z powrotem do chałupy („wracaj!"). Jego stan rzuca **mroczne podejrzenie podpalenia** (Hanka lęka się, że gore u Boryny).

## Rozdział X — wieczornica przedziałna u Kłębów

---

Cofając się do wieczora tego samego dnia, Reymont maluje **prześlivicową wieczornicę u Kłębów** — z bogatą, satyryczną **galerią wiejskich kobiet** (utyskująca Gołębowa, dufna Płoszkowa, procesownicza Balcerkowa, plotkara Kobusowa, pobożna Sochowa i in.), schodzących się z wełną i kądzielą, by praść i gwarzyć. Przychodzą Jagna, Józka, Nastka, a za nimi parobcy. W gawędach przewija się **plotka** (o judzącej Jagustynce, o niepowrotnej z lasu Hance — Płoszkowa urywa, widząc reakcję Jagny). Wpada **kuczerska zabawa zapustna z niedźwiedziem — Jasiek Przewrotny w przebraniu z grochowin**, wodzony na powrósle, z piszczałką Michała i bandą chłopaków; niedźwiedźnik wygłasza tradycyjną rubaszną przemowę („z kraju dalekiego, gdzie ludzie do góry nogami chodzą”), niedźwiedź tańczy i goni dziewczęta wśród powszechnej wrzawy, aż Kłębowa ich obdarza.

Wreszcie dziewczęta nakłaniają **Rocha do opowieści** — snuje **baśnie o królach**: zaklęte wojska śpiące w górach, czekające trąby, by „paść na nieprzyjacioły i ziemię ze złego oczyścić”, zaczarowane zamki, królowny, smoki strzegące skarbów, Madej, kije samobije, południce i upiory. Na koniec opowiada o „**chłopskim królu**” — sprawiedliwym władcy, którego panowie szydęro tak przezywali, a który wędrował przebrany po chłopsku, naprawiał krzywdy i **ożenił się z gospodarską córką Zofią spod Krakowa**, rządząc długo „jak ociec narodu i pierwszy gospodarz” (zawoalowana, patriotyczno-demokratyczna legenda o Kazimierzu Wielkim). Tak Reymont zestawia **dramatyczny wybuch pożaru** (z ciężkim cieniem winy Antka) z

**etnograficznie bogatą wieczornicą** — obrzędem zapustnym i ludowo-patriotycznym gawędziarstwem Rocha.

Jagna słucha **w zachwycie** — najmocniej chwytą ją baśń o królu i gospodarskiej córce: „Poszłabym za nim w cały świat za to jedno słowo!” (jej żywiołowa, romantyczna tęsknota). Po Rochu wieś snuje **ludowe podania i zabobony** — o topielicach, upiorach (przebijanych osikowym kołkiem), południcach, wilkołakach, pokutujących duszach — mrozące krew opowieści, od których „włosy się podnoszą”. Roch dorzuca **przypowieść o koniu**: narowisty koń zabił ubogiego gospodarza i uciekł na wolność, lecz zima (głód, mróz, wilki) zegnała go ku „krajowi wiecznemu”, gdzie sam Jezus-Gospodarz odmówił mu wstępu do niebieskiej stajni — „wałkoniu i zabijaku, dopiero gdy błogosławić będą cię ci, co cię przeklinają, wpuszczę”. Odesłany, koń wraca do zubożałej wdowy, która go bije, lecz wilki Jezusowe zaprzęgają go do pługa; **przez lata pracuje pokornie, cierpiąc sprawiedliwie**, aż wdowa, dorobiwszy się, z serca mu odpuszcza — i tej samej nocy wilki wiodą go do niebieskiej zagrody. To **parabola o grzechu, pokucie przez cierpienie i odkupieniu** (czytelnie rezonująca z losem Antka). Gdy pada morał, że nic nie ujdzie oka Bożego — „ni najtajniejsze pomyślenie” — **Jagna wzdryga się, bo właśnie wchodzi Antek**.

Rozdział wieńczy **wielka liryczna apoteoza baśni i marzenia**: dusze zebranych „rosną pod niebo”, uciekając z szarego, nędznego życia w **baśniowy świat cudów**, gdzie „każde drzewo mówi, każdy kamień ma duszę”. Reymont snuje medytację o człowieku, co „jak ślepy kamień pod wodą” żyje w mroku trudu, „w błocie tarzając gwiazdną duszę”, a tylko w godzinie cudu lub śmierci dojrzy ukryte dziwy — wspólnotowa, niemal religijna **ekstaza wyobraźni** jako wytchnienie biedoty. Jagna, „jakby wniebowzięta”, bierze wszystko za żywą prawdę i — w przyływie ludowego talentu — **wycina z papieru** strachy, króle, upiory i smoki w miarę, jak Roch opowiada. Tak Reymont spleta **odkupieńczą przypowieść** (zapowiedź drogi Antka przez cierpienie), bogatą **folklorystyczną wieczornicę** i poetycką **pochwałę marzenia** jako duchowego azylu ludu.

Pochłonięta wycinaniem Jagna nie dostrzega niecierpliwych znaków Antka. Nagle **za oknem przesuwają się jakieś twarze** — ktoś chodzi pod chałupą, psy szczekają — i izbę ogarnia trwoga („łeb kiej ceber i ślepie czerwone!”, myślą, że to wywołany zły); Roch wychodzi ich uspokoić. By odpędzić lęk, snuje **wielką przypowieść o Kazimierzu Jastrzębiu** — moralny rdzeń rozdziału. Bogaty, dobry kmieć Jastrząb, przewodzący gromadzie i pomocny biednym, rusza na **wojnę z poganami** (Turkami pustoszącymi kraj); wraca po latach jako żebrak, by zastać dom zniszczony (mór zabrał dzieci, piorun spalił budynki, wilki wydusiły stada, sąsiedzi zagarnęli ziemię). W rozpacz **bluźni przeciw Bogu** („na darmo krew lałem za Pańską sprawę”) i **zaprzedaje duszę diabłu** (cyrograf podpisany krwią). Fortuna wraca (diabły robią za parobków), lecz bez błogosławieństwa — bez dzieci; Jastrząb bogaci się, pyszni, pomiata biedotą, rąbie krzyż i porzuca święte obrazy. Wreszcie przychodzi **Boża kara**: choroby, mór,

piorun, susze, ruina, gnijące ciało; diabły go porzucają. W burzliwą noc, gdy diabły cisną się po jego duszę, **żona broni go różańcem i obrazem**, a gdy **ksiądz odmawia** przyjścia do bezbożnika (jedzie grać w karty do dworu), modli się do **figury Częstochowskiej**. Matka Boża zstępuje z ołtarza, lecz że tylko kapłan może rozgrzeszyć, **sama jedzie po księdza** — wzgardziwszy ubogą, ksiądz rusza dopiero, gdy Panienska przemienia się w „panią starościnę” z karetą. Jastrząb zdąży się wypowiedzieć i umiera pojednany; Madonna zamyka mu oczy, błogosławi żonę, a **zaniedbałego księdza** za grzech zamienia w **kamień** — klęczącą na wieki figurę „ku ostrzeżeniu grzeszników” (w Dąbrowie pod Przedborzem). Przypowieść — o karze za pychę i bluźnierstwo, ratunku przez wiarę żony i miłosierdzie Maryi, oraz **antyklerykalnej przyganie złemu pasterzowi** — zapada w głębokiej ciszy i czci. Mateusz gra na fleciku, Sochowa śpiewa „Pod Twoją obronę”, po czym wraca zwykła gawęda. Tak Reymont umieszcza w sercu wieczornicy **monumentalną moralną legendę**, rezonującą z naczelnymi motywami powieści (grzech, kara, odkupienie, krytyka duchowieństwa).

Pod osłoną gry w **zagadki** (Tereska sypie ludowymi zagadkami — chleb, ser, skrzypce, wiatr) i wieści, że Boryna pije w karczmie, **Jagna wymyka się**, a Antek dopada ją w sieni i wyprowadza tyłem przez sad za stodoły — nikt nie dostrzega ich wyjścia.

## Rozdział XI — spełnienie miłości

Reymont rozwija **wielką liryczną scenę spełnienia miłości Antka i Jagny** w nocnych, śnieżnych polach. Wybiegłszy w bezgwiezdą noc, oboje — wciąż urzeczeni baśniami Rocha — biegną „jak spłoszone jelonki”, w upojeniu, „lecząc w ognistą przepaść”. W czulej wymianie Jagna wyznaje, że na wieczornicę poszła tylko w nadziei spotkania, że serce jej „tłukło się, aż ludzie musieli słyszeć”. Ich namiętność, oddana **ekstacyjną, nasyconą obrazami przyrody prozą**, dopełnia się całkowicie („stopieni z sobą jako dwie żagwie płonące... oddawać się sobie na śmierć”); poprzeplatany urywany dialog („Jantoś! Jantoś!... bo zamrę!”) i wielkie porównanie do **budzących się na wiosnę soków ziemi** („jako te soki... aż się odnajdą, przepadną w sobie i w świętej tajemnicy poczną”) podnoszą ich miłość do żywiołowego misterium natury. Tłem jest **mroczna, niespokojna, nawiedzona noc** oraz **omeny zbliżającej się wiosny** (odwilż, piejące koguty, gzące się zające). Chwilę grozy wnoszą **wilki rozszarpujące zająca tuż obok** („że to nas nie wytropiły!”). Rozgrzewani pocałunkami, kochankowie wracają, „jako te okwiecone wiosną rozłogi”, wybuchając namiętym śpiewem. Tak Reymont przedstawia **fizyczne spełnienie zakazanej miłości** — kulminację wątku Antka i Jagny — splatając ją z liryczną apoteozą natury i przecuciem wiosny, a zarazem (przez wilcze drapieżstwo i grzech cudzołóstwa) z cieniem nieuchronnej kary.

Wracając ku wsi (Jagnę chwyta nagły płacz i przecucie, „cichość kieby śmierć przy mnie stojała”), spłoszeni jakimś cieniem kochankowie chronią się **w jamie brogu**. Tam dosięga ich **straszliwa zemsta Boryny** — stary, „straszny kiej trup”, przyczał się z widłami: zatyka otwór wiązka słomy i **podpala bróg, by spalić ich żywcem**. Dławiących się w dymie ratuje cud — Antek wyłamuje przysłone, lecz **Boryna przebija go widłami** do ziemi; Antek zrywa się, wali starego pięściami i ucieka, Jagna też znika w nocy. Boryna, nie dopadłszy ich, biega wokół płonącego brogu z krzykiem „**Gore! gore!**” — pozorując, że to **Antek dokonał podpalenia**. Bije dzwon, rośnie luna, iskry sypią się na wieś.

## Rozdział XII — nazajutrz: potępienie wsi

---

Rano cała wieś zbiega się na **pogorzelsko** (spalony bróg, zerwane dachy chlewów). Wśród śniegu i gwaru kobiety wygrzebują z popiołu **zapaskę Jagny** — dowód, że była tam z Antkiem. Wybuch **skandal i powszechne potępienie**: baby (Kozłowa, Kobusowa, Sikorzyna) złorzeczą Jagnie („taką trzeba ze wsi wyświecić ożogiem kiej czarownicę! bez nią to wszystko!”), wypominając wszystkie jej grzechy i dawne urazy; sołtys na próżno je rozgania. Powtarza się przekonanie, że **Antek podpałił z zemsty** (odgrażał się, Boryna go pilnował, kowalów chłopak widział, jak go śledził), i że cudem ocalała wieś (brak wiatru, w porę spostrzeżony pożar — pierwsi ujrzeni go niedźwiednicy z karczmy). Mężczyźni surowo potępiają Antka; nawet **Mateusz** rezygnuje z obrony („rozum mu odjąć musiało”). Najgłośniej szczuje **kowal** — domaga się kary („do kreminalu, na Sybir, kijami zatłuc kiej psa wściekłego, bo nie dość, że z rodzoną macochą, to jeszcze podpala!”), kierując się **własnym wyrachowaniem** (usunąć Antka, by zagarnąć spadek). Pada też trafna **uwaga prawna** (procesowniczkę Balcerkowej): nawet gdyby Boryna widział podpalenie, świadczyć nie może (ojciec i syn w jawnej waśni). Tak rozgrywa się **dramatyczny szczyt wątku zazdrości** — usiłowanie zabójstwa przez ogień, fałszywe obciążenie Antka i Jagny oraz **rozpętana nienawiść wsi**, gotowej skazać ich za zbrodnię, którą popełnił sam mściwy Boryna.

Podjudzony przez kowala **tłum wpada w furję** — Kozłowa krzyczy „oboje przywlec i skarać na pogorzelsku!”, a rozwścieczona ciżba rusza, by wywlec Antka i Jagnę. Powstrzymuje ją tylko nadejście **księdza z Panem Jezusem** (idącego do umierających — zmarzłej w lesie Filipki i przygniecione drzewem Bartka z tartaku): tłum pada na kolana, gniew opada, ludzie rozchodzą się zawstyżeni. W południe pisarz ze strażnikami **bada pożar**, lecz pod wieczór **odjeżdżają bez Antka** — ku osłupieniu wsi, pewnej, że powiozą go w kajdanach. Nikt nie wie, co Boryna zeznał (wiedzą tylko wójt i sołtys, i milczą). Wieś łamie sobie głowę: skoro Antka nie wzięli, to nie on podpałił — więc kto? (Jagny ani starego nikt nie podejrzewa). **Gniew do Antka gaśnie**, lecz wzbiera **sroga niechęć do Jagny** — kobiety rozszarpują jej reputację za „śmiertelny grzech”; powszechne jest natomiast **współczucie dla Hanki** (Kłębowa i Sikorowa niosą jej dobre słowo i jadło).

Nadchodzi marzec z fatalną pogodą (plucha, mokry śnieg, błoto), a o pożarze stopniowo zapominają. W **zapustny wtorek** wieś świętuje ostatki (pączki, niedźwiednicy, muzyka w karczmie do północnego dzwonu), a tymczasem u Dominikowej **wójt i sołtys do późna czynią zgodę między Jagną a Boryną**. Lecz w domu Antka nie ma spokoju: Hanka, dowiedziawszy się tej nocy wszystkiego od Weronki, **zamarła w mękach „jak trup”** — przez dwa dni nie je, nie śpi, nie prządzie, nieczuła nawet na płacz dzieci (Weronka przejmuje dzieci i chorego Bylicę, Antek znika od świtu do nocy). Trzeciego dnia Hanka **budzi się całkowicie odmieniona** — twarz szara, popielna, postarzała o lata, „jakby z drzewa wyrzezana”, oczy gorejące sucho, usta zacięte, wychudła do kości. Tak Reymont domyka dramatyczny przesilenie: **Antek uniknął aresztu** (zagadkowe milczenie Boryny), **Jagna staje się kozłem ofiarnym wsi**, a **udręczona Hanka przeobraża się** w twardą, zdeterminowaną kobietę — gotową do dalszej walki.

Hanka **odradza się ze zmienioną duszą** — z nową, „nieustępliwą siłą życia i walki”, hardą pewnością, że przemoże; tuli dzieci, godzi się z Weronką i oznajmia, że czuje się „kiej wdowa”, więc sama musi zatroszczyć się o wszystko. W **Popielec** idzie do kościoła (piękny obraz słonecznego, mroźnego dnia), gdzie w bocznej nawie składa przed Matką Bożą **zarliwą spowiedź** z własnych win (pycha, kłótniowość, lenistwo), błagając o miłosierdzie i dla Antka. Umocniona, z podniesioną głową idzie **do Boryny** — gdzie wita ją radośnie Łapa i zapłakana Józka. Stary (postarzały, wychudły) przyjmuje ją serdecznie, wypytuje o dzieci, **ładuje jej tobołki jadła**, daje grosza na sól i mówi: „Przychodźże częściej, choćby co dzień... dawaj na dom baczenie” — **przygarniając Hanke jako sprzymierzeńca**. (Witek donosi, że wójt i sołtys codziennie naglą starego do zgody z Jagną.)

W domu Antek, widząc tobołki, zarzuca jej zebranie; wybucha kłótnia, w której Hanka **zaciekle mu się przeciwstawia** (chwytając maglownicę), a celnym ciosem — „jeszcze taniej nas i siebie przedał, bo za Jagną kieckę!” — trafia go w serce, wyrzucając wszystkie tajone krzywdy; zawstydzony Antek ucieka. Reymont kreśli **upadek Antka** po pożarze: nie pracuje, wałęsa się, pije, sprzedaje ostatnią jałówkę i przepija ją w **najgorszym towarzystwie** (Kozioł, Filip, Gulbasowe wisielaki), wszczyna bijatyki, knuje krwawą zemstę, lekceważy posądzenia o podpalenie; daremnie przestrzegają go Mateusz i Kłęb, dawni przyjaciele go opuszczają (kował podjudza), a on **stacza się w zatracenie**. Nie zaprzestaje też schadzek z **Jagną** (w stodole Dominikowej, z pomocą Szymka), którą **niewoli groźbą** — choć jej miłość „struchlała” po mężowskich razach. Wreszcie Szymek przynosi do karczmy wieść: **Jagna pogodziła się ze starym i przeniosła z powrotem do niego**. Antka, który widział ją poprzedniego wieczoru („tała przede mną!”), wstrząsa zazdrością i poczuciem zdrady — czeka wieczora i biegnie. Tak Reymont zawiązuje **nowy układ**: przymierze Hanki z Boryną, samotniczy upadek Antka i powrót Jagny do męża, który na nowo rozpala konflikt.

Antek krąży koło ojcowej chałupy z kołkiem, wchodzi na ganek, sięga za klamkę — lecz w ostatniej chwili **odpycha go strach** (wspomnienie twarzy ojca, jak wtedy nad stawem). Przez dni nie może spotkać Jagny, więc idzie na **nieszpory** pierwszej niedzieli postu. Tam, podczas Gorzkich Żali, **ksiądz wygłasza naukę** i — patrząc wprost na Antka — gromi „synów wyrodnych, podpalaczy ojców rodzonych, uwodzicieli”, po czym **publicznie wzywa wieś, by go unikała** „jak parszywego grzechem”: odmawiała mu ognia, wody, jadła i dachu, a jeśli się nie poprawi — „wyrwała jak pokrzywę i precz wyrzuciła”. Cały kościół wpatruje się w Antka, ludzie odsuwają się „kiej od zapowietrzonego”. To **publiczna anatema** — społeczne wykluczenie. Antek wychodzi przez rozstępujący się tłum, ścigany głosem księdza, i ucieka ku lasom. Przeżywa **rozdarcie**: w przebłysku skruchy uznaje „Sprawiedliwie mówił! Sprawiedliwie!”, lecz zaraz wzbiera w nim dawna nienawiść do ojca — „Przez niego wszystko! Nie daruję!”.

Wróciwszy do wsi, doświadcza **całkowitego odrzucenia** — z karczmy ludzie pierzchają na jego widok, u Płoszków, Balcerków i Mateusza spotyka go chłód, a stara Gołębowa przegania go „jak psa”. Czuje się **samotny, otoczony potężną „mocą wsi”**, która go więzi i potępia; w pokorze szepcze „Sprawiedliwie!”, lecz kończy buntowniczym „ale ja mojego nie daruję, psiakrew!”, grożąc pięściami całej wsi, i wraca do karczmy. Tak Antek staje się **wyklętym wyrzutkiem**, rozdartym między skruchą a niezłomną żądzą zemsty.

## Rozdział XIII — nadejście wiosny

Tom zbliża się ku końcowi obrazem **rozmiękłego marca** — nieprzerwane deszcze ze śniegiem, błoto, powodzie, posępne ciemnice od świtu do nocy; Lipce „przepadają w roztopach”, ludzie czekają wiosny, a wieczorami przy prządkach brzmią **Gorzkie Żale**. Tak Reymont spleta **publiczne napiętnowanie i wykluczenie Antka** (społeczną śmierć wyrzutka) z **wielkim, melancholijnym obrazem przedwiośnia** — zamykając zimowy tom w nastroju pokuty i oczekiwania na odrodzenie.

Reymont rozwija obraz **przednówkowej nędzy** — brak roboty (dziedzic wciąż nie najmuje Lipczan), głód, przemarznięte ziemniaki, ginące oziminy, długi u młynarza i Żyda, swary z biedy — a do tego **choroby** (ospica dusząca dzieci, w tym dwoje wójtowych, febry; Dominikowa nie nadąża leczyć). Wieś tęskni za wiosną, łudzona **zwodniczymi pogodnymi godzinami** (liryczne obrazy roziskrzonych wód, pierwszego skowronka, dzikich gęsi, pierwszej przylaszczki), po których wraca plucha i śnieg — rytm nadziei i zawodu.

W foul-weather dzień około **półpościa** wieś obiega **wieść, że dziedzic rąbie chłopski las**. Zrazu niedowierzanie (po co ciąc budulec w marcu?), lecz wieś wrze — biega z nowiną, schodzi się do karczmy; **Kłęb wysyła konno chłopaków na zwiady**, a wieś czeka w **tłumionej furii** (Kozłowa podjudza, powołując się na Jagustynkę). Jagustynka niesie nowinę do

Borynów, lecz **stary nie reaguje** na sprawę lasu — każe tylko Jagnie iść spuszczać wodę z sadu.

Reymont podkreśla **oziębłą przemianę Boryny** po zgodzie z Jagną: przyjął ją z powrotem, lecz traktuje **całkiem jak dziewczkę** (bez wymówek, lecz i bez czułości), obojętny na jej urodę, dąsy i schadzki z Antkiem („jakby mu obcą była”). Po zgodzie pojechał do miasta i — wedle szeptów — **u rejenta cofnął Jagnie zapis** sześciu morgów. Prawdę zna tylko **Hanka**, teraz w takich łaskach, że stary jej się ze wszystkiego zwierza i radzi (a ona milczy); zachodzi codziennie, dzieci niemal mieszkają u dziadka, który je **rozmiłowanie hołubi**. Tak Reymont, zamykając zimowy tom, **na nowo rozpala konflikt o las** (dziedzic wreszcie tnie bór — zapowiedź zbiorowego starcia) i utwierdza **przymierze Boryny z Hanką i wnukami przeciw Jagnie** (z prawdopodobnym cofnięciem zapisu).

Wydobrzawszy, Boryna chodzi „prosto i hardo”, lecz **zeźlony i twardy dla wszystkich** — rządy ujął żelazną ręką, strzeże komory i grosza, a zwłaszcza **Jagnę traktuje jak dziewczkę** (bez dobrego słowa, napędza do roboty, bywa i rzemień w ruchu). W chałupie wre **nieustanne piekło** kłótni — Jagna ulega z musu, lecz na każde słowo odszczekuje, a żadne nie chce ustąpić; Dominikowa nie umie ich pogodzić. Reymont wnika w **psychikę Jagny**: cierpi dotkliwiej niż inne kobiety (czulsza, pieściwiej chowana), nie pojmuje własnej winy, nie umie żyć jak inne (znosić domowe piekło, godzić się co noc); przepłakuje całe noce, chce uciec do matki — lecz ta nie przyjmie jej, grożąc odesłaniem „na postronku”.

Najważniejsze: **miłość Jagny do Antka obumarła** po nocy pożaru — „cosik pękło w niej”. Garnie się do niego już tylko „ze strachu i rozpacz”, z musu, na złość staremu, a na dnie serca nosi **zjadliwy żal**, że to przez niego całe jej cierpienie, oraz **rozczarowanie** — Antek nie jest już tym wymarzoną, lecz „dzikim, strasznym kiej zbój z lasów”, napiętnowanym przez księdza i wieś, owianym „zgrozą śmiertelnego grzechu”. **Boi się go bardziej niż Boryny**; oddaje mu się jeszcze (młoda, gorącej krwi), lecz sztywnieje w ramionach, myśląc o domu — bez dawnego zapamiętania.

Podczas schadzki pod stodołą Płoszków (Antek pijany — „gorzałka jedzie od ciebie kiej z kufy”) dochodzi do **zerwania**. Wyczuwszy jej chłód i wymijające „a bo raz ci to powiadałam”, że już go nie miłuje, Antek **wybuca gorzkimi oskarżeniami**: zarzuca jej zdradę („pierwsza byś troków nie żałowała, bych mnie powiesili”), a w wielkiej tyradzie żalu **obwinia ją o całą swą ruinę**: „jeślim na takie psy zeszedł, to bez ciebie, zem cię miłował! za cóż mnie ksiądz wypomniał — za ciebie! za cóż wieś mnie odstąpiła — za ciebie!... a tobie się już mierzi ze mną, innego ci potrza!”. Niemal ją bije, pcha na ścianę i odchodzi; Jagna rzuca się za nim, czepia jego szyi, lecz on **odrywa ją „kiej pijawkę”, rzuca na ziemię i odchodzi**. Jagna **załamuje się** — czuje straszną niesprawiedliwość („niewinowata!”), potem skruchę, lęk, że nie wróci, i nagle zmartwychwstałą dawną miłość; szlocha wracając do chałupy. Tak Reymont przedstawia

**rozpad miłości Antka i Jagny** — jej chłód i strach, jego rozżalone obwinianie i gwałtowne zerwanie.

Wieść „chłopski las rąbią!” obiega wieś, która zrazu **milknie w grozie** (sprawa zbyt wielka na babie piski). Gospodarze schodzą się do Kłába na naradę, a niecierpliwa biedota (Kobus, Kozłowa) podejrzewa, że starsi „o samych siebie dbają” i gotowi się z dworem pogodzić. Mateusz prowadzi tłum do **karczmy na wspólną radę**. **Antek** skacze na środek i pomstuje na dwór — choć go boczą (księżę wypominki świeże), jego słowa trafiają: „dzisiaj wzięli las, jutro ziemię, chałupy!” — i tłum ryczy „**Nie damy! Nie damy!**”. Mateusz wygłasza **wielką mowę o krzywdzie klasowej** — dwory „kiej sieci ściskają i duszą wieś” („najlepsze pole dworskie, las dworskie, a ty, narodzie, na piaskach siedz”); pada okrzyk „odebrać lasy, odebrać ziemię!”. Lecz **bez przywódcy** gromada się kłóci i rozchodzi bez postanowienia; Mateusz, Kobus i Antek ustalają coś z gospodarzami u Kłába.

Po gorączkowej, pełnej złych snów nocy, o świcie **Antek bije w dzwon jak na pożar** (daremnie bronią mu Jambroży i organista), a Mateusz z Kobusem biegną, łomocąc w płoty: „**Na las! Wychodź, kto żyw!**”. Cała wieś **zbroi się** (kosy, cepy, kłonicy, siekiery) i zbiera w milczącej, groźnej powadze przed karczmą, czekając na **Borynę** — „pierwszego we wsi”, któremu należy poprowadzić gromadę. Próby odwiedzenia spełzają: kowala i młynarza (straszących kajdanami) wieś ignoruje jako dworskich sługusów, Rocha z płaczem — także, a nawet **księdza odrzuca** (nikt nie zdejmuje czapki, ktoś krzyczy „Płacą mu, to prawi! Kazaniem krzywdy nie zapłaci!”). Wreszcie nadchodzi **Boryna** — blady, surowy, „oczy jarzą mu się kiej wilkowi”; tłum woła „Prowadźcie, Macieju! Na las!”, a on wstępuje na belki i zaczyna przemawiać. Tak Reymont prowadzi do **kulminacji Tomu II — zbiorowej mobilizacji wsi do bitwy o las**, z Boryną na czele buntu odrzucającego wszelką władzę (dwór, urząd, nawet Kościół).

## Bitwa o las

---

Boryna wygłasza **płomienną mowę** („Narodzie chrześcijański, Polaki sprawiedliwe!”) — o równej krzywdzie wszystkich, daremnych skargach do sądu, i wzywa: skoro nikt nie broni, „**sami musimy swojego dobra bronić, gromadą całą iść i rąbać nie pozwolić...** za mną, na las!”. Cała wieś **zbroi się i wyrusza** — Reymont daje epicki przegląd rodów (Płoszki, Sochy, Wachniki, Gołębie pod Mateuszem, Sikory, Kłębiaki, Bylice, Kobusy...), ciągnących „kiej chmura gradowa”, z kosami, widłami i cepami. Boryna prowadzi w saniach, żegnając gromadę „W imię Ojca i Syna”. Kowal wymyka się **ostrzec dwór**, a **Antek**, wziąwszy od Żyda fuzję, rusza sam przodem do boru.

Na **Wilczych Dołach** od świtu rąbie las ponad czterdziestu robotników — Reymont rozwija **wielki liryczny obraz ginącego boru**: padających olbrzymów, „krwi lasu” (żółtych trocin),

otaczających drzew niby żałobników. Gdy nadciąga gromada, swarmuje rębaczy z okrzykiem „**Wara od boru! Nasz las!**”. Boryna nakazuje obcym (z Modlicy, Rzeppek) odejść pod groźbą całej wsi — ci niechętnie ustępują (zwłaszcza wrodzy Rzepczaki), a wieś gasi ogniska, rozwala sążnie, kobiety (z Kozłową) burzą budy. Lecz wtedy **nadjeżdża dwór z odsieczą — rządcą** na czele parobków szarżuje konno, **bijąc batami kobiety** („Złodzieje, do kryminału!”).

Wybuchła **właściwa bitwa**: Boryna porywa kół, woła „Kupą, do mnie! Cepami w konie!” i pierwszy rzuca się na dworskich; chłopci zwierają szeregi (cepy, widły) i ruszają „kiej bór wichurą przejęty”. W zaciekłym starciu (wrzaski, kwik koni, jęki rannych) **rządcę ściągają z konia dziesiątki rąk i ciskają w śnieg** (Boryna ratuje nieprzytomnego). Dworscy jednak nie ustępują, wzmocnieni przez **przeszłych na ich stronę rębaczy i Rzepczaków** pod wodzą olbrzymiego **borowego**, który kolbą fuzji rozbija głowy. Tak Reymont przedstawia **wielką, zbiorową bitwę o las** — heroiczny bunt chłopski w obronie własności, z Boryną jako wodzem, oraz **majestatyczną elegię niszczonej przyrody** w tle.

W szczycie bitwy szaleje **borowy** — powala Stacha, Wachnika, a nawet Mateusza, po czym zwiera się z **Boryną**; tarzają się po ziemi, stary coraz częściej na spodzie. Nadbiega **spóźniony Antek** i z ukrycia za drzewem **wyciąga fuzję, mierzy w głowę ojca** — gotów do ojcobójstwa — lecz w ostatniej chwili **paraliżuje go nagły strach** i nie strzela. W tej samej chwili **borowy roztrzaskuje Borynie głowę kolbą** — krew chlusta, stary pada „kiej kloc”. Antek, oprzytomniawszy, **rzuca fuzję i biegnie do ojca** (głowa rozłupana, jeszcze żywy), wyjąc „Ociec! Zabili go!”. Potem w szale **dopada borowego**, który strzela mu niemal w pierś (chybia, osmala twarz) — a Antek, „kiej wilk wściekły”, **dusi go i tłucze nim o drzewo, aż zabija**. Zakrwawiony, straszny, rzuca się jeszcze w bitwę, aż go odrywają. **Lipczaki zwyciężają** (poranieni: Kłębiak, Pacześ, Kobus, Mateusz), opatrują rannych i ruszają do domu, pijani triumfem, ze śpiewem.

Boryna, nieprzytomny, leży w saniach (głowa rozłupana, blady jak trup); Antek idzie obok, podtrzymując mu głowę, bełkocąc „Ociec! Loboga!”. W kulminacyjnej chwili stary **otwiera oczy, długo patrzy na syna** i z największym wysiłkiem szepcze: „**Tyżeś to, synu?... Tyżeś?...**” — i omdlewa. Tak następuje **pojednanie ojca z synem** (Antek nie zabił ojca, lecz pomścił go, zabijając borowego), wieńczące **koniec Tomu II „Zima”** krwawym zwycięstwem wsi i tragicznym, pełnym nadziei pojednaniem Borynów.

## Rozdział I — wiosenny świt

---

Tom trzeci otwiera **słynna liryczna uwertura wiosennego świtu** — kwietniowy dzień „dźwiga się leniwie z legowisk mroków” jak zmęczony parobek. Reymont maluje budzenie się świata: mgły jak mleko nad łągami, gasnące gwiazdy, rozżarzające się zorze, aż z sennej szarości **wystrzela pierwszy głos skowronka** „jak z czystego srebra sygnaturka”, a za nim czajki i boćki. Wreszcie **wschód słońca**, oddany jako **sakralna ofiara/Podniesienie** — „boże ręce wynoszą złocistą patynę nad sennymi ziemcami”. Ta majestatyczna **apoteoza budzącej się wiosny** ustanawia nastrój odrodzenia, otwierając trzeci tom po krwawej, tragicznej zimie.

Gdy dzień wstaje „jak morze weselnej światłości”, spod dworskich stogów wylania się **stara Agata** — wątła żebraczka, krewna Kłębów — **wracająca z zimowych żebrów do Lipiec** „jako ten ptak do gniazda”. Przez całą zimę marzyła, by wrócić do rodzonej wsi; teraz, chora i ledwie żywa, drecze z radością, pijąc oczyma wiosenny krajobraz. Reymont rozwija **wielki hymn do wiosny** („Hej! Zwiesna ci to szła...”) — wiosna jako „jasna pani w słonecznym obleczeniu”, puszczająca z rąk skowronki, za którą ciągną żurawie i boćki, budząca życie i nadzieję w sercach ludzkich. Wzruszona Agata pada na kolana, dziękując, że dożyła powrotu. Z drogi ogarnia **panoramę Lipiec** (wieś nad stawem, młyn, kościół, okólne pola i lasy) i z miłością ogląda kolejne zagony (księżę żyto, Borynowa pszenica — znacząc szkody po srogiej zimie). Dziwi ją **pustka pól** — w taki pogodny dzień, idealny do orki i siewu, prawie nikt nie pracuje (kilka kobiet rozrzuca nawóz, jeden chłop sieje) — co zdradza wyczerpanie i rozprzężenie wsi po zimie. Mija obojętnych ludzi (organiściak Michał, Żyd z kupionym ciołkiem), którzy jej nie poznają. Dotarłszy pod wieś, przepelniona wdzięczną radością, że Jezus „powraca ją do swoich”, przysiada odpocząć i sprawdza tobołki — uciulała dość na **pochówek**, bo całe życie marzyła o jednym: **umrzeć we własnej wsi, w chałupie, pod świętymi obrazami**, jak wszystkie gospodynie. Tak Agata, jej powrót i marzenie o godnej śmierci, **otwiera wiosenny tom**, splatając lirykę odrodzenia z cieniem przemijania i echem zimowej niedoli wsi.

Reymont pogłębia **pokorne marzenie Agaty o godnej śmierci** — ma u Kłębów skrzynię z nową, nigdy nieużytą pościelą na śmierć (sama nie miała nigdy własnej izby ni łóżka, zawsze kąt na barłogu); niesie gromnicę, wodę święconą, obrazek Częstochowskiej i zbierany grosz na **pochówek** (może na mszę przy trumnie). Słabnąca (ból w piersiach, kaszel), marzy dociągnąć do żniw, martwi się, kto ją przyjmie na czas konania. Idąc przez wieś, mija dom po domu

(młyn, kuźnia, dostatnie obejście Borynów), wszędzie dziwnie **cicho i pusto** — w pogodny dzień nikt nie orze ani sieje. W kościele (po mszy, liryczna scena z jaskółkami) spotyka **Jagustynkę**, która szyderczo wyjawia **wstrząsającą wieść: Kłęb (Tomek) i wszyscy mężczyźni ze wsi siedzą w więzieniu** — aresztowani po bitwie o las („świętują se chłopcy aż miło!"). To wyjaśnia pustkę pól — tragiczne następstwo starcia z dworem. Osłupiała Agata wlecze się do **Kłębowej**, która wita ją ciepło (sądzono, że Agata umarła na Gody), zajęta wylęgiem gąsiąt. Agata chce zaraz wziąć się do roboty, lecz **pada z osłabienia**; Kłębowa, widząc jej siną, obrzękłą twarz, pojmuje, że staruszka **umiera** — i frasuje się, że zamiast wyroku czeka ją kłopot. Tak Reymont przez powrót Agaty odsłania **tragiczne pokłosie bitwy o las** (uwięzienie wszystkich chłopów) i splata je z wątkiem **umierającej żebraczki** jako ciężaru dla biednej rodziny.

Kłębowa daje Agacie **pełną relację o następstwach bitwy**: po zwycięskim, triumfalnym powrocie ze starcia (Boryna z rozłupaną głową, Antek zabił borowego, ranni Szymek, Mateusz, Płoszka), na trzeci dzień zjechało **trzydziestu strażników z urzędnikami i sądem**, rozłożyli się na plebanii, przesłuchali i **aresztowali ponad pięćdziesięciu chłopów**. Kobiety ocalały dzięki płaczowi dzieci i wstawiennictwu księdza. **Antka kazano związać postronkami** — zerwał je „kiej nicie nadgnile", a sam podał ręce w kajdany, grożąc „skujcie mię mocno, bo wszystkich zakatrupię". Wieś **osierociała** — został tylko wójt, kowal, kilku staruchów i głupawy Jasiak; tymczasem wiosna woła do orki i siewu, krowy się ciela, kobiety rodzą, a chłopów trzeba jeszcze żywić w więzieniu. Nikt nie wie, kiedy ich puszcza (ksiądz i wójt jeżdżą dowiadywać się, Roch też pojechał). **Boryna żyje, lecz leży nieprzytomny „jako klocek"** (Hanka zwoziła doktorów — bez skutku). Pada też pogłoska, że **Jagna sprzęgła się teraz z wójtem** (zabrakło Antka i Mateusza). Wieczorem Agata rozdaje **dary** (obrazki, paciorki, koziki, machorkę), a wieś tonie w **upiornej ciszy** „jak grób otwarty". Idąc spać, Agata odkrywa, że jej **śmiertelną pierzynę** — nową, latami zbieraną na godzinę konania — **pożyczono i zabrano ze skrzyni**; zrozpaczona płacze, skarżąc się Jezusowi na krzywdę (przejmujący obraz odebrania jej jedyne go skarbu na godną śmierć).

## Rozdział II — Niedziela Palmowa

---

Nazajutrz, w **Niedzielę Palmową**, o świcie z chałupy Borynów wygląda **Hanka** — teraz tam mieszkająca i **bliska rozwiązania** (rody za tydzień). Pusta, oszroniała droga; klęka z trudem i mówi pacierz. Tak Reymont **w pełni odsłania katastrofalne skutki bitwy o las** (masowe uwięzienie, paraliż wsi, konający Boryna) oraz przenosi akcję do **domu Boryny, gdzie gospodarzy teraz brzemieną Hanka**.

O świcie Hanka **obrzędza całe gospodarstwo** (wieprzek, kury, gęsi, jaja gotowe do wylęgu, budzi Pietrka i Witka, każe głodzić łysulę — krowę Jagny). W jej rozmyślaniach Reymont

wyjaśnia, **jak Hanka zagarnęła dom Boryny**: gdy chłopów raniono i ujęto, stary Bylica doradził jej, że „Boryna wnet zamrze, Antek o świecie nie wie, a w chałupie nikogój — kowal się wniesie i nikt go nie wygoni”; więc **natychmiast przeniosła się z dziećmi do Borynów**, ubiegłszy kowala i wczepiając się w ziemię „jak suka”, świadoma, że „kto pierwszy dopadnie dziedzictwa, ma i prawo za sobą”. Mimo wrogości Jagny, kowalów, wójta (z planami na Jagnę) i nawet księdza (judzonego przez Dominikową), **Hanka utrzymała władzę** — w dwa tygodnie wszystko poszło „jej wołą, rozumem a mocą”, harując „jak wół”. Z natury nieśmiała i przez Antka zahukana, przemogła się dzięki strachowi przed wysadzeniem i zawziętości wobec Jagny; wieś podziwiała jej przemianę („za dobrego chłopą stanie”), a gospodynie szukają jej przyjaźni.

Hanka **dogłąda nieprzytomnego Boryny** — leży „jako kłoda”, z owiazaną głową, oczy otwarte, lecz nic niewidzące; poi go wodą. Następnie, patrząc na **śpiącą Jagnę** (piękną, na wpół odkrytą, o lnianych włosach), wybucha **zazdrosną nienawiścią**: „zedrzeć ci ino pazurami tę gębusię!” — palce same prężą się do darcia; lecz zaraz przyglądza włosy i odwraca się od lusterka, wzdrygnawszy na własną wynędzniałą, pokrytą żółtymi plamami twarz. Tak Reymont ukazuje **konsolidację władzy Hanki** w domu Boryny (dopełnienie jej awansu na faktyczną gospodynię) oraz **cichą wojnę dwóch kobiet pod jednym dachem**, w cieniu wegetującego, konającego starego gospodarza.

Boryna leży nieprzytomny już trzy tygodnie (czasem ocknie się, woła Jagnę, próbuje mówić — i znów drętwieje); sprowadzony przez Rocha doktor nie pomógł, więc czekają jego **rychłej śmierci**, tylko zmieniając mu szmaty i pojąc. Wokół konającego krążą **sępy spadkowe** — kowalowie zaglądają dziesięć razy dziennie (pilnując, czy Hanka czego nie wynosi, licząc, że stary jeszcze rozporządzi majątkiem), „żrą się jak psy kiele zdychającego barana”. **Kowal** wślizguje się z **intrygą**: organista wygadał, że Boryna ma sporo **ukrytego grosza** (chciał pożyczyć chłopu z Dębicy 500 rubli), więc namawia Jagnę, by skrycie **przeszukała chałupę** przed Hanką — sam prowadzi po kątach, zerka za obrazy, dopytuje o klucz od komory, łypiąc zarazem pożądliwie na półnągą Jagnę.

Reymont wnika w **udrekę Jagny**: brzydzi się starym i go nienawidzi, lecz — paradoksalnie — **ona jedna najszczerzej pragnie jego wyzdrowienia**, bo przy nim była gospodynią, „Borynową”, szanowaną; teraz Hanka odsuwa ją od wszystkiego. Nie o grunt jej idzie (gardzi majątkiem), lecz o to, że musi **ustępować Hance, kobiecie Antka** — to ją „przypieka do żywego”. Podjudzana przez matkę i kowala, zostaje „warować swojego”, choć ckni się jej nieopowiedzianie (same zapłakane kobiety, żadnego parobka). Coraz częściej **nawiedzają ją wspomnienia Antka** — nie tego ostatniego (który ją „sponiewierał”, przy łożu ojca **ani razu na nią nie spojrzawszy**, czym dobił jej miłość, tak że wzięcie go w kajdany oglądała niemal z mściwą satysfakcją), lecz **dawnego Antka z dni miłości i szałów**, do którego rwie się jej dusza w niespane noce. Wójt nadskakuje jej (słodkie słówka, karczma), lecz przyzwala mu tylko

z nudów i na złość wsi — „tak mu do Antka kiej psu do gospodarza”. W poranek **Niedzieli Palmowej** Jagna szykuje palmę i stroje do kościoła, lecz nagle gaśnie: po co się stroić i dla kogo? — siada w oknie, czesząc włosy i patrząc smutno na wiosenną wieś. Tak Reymont spleta **deathwatch nad Boryną i drapieźną walkę o spadek z psychologicznym portretem osamotnionej Jagny**, tęskniącej za utraconą miłością.

Wpatrzona w niebo Jagna **placze bezwolnie z wiosennej tęsknoty** — „jak drzewo obciążone kwiatem w wiosniane poranki”. Na drwiące wołanie Hanki („poproś dziedziczki na śniadanie”) przychodzi milcząca, smutna. Reymont maluje **domowe życie Niedzieli Palmowej**: śniadanie czeladne, komiczny wątek **Witka** (który nocą próbował wykraść z plebanii swego boćka — ptak go kujnął, psy przegnały — i knuje, jak go odzyskać), wieści Nastki o Mateuszu i **wójcie nadskakującym Jagnie**. Wszyscy idą z palmami do kościoła, a **Hanka zostaje sama** przy konającym Borynie, dzieciach i obiedzie. W lirycznej wiosennej ciszy modli się na koronce, dumając nad **umieraniem starego** — „domiera z wolna jak zboże pod sierp dojrzewające”, a przecież „taki gospodarz, mądrała, bogacz, a leży niby drzewo piorunem rozłupane”; medytacja o **nieubłaganej doli i mocy boskich przeznaczeń**.

Po powrocie z kościoła (folklor — łykanie poświęconych kotków od bólu gardła) zjawia się **Roch z wieściami od Antka**, którego **widział w więzieniu**: Antek jest „zdrowy i dobrej myśli”, nie w kajdanach ani bity (wbrew plotkom Kozła). Przekazuje jego **polecenia**: zabić wieprzka przed świętami (chce święconego), robić na roli wszystko, „na nic się nie oglądając”, a usłyszawszy pochwałę gospodarności Hanki, rzekł, że „jak zechce, poredzi wszystkiemu”. **Hanka, zalana radością**, czuje się umocniona — wola Antka „pierwsza po ojcowej” stoi teraz za nią. Na pytanie o uwolnienie Roch wymija: „może po świętach, może później, jak śledztwo skończą — przewlecze się”. Tak Reymont spleta **wiosenno-obrzędowy obraz Niedzieli Palmowej** z deathwatch nad Boryną, tęsknotą Jagny i **umocnieniem pozycji Hanki** (przez błogosławieństwo uwięzionego Antka).

Roch obchodzi wieś z wieściami o uwięzionych — niosąc pociechę „jak świętek”, lecz zarazem **rozjątrząc krzywdę**: wraca żądza zemsty, wieś znów wre lamentem i pomstą (mało kto idzie na nieszpory). Hanka, umocniona pochwałą męża, krząta się przy przygotowaniach do zabicia wieprzka. Wówczas **Boryna nagle odzyskuje przytomność** — siada, poznaje Hankę, pyta o świat, by zaraz, **przeżywając na nowo bitwę**, krzyżeć „Swojego bronić! Nie dajta się, chłopcy! Do mnie! Ratunku!” i paść w drgawkach (Magda wtyka mu gromnicę). Ocknąwszy się przytomnie, każe **wyprawić wszystkich** (kował nie chce wyjść, więc stary groźnie wskazuje mu drzwi — a tamten skrada się pod okno **podsluchiwać**). Następuje **testament Boryny** dla Hanki: zdradza, że w komorze, **w zbożu (w beczcze), schowany jest grosz** („schowaj, by ci go nie wydarli”), i zaklina ją: „**Antka broń... pół gospodarki sprzedaj, a nie daj go... Twoje...**”. Po czym znów zapada w nieprzytomność.

Podsluchawszy, **kowal naciska Hankę** o słowa starego i wsunięty jej grosz, lecz ona zbywa go drwiną; Jagustynka przerywa, kowal klnąc odchodzi. Nocą **psy szczekają na kogoś skradającego się po sadzie** — a potem milkną radośnie (to „swój” — kowal węszący za ukrytymi pieniędzmi). Hanka, **przerażona o grosz** („we zbożu... by ino me kto nie ubiegł!”), nie może go jeszcze szukać (Jagna w izbie) i prawie nie śpi.

## Rozdział III — Wielki Poniedziałek

---

W **Wielki Poniedziałek** o świcie Hanka organizuje **zabicie wieprzka** na święcone (woda na ogień, koryto, beczki do moczenia w stawie) i sama idzie do Żyda po przyprawę oraz odwiedzić ojca i pojednaną już siostrę. Deszczowy, błotnisty poranek Wielkiego Tygodnia, kościół zajęty (dwóch księży na spowiedzi). Tak Reymont zawiązuje **wątek ukrytego skarbu Boryny** (i polowanie kowala nań) oraz utrwała **testamentalne przekazanie Hance pieczy nad groszem i obroną Antka** — czyniąc z niej dziedziczkę woli umierającego.

U **Weronki** (siostry) Hanka komiseruje nad ich wspólną niedolą (mężowie w więzieniu, bieda) i obiecuje zawieźć **święcone obu chłopom** w niedzielę. Weronka donosi o **Jagnie** — „o nic głowa jej nie zaboli, stroi się, święto se robi co dnia”, a wczoraj widziano ją **z wójtem w karczmie, w alkierzu** (potwierdzenie ich romansu); gorzka Hanka: „wszystko swój koniec ma”. Hanka dogląda zziębniętego, głodnego ojca Bylicy (Weronka zapomina go karmić), zaprasza go do siebie. U Żyda (dającego teraz chętnie na borg) robi zakupy na święta (gorzałka, chleb, śledzie, nawet buteleczka araku) — z przekory i zmęczenia: „Jagna może używać, a ja to pies? Haruję jak wół!” — choć żałuje zbędnego wydatku.

W domu trwa **zabicie wieprzka** — przyszedł **Jambroży** (kościelny, zastępowany przez Rocha w zakrystii), sypiąc komicznymi docinkami do Jagustynki i **antyklerykalnymi żartami** o zjeżdżających na spowiedź księżach (łaznowski potrzebuje porcelany, słupski przy spowiedzi trzyma pachnącą flaszkę, „bo mu naród śmierdzi”). Jambroży **zabija wieprza** (ogłusza pałą, wbija nóż w serce, krew do niecek), po czym oparzonego i wymytego **wieszają w izbie Boryny** (gdzie stary leży nieprzytomny — „nie przeszkodzi”) — słonina na sześć palców. Jagny nie ma (poszła do kościoła). Pyszniąca się Hanka gości zaglądające kumy, które dziwią się ogromnemu wieprzowi („większego nie miał i młynarz”). W tle **ruch Wielkiego Tygodnia** — wieś ciągnie do spowiedzi mimo błotnistych dróg i zmiennej, „matyjaśnej” wiosennej pogody. Tak Reymont spleta **gatunkowy obraz wielkanocnego uboju i obrzędów** z umacnianiem się Hanki jako gospodyni, potwierdzeniem **romansu Jagny z wójtem** i trwającym w tle konaniem Boryny.

Wśród antyklerykalnej satyry (zdzierstwo dorobkiewicza-organisty) wraca **Jagna**, wściekła, że wieprzka bito w jej izbie („izbę mi zapaskudzą”); zbyt chłodno przez Hankę, idzie prosto do kowala. **Kowal** wpada z gniewem: „Borynowy wieprzek! jakim prawem żeście zarznąli!” —

żąda połowy. Hanka twardo odmawia („Antek kazał, on rządzi za ojca”), odpierając jego groźby (że Antka „powłoką w kajdanach na Sybir”). Wówczas kowal zmienia ton i odsłania **właściwą intrygę** – proponuje Hance **tajną spółkę**: skoro stary ma gdzieś **schowany grosz**, niech go odnajdą i podzielą się po cichu (można by za to wykupić Antka z więzienia albo wyprocesować od Jagny morgi); wyłudza wskazówki („o zbożu, o beczkach wam cosik prawil”), lecz **Hanka udaje głupią** („w beczkach stoi zboże do siewu”) – kowal jednak utwierdza się, że ona coś wie. Po jego odejściu Hanka klnie go („Judaszu, ścierwo, zbój!”); dręczy ją zarazem **lęk o Antka** (groźby Sybiru, niepewny werdykt adwokata – „może być różnie, trza pieniędzy i cierpliwości”), podsycany podjudzaniem kowala.

Wieczorem **Jagna wraca z Dominikową** – obłudnie życzliwą, co stawia Hankę na baczności. **Dominikowa**, odmawiając gorzałki (Wielki Tydzień) i drwiąc z bezbożności Jambroża, roztacza **groźną obecność** – wieś boi się jej „złych ślepiów” i mocy rzucania uroków; pod jej spojrzeniem milkną nawet Jagustynka i Jambroży. Razem z Jagną zaczyna napastliwie pomagać, a Hanka nie śmie wzbronić. Tak Reymont zaostrza **intrygę o ukryty skarb Boryny** (kowal poluje, Hanka strzeże) oraz **lęk o los Antka**, formując **wrogi obóz kowala, Dominikowej i Jagny** przeciw osamotnionej, lecz nieugiętej Hance.

Przy wyrobie kielbas Dominikowa z Jagną podstępnie zataczają mięso do **komory po stronie Boryny** (by kontrolować dostęp), co rozsierdza Hankę – planuje skrycie przenieść je i **przeszukać beczki ze zbożem**, gdy Jagna pójdzie do kościoła. Lecz **Jagna nie rusza się z domu**, wchodzi nawet za Hanką do komory („czego szukacie? wiem, gdzie co jest”), więc Hanka, pojąwszy, że jest stróżowana, odkłada zamysł. Wieprza bito w przededniu wezwania księdza z wiatykiem – do umierającej **Agaty**, która (wedle plotki) została wygnana przez Kłębową (ta zabrała jej pierzynę), a przygarnęła ją za **dwadzieścia złotych** Kozłowa, by „dotrzymać do śmierci”. Hanka, jak każe zwyczaj, rozsyła **podarunki** (kawały kielbasy i kiszki) krewnym i sąsiadom, kalkulując, kogo ułagodzić (stryjną-kowalową, wójta, Magdę, Pryczkową, Kłębową).

Reymont daje **wielki lament Jagustynki o nędzy wsi** – przytłoczonej cierpieniem, które widziała: u **Filipki** najstarsza córka padła **z głodu** (nie ma ziemniaków, pierzynę sprzedali, Filip w więzieniu); **Florka Pryczkowa** powiła zdrowego syna, lecz wyschła „kiej szczapa”, bez mleka, bez grosza (Adam w więzieniu) – i wszędzie wśród komorników to samo: „ni komu robić, ni gdzie zarobić, ni grosza, ni poratunku, męża w kreminalu”, „mógłby Jezus sprawić, by letką śmiercią pomarły”. Pada jej **ostra krytyka społeczna**: bogacze (młynarz, ksiądz, organista) nie pomagają biednym, „tą biedą ludzką się pasą i na niej tłuszcją” (młynarz żniwuje, gdy ludzie sprzedają ostatek na mąkę). Hanka, wspomniawszy własną niedawną nędzę, wzdycha. Tak Reymont odsłania **ludzki koszt uwięzienia chłopów** (głodujące rodziny) i **przejmujący obraz nędzy biedoty**, splatając go z dolą umierającej Agaty i trwającą intrygą o skarb.

Tknięta przecuciem Hanka **przylapuje kowala w komorze** — z rękoma po łokcie w beczce zboża, **szukającego ukrytych pieniędzy** (udaje, że sprawdza, czy ziarno nie spleśniało). Wśród wzajemnych gróźb wypędza go, klnącego. Następnie napada na **Jagnę** za wpuszczenie obcego do komory; gdy ta hardo się stawia, Hanka grozi sądem za współudział, i **omal nie dochodzi do bójk** (pazury, maglownica) — w porę nadchodzi **Roch**, zawstydzając Hanke. Jagna zostaje, szlochając na łóżku. Roch **surowo gani Hanke**: „mało bied, chorób, głodowań, to się jeszcze w pojedynkę za łby biorą!"; gdy Hanka usprawiedliwia nienawiść do Jagny („prosto bym nożem pchnęła”), Roch napomina: „**Pomstę ostawcie Bogu! Ona też człowiek i krzywdy czuje... nie krzywdźcie jej!**” — i radzi zostawić ją w spokoju, robić swoje, ufać Bogu.

## Rozdział IV — ugory i solidarność chłopska

---

Idąc nad stawem, **Roch rozmyśla nad nieszczęściem wsi**. Najgorsze nie jest ani głód, ani choroby, ani liczniejsze śmierci (to bywało co roku) — lecz że **ziemia leży odłogiem, bo nie ma jej kto uprawić** (wszyscy chłopcy w więzieniu, ostały same kobiety). Reymont daje **liryczny kontrast**: gdy wszystkie okoliczne wsie wrą wiosenną robotą (błyskają pługi, niosą się przysiewy), **tylko pola Lipiec stoją puste, martwe, „jako ten smętarz żalosne”** — a do tego ciągle utrapienia o uwięzionych (codzienne pielgrzymki do miasta). Zarazem rysuje się **budząca się solidarność chłopska**: krzywda Lipiec staje się „krzywdą całego narodu chłopskiego” — okoliczne wsie, dawni rywale (Rudki, Wólka, Dębica, szlachta rzepecka), porzucają zwady i **przybywają wypytywać, współczuć, zaciskać pięści na krzywdzicieli**. Roch, medytując, **postanawia jakieś ważne przedsięwzięcie**. Tłem jest narastająca **wichura** (epicki obraz wiatru targającego wsią). Tak Reymont splata **moralną przestrozę Rocha** (przeciw zawiści Hanki), **tragedię odłogujących pól i rodzącą się ogólnochłopską solidarność** wokół krzywdy Lipiec — nadając konfliktowi o las wymiar narodowo-społeczny.

Roch natyka się na **bunt kobiet** przed chałupą sołtysa: strażnicy z wójtem żądają od wsi **dwudziestu wozów i ludzi do szarwarku** (naprawa drogi w lesie przed przejazdem urzędu), lecz **kobiety (z Płoszkową na czele) odmawiają** — „wozów ni koni nie damy, niech pierwej puszczą naszych chłopów; dziedzica by zaprzęgły”. Wybucha furia na wójta (który trzyma z władzą i radził przekupić strażników jajami) i litania krzywd (postrzelone psy, błahe pozwy); strażnicy się wycofują. Roch obiecuje wstawić się u wójta i uspokaja gromadę. U sołtysowej (gdzie mieszka, ucząc dzieci) Sochowa zdradza podejrzenie, że „wszystko patrzy, jakby się na Lipcach **mściły za las**” — dziedzic mści się przez urzędy („pan z panem łącniej się zmówi”). Nie udało się też najmować robotników z Woli (każdy swoje obrabia).

Reymont maluje **obchody Rocha jako opiekuna wsi** — chodzi od chałupy do chałupy, **pomagając** w najcięższej robocie (lepi szpary u Gulbasowej, ujeżdża konia u Wachników, uczy Marysię Balcerkównę siać groch z wiatrem — i podsuwa jej swata Wawrzona Sochę, orze za małych Płoszczaków, rąbie drwa u Kłębów), łagodzi kłótnie, doradza, żartuje, czuwa nocami przy chorych. Wieś czci go „jako świątka Pańskiego”. Lecz Reymont podkreśla, że **Roch sam nie podola nędzy** ogromnej wsi (ponad pięćdziesiąt chałup, mnóstwo ziemi i gąb do wyżywienia), która od uwięzienia chłopów „trzyma się więcej boską opatrnością niżli ludzkimi zabiegami” — jego pomoc to „jedna okruszyna”, a bieda mnoży się z dniem każdym. Tak Reymont splata **kobiecy opór wobec szarwarku** (i dworską zemstę przez urząd) z **portretem Rocha — samotnego, bezsilnego wobec skali nieszczęścia dobroczyńcy ludu**.

Chodząc po wsi, Roch dostrzega **wszechobecny upadek** — nie tylko odłogujące pola, ale walące się płoty, odarte dachy, błoto, głodne bydło, rdzewiejące pługi: bezładną ruinę, bo „któż to ma podjąć, naprawiać?” (same wyczerpane kobiety). Wieś czeka powrotu chłopów „jak zmiłowania Pańskiego”. Szukając wójta (wyjechał z strażnikami), Roch spotyka **Jagustynkę** w nieoczekiwanym przyplwywie tkliwości („na każdego przychodzi taki czas, że jak pies zgoniony rad, kiej go pocziwa ręka pogłaszcze”), proszącą, by zajrzał do głodujących Pryczków i Filipki. W młynie Tereska żołnierka nieśmiało wypytuje o Mateusza — Roch karci jej zaślepienie (męża ma w wojsku).

Następnie **przez całą noc szaleje wichura**, a o świcie burza z piorunami i ulewą. Rano **szkody są ogromne** (połamane drzewa, dachy, płoty; u Płoszków zawalone chlewy zgmiotły gęsi). Najgorsze: **zawałiła się chałupa Weronki** (siostry Hanki, żony uwięzionego Stacha) — zostały gołe ściany, dach i komin runęły, lecz cudem nikt nie zginął. Zrozpaczona Weronka szlocha na gruzach z dziećmi („o sieroty my biedne, kaj się podziejem?”), a obłąkany z biedy Bylica błądzi po rumowisku zganiając kury. Nadbiega Hanka, gromadzi się wieś. Zjawia się **ksiądz** i — w **ciepłym, współczującym ujęciu** (kontrast wobec wcześniejszej satyry) — pociesza Weronkę, sam ocierając łzy, obiecuje darmową mszę na jej intencję, przygarnia jej krowę do swojej obory, błogosławi ją i dzieci „jak najlepszy ociec”. Weronka opowiada, jak ledwie zdążyła wynieść dzieci, nim chałupa się zapadła (noc przesiedzieli w dole ziemniaczanym). Pies Kruczek żałośnie wyje nad ruiną. Tak Reymont **spiętrza klęski nad wsią** (żywiłowa katastrofa wieńcząca nędzę i uwięzienie), ukazując zarazem **miłosierdzie księdza** wobec bezdomnej rodziny.

Ksiądz aranżuje **przygarnięcie Weronki** do pustej izby Sikorów (gdzie uczył Roch) i przysyła trzy ruble; wieś przeprowadza ją, a kobiety **znoszą jej dary** (Kłębowa, organiścina — groch, kasza, mąka, słonina) — wzruszający obraz **solidarności w nieszczęściu** („są jeszcze dobre na świecie!”). Stary **Bylica nie chce opuścić ruin** („urodziłech się tutaj, to i zamrę”), oddaje Hance swego psa **Kruczka** (w miejsce zbiegłego Burka). W tętniącej wiosenną krzątaniną wsi

(sprzątanie, bielanie, wozy do miasta) handluje od chałupy do chałupy uczciwy **Żyd Judka** z żoną wymieniającą błyskotki za jajka.

**Tereska żołnierka** próbuje sprzedać Hance nowy wełniak (Żydówka daje piętnaście złotych za wart trzydzieści) — rozpaczliwie potrzebuje grosza; zawstydzona ucieka. Jagustynka wyjawia, że pieniądze są **dla Mateusza, nie dla męża-żołnierza** — Tereska co tydzień „waruje pod kryminałem jak pies”, nosząc Mateuszowi (chłopu „kiej smok”), gdy mąż daleko w wojsku „i nie wiada, czy wróci”. Hanka, myśląc o Antku i Jagnie, zadumuje się nad tą paralełą; planuje sama odwiedzić Antka w więzieniu na święta (mimo ciąży).

Tymczasem trwa **wojna Hanki z Jagną** — Jagustynka odkrywa, że **połowa słoniny zniknęła** (ucięta nożem — „Jagusina sprawka”, wyniosła matce). Hanka przenosi resztę do swojej komory (lecz beczek ze zbożem nie rusza, by nie zaalarmować kowala). Jagna hardo przyznaje się do kradzieży („zjadłam! tak moje jak i wasze!”), prowokacyjnie zbywając tyradę Hanki uśmiechem — co doprowadza Hankę do furii (nie umie jej przemóc). Drobne docinki ciągną się do nocy (spór o gaz). Tak Reymont splata **solidarność wsi w klęsce** (Weronka, Bylica), **paralełę Tereska–Mateusz** (kobiety biorące kochanków pod nieobecność mężów) i **niegasnącą wojnę Hanki z Jagną** w przededniu świąt. Wielki Czwartek nadchodzi, Józka rwie się do miasta na zakupy.

Reymont rozwija **bogaty etnograficzny obraz przygotowań Wielkiego Tygodnia**: Józka jedzie do miasta bryką (dumna jak gospodarska córka); w **Wielki Czwartek** milkną dzwony, kobiety pieką chleby, placki i kukielki, dzieci grzechoczą kołatkami; w **piątek** wre bielanie i szorowanie, post (bez ciepłej warzy do niedzieli), strojenie **grobu Pańskiego**. Wieczorem Jagna z Józką **kraszą pisanki** — i znów ujawnia się **artystyczny talent Jagny**: jej jajka mienia się farbami, z piejącymi kogutami, gołębiami i wzorami „jak szron na szybie”, że dziwiają się nawet Hanka i Jagustynka (Hanka gorzko: „dobrodziej się zdziwią”). W **Wielką Sobotę** chłopaki z Jaśkiem Przewrotnym odprawiają komiczny obrzęd „**chowania żuru i grzebania śledzia**” (Jaś rozbija garnek z żurem na Witku, ten się bije i obrywa od Hanki).

W izbie Boryny zastawiają **święcone** — biały obrus z wystrzygankami Jagny, pasyjka, lifelike **baranek z masła** (dzieło Jagny), chleby, kołacze, placki, kielbasy, świńska noga, głowizna, pisanki, oplecione borowiną; sąsiadki znoszą swoje (ksiądz święci tylko u przedniejszych gospodarzy). Odbywa się **ceremonia ognia i wody** — kobiety przynoszą z kościoła poświęcony ogień i wodę, Hanka rozpala nim drwa, kropi inwentarz i drzewa w sadzie (na urodzaj), a zaniedbanego przez Jagnę i kowalową **Boryny** sama **dogłada** (myje, przebiera) — stary wciąż leży nieruchomo. O zmierzchu **ksiądz święci dary**, sprawdza Borynę („rana się zagoiła, ale nic nie lepiej”), obdarza Witka (bocianowego chłopca) dziesiątką i zapowiada **rezurekcję o dziesiątej** oraz że nazajutrz pół wsi jedzie odwiedzić mężów w więzieniu. Tak Reymont splata **etnograficzną apoteozę wielkanocnych obrzędów** (z pisankami i

talentem Jagna w tle) z trwającym konaniem Boryny i przygotowaniem do odwiedzin uwięzionych.

## Rozdział V — rezurekcja

---

Gdy wszyscy idą na **rezurekcję**, Hanka zwleka — a doczekawszy, aż Jagna i kowalowie wyjdą, stawia Bylicę na straży i **skrycie wkrada się do komory Boryny**; po pół godzinie wychodzi, „cosik zapinając stanik”, z gorejącymi oczami i drżącymi rękami — **odnalazła i zabrała ukryty grosz** (wtulony za pazuchę). Na rezurekcji nie może się modlić, trzęsąc się z radości i strachu o **sekret pieniędzy** (czuje na rękach zboże, węzełek między piersiami).

Reymont rozwija **wielki obraz rezurekcji** — nabity kościół, lud z całej parafii. Przejmująca jest **nieobecność uwięzionych** — wśród klęczących przy kracie chłopów (na miejscu pierwszych gospodarzy) są ludzie z Dębicy, Woli, Rzepek, lecz **ani jednego z Lipiec**; kobiety na próżno wypatrują swoich, szlochając nad sieroctwem (w największe święto, gdy „wszystkim radość, a lipieckie mizeraki w ciemnicach”). Jagna też **placze nad książką** — Antek staje jej żywo w pamięci, jak w Boże Narodzenie. **Ksiądz wygłasza kazanie** — o Męce Chrystusa, który „sprawiedliwość chciał dawać pokrzywdzonym, za biedotą się upominał” (wznieca zaciśnięte pięści), i o Zmartwychwstaniu — obietnicy ostatecznej sprawiedliwości („wszelka krzywda weźmie zapłatę, harde poniżone, sprawiedliwe wywyższone”); pociesza lipczan, że „lada dzień powrócą chłopci”. Następuje **ekstazy procesja rezurekcyjna** — pieśń, organy, dzwony, monstrancja „jak słońce”, potężne „**Alleluja!**” całego ludu jako jednego głosu (jeden z wielkich liryczno-religijnych fragmentów). Po nabożeństwie Hanka, **pocieszona i umocniona** (nawet lęk o Antka jakby w niej zamarł — ma teraz pieniądze), wraca przez wiosenną noc, postanawiając nie wypominać Antkowi przeszłości po powrocie — lecz lękając się, że „znów się z nią [Jagną] sprzęgnie”. Tak Reymont łączy **sekretny tryumf Hanki** (zdobycie skarbu — środka obrony Antka) z **majestatyczną rezurekcją** i jej **społeczno-religijnym przesłaniem** (Chrystus jako obrońca krzywdzonej biedoty, zapowiedź sprawiedliwości — wprost rezonująca z dolą uwięzionej wsi).

W poranek Zmartwychwstania Reymont rozwija **liryczny hymn „Alleluja!”** (Chrystus zmartwychwstały, wiosna, świat radosny) — lecz **Lipce są ciszej i smutniej** niż inne lata. U Borynów odbywa się **śniadanie ze święconym** (zimne, wedle zwyczaju); Jagna zjawia się olśniewająco strojna w **welniaku, koralach i bursztynach po nieboszczce** (oddanych jej przez Borynę, ku urazie rodziny — Józka grozi, że upomni się o korale, gdy stary ozdrowieje). Hanka z Jagustynką **wyruszają bryką do miasta odwiedzić uwięzionych** (z tobołem święconego dla Antka); jedzie też pół wsi. Opustoszałe Lipce stają się „**puste i żałobne kiej po pogrzebie**” — przejmujący kontrast z radosnym wiosennym światem dokoła (inne wsie świętują, strzelają z pistoletów, Lipce milczą).

**Roch** dogląda Boryny i siada na ganku; przychodzi kowalowa. W kluczowej rozmowie (Roch, Bylica, kowalowa) padają wieści o uwięzionych (rumor, że puszcza ich na Przewody; Kozłowa idzie prosić dziedzica) i wyznanie, że **dziedzic więzi Lipce „przez złość”** (zemsta). Pojawia się **pan Jacek** (brat dziedzica), który długo radzi z Rochem na osobności (wyraźnie się znają) — Roch wraca markotny. Bylica wspomina szaloną młodość Jacka (dziś czyniącego ciężką pokutę). Rozwija się **wielki temat głodu ziemi i przeludnienia**: dawniej w Lipcach siedziało piętnastu gospodarzy, dziś czterdziestu w więzieniu, nowi czekają na działki, „ziemi nie przybywa... za parę lat zbraknie la wszystkich”, młodzi muszą „iść we świat”. Tłem jest osadzanie się **Niemców** (wykupili dziedzica na Słupi, „uczni i zasobni”). Kowalowa zdradza, że **dziedzic z Woli jest zadłużony** (Żydzi naciskają o pieniądze za las, podatki, niewypłacona ordynaria) i „nie wysiedzi długo, ogląda się za kupcami” — co zapowiada **sprzedaż dworskiej ziemi** (przylegających ugorów na Podlesiu, gdzie zmieściłoby się trzydzieści gospodarstw). Tak Reymont spleta **żałobę opustoszałej wsi z wielkim społecznym tematem głodu ziemi** i zawiązuje **wątek zadłużonego dworu na sprzedaż** (oraz tajemniczą rolę Jacka).

Wieczorem przy domu Borynów bawi się **młodzież** — dziewczęta i wyśmiewany **Jasiek Przewrotny** (jedyne parobek we wsi, niezdara udający „siarczystego”); komiczne docinki i gra w ślepa babkę. **Witek** kończy **mechanicznego kogutka** własnej roboty (z drzewa, ciasta i piórek, tańczącego i piejącego — jego ludowa pomysłowość na miarę talentu Jagny), a Józce zwierza się, że **wykradł z plebanii swojego boćka** (gdy ksiądz wyjechał, psy żarły), ukrył w schowku i za parę tygodni przywiezie do chałupy — „swoje odebrałem”. Roch czeka na ganku, modląc się pod gwiazdami, i odsyła Bylicę do domu („pan Jacek na was czeka”).

Koło północy wraca **Hanka — dziwnie smutna i milcząca**. Zdaje Rochowi relację (Antek zdrowy, dobrej myśli, pozdrawia; chłopów puszcza, nie wiadomo kiedy; była u adwokata), lecz nagle wybucha płaczem. Reymont odsłania jej **druzgocący zawód**: Antek przyjął ją „**kiej psa uprzykrzonego**” — zjadł święcone, wziął pieniądze (nie pytając, skąd), nie uzalił się nad jej daleką drogą ani brzemiennością, nie pochwalił gospodarki (przyganił), wypytywał o całą wieś, lecz **o dzieci ni słowem**, nie przytulił, nie pocałował, „nie zatroskał się o jej zdrowie”, traktując ją jak obcą, a w końcu krzyknął, „by mu z bekami nie przyjeżdżała”. Przyszła z sercem wiernym i kochającym — i za całą ciężką służbę, pracę nad siły i cierpienia **nie dostała ni słowa łaski**. Samotna, zanosi się rozpaczą, poniżeniem i poczuciem krzywdy. Tak Reymont ukazuje **trwałą oziębłość Antka wobec Hanki** (nawet z więzienia jego serce nie jest przy niej), pogłębiając tragizm jej oddania. Nazajutrz, w **święteczny poniedziałek** (Lany), wstaje pogodny dzień ze **śmigusem** (chłopaki z sikawkami leją wszystkich) — beztroski obrzęd kontrastujący z bólem Hanki.

Trwa rozswawolony **śmigus** (Jasiek wepchnięty do stawu, Nastka, Marysia, Jagna i Józka zlane). Hanka czuje się słabo (po podróży, bliska rozwiązania) i **mdleje** (Dominikowa ją cuci).

Z miasta wracają wieści: uwięzieni siedzą „w dworskich pokojach z żelazną pajęczyną w oknach”, marnie karmieni; mają wrócić na Przewody. **Kozłowa wróciła od dziedzica z niczym** — ten odmówił pomocy (to sprawa komisarza), a i tak nie wstawiłby się za żadnym Lipczaninem, bo sam przez nich „szkodny” (wzbroniono mu sprzedaży lasu, kupcy go pozywają); kłął, że „kiej on ma iść z torbami, to niech całą wieś zaraza wytraci” — odsłaniając **mściwość zadłużonego dworu**.

Następuje **odkrycie włamania**: psy zniknęły na noc, a Józka znajduje **zabitego Burka** (z roztrzaskanym łbem) i wielki **podkop pod komorę Boryny** — wszystko splądrowane, zboże wysypane. Hanka od razu wie, że to **robota kowala** (polującego na ukryty grosz), i z ulgą uświadamia sobie, że gdyby spóźniła się o dzień, **on znalazłby i zabrał pieniądze** — skrycie sprawdza, że są bezpieczne za jej stanikiem (kryjąc satysfakcję). Łapę znajdują żywego, wrzuconego do dołu. Wieś zbiega się oglądać; Roch pociesza Józkę. Hanka (spokojna — „niczego nie wziął, zapóźnił się”) wyznaje Rochowi podejrzenie wobec kowala, prosząc, by nie mówił Antkowi. Wójt i sołtys badają sprawę (znajdują **żelazny pręt** — narzędzie zbrodni, być może z kuźni), planują zawiadomić strażników. Tak Reymont splata **beztroskie obrzędy Lanego Poniedziałku z mściwą odmową dworu, udaremntonym włamaniem kowala** (potwierdzającym sekretny tryumf Hanki nad ukrytym skarbem) i wielkanocnym życiem wsi (wizyty, drwiny z mody dziedziczek, gawęda o włamaniu).

Po południu **Witek prowadzi chłopaków z dyngusem** (z kogutkiem, w pożyczonych butach i kaszkiecie Boryny, ze skrzypcami Pietrka) — najpierw do księdza (śpiewają „Przyszliśmy tu po dyngusie...”, dostają dziesiątki; Witek drży, czy ksiądz nie rozpozna boćka), potem od chałupy do chałupy. Wieczorem Płoszkowa odwiedza Hankę (relacja o Borynie „leżącym jak dzieciątko grzebiącym w słońcu”), plotkuje o służących i ostrzega, że ktoś może odmówić jej parobka Pietrka.

Reymont rozwija **wiosenny niepokój Jagny** — cknącej się za mężczyznami, rozdartej **tęsknotą wiosennego rozbudzenia** („jakby w niej wiosna zaśpiewała pieśń upalną”, jak budząca się ziemia odłogiem). Miota się, przebiera trzykrotnie, wychodzi na topolową drogę o zachodzie, gdzie spotyka **Jasia** (organiściaka, idącego na księdza). Pokazuje jej książkę „o dalekich krajach i morzach”; stoją „biodro w biodro”, a w naładowanej chwili Jagna, gotowa się oddać, **otwiera ramiona — lecz Jasio wzdraga się i ucieka** („Dobranoc Jagusi!”); Jagna oszołomiona („urzekł me czy co!”). Wracając, zagląda do karczmy (gra pan Jacek, pijany Jambroży) — i **chwytą ją wójt**, ciągnąc do alkierza na wódkę (ich romans trwa). Tak Reymont ukazuje **żywiolowy głód Jagny** (dryfującej ku nowym mężczyznom — kuszonemu, lecz opierającemu się Jasiowi, i wójtowi) na tle gasnących świąt.

Wieś cichnie, powraca lęk przed powszednim jutrem; tylko u **Płoszkowej rojno** — gromadzą się gospodynie (etnograficzny obraz ich odświętnych strojów, koralu, czepców), a przybyły z miasta podpity **kowal** rozśmiesza je niestworzonymi historiami. Tak Reymont domyka

wielkanocne dni **portretem niespokojnej Jagny** i obrazem **kobiecego posiadzenia**, gdy świąteczna radość ustępuje powszedniej trosce.

Wieczorem przed chałupą Boryny **Roch snuje opowieści o całym polskim narodzie** — proroczo i krzepiąco: „po zimie zwiesna przychodzi każdemu, kto jej czeka w pracy... **pokrzywdzone zawždy górę wezmą**... ofiarną krwią i trudem trza posiewać szczęśliwość, a kto ino wyrzeka na złe, nie czyniąc dobra, gorsze zło rodzi”. Jego głos w ciemności zda się głosem pomarłych pokoleń. Nagle pada krzyk: „**Podlesie się pali!**” — **płonie dworski folwark** (wołownia, stogi, stodoły). Wieś zbiega się na most, a Jagustynka, wspomniawszy groźby Kozłowej, szepcze „słowo ciałem się stało”; wszyscy widzą w tym **karę boską za swoją krzywdę**. **Gromada odmawia pomocy w gaszeniu** („niechaj chłopów puszcza, to polecą ratować!”) — mimo gróźb wójta i błagań księdza stoi „ponuro patrząc w ogień”, skrycie się radując; tylko wójt, sołtys i kowal jadą z gołymi rękami. Pożar szaleje całą noc, a wieś **pasie oczy i dusze odemstą**. Tak zemsta zadłużonego dworu **obraca się przeciw niemu** — chłopski tryumf nad płonącym pańskim dobrem.

## Rozdział VI — Jacek u Bylicy, chrzciny dziecka Hanka

---

Nazajutrz **Hanka leży w połogu** (urodziła). Bylica opowiada zdumioną nowinę: **pan Jacek wprowadził się do niego** w ruinach na komorne, planuje wyporządzić chałupę „za dwór starczy”, przywiózł garnuszki, pije herbatę, wabi wróble ziarnem — co wieś kwituje, że „rozum stracił” (jego **zagadkowy ascetyczny wybór życia wśród chłopów**). Hanka, choć osłabła, **zarządza gospodarstwem** (przydziela zagony na odrobek Kobusowej i Filipce, odmawia Kozłowej), rozmawia o nędzy biedoty i nadciągającym przednówku. Następuje **chrzest jej syna** (nazwanego przy chrzcie **Rochem**); z kościoła wracają Józka z dzieckiem, Dominikowa, wójt i Płoszkowa (kumowie), Jambroży. Dominikowa obnosi niemowlę po węglach domu wedle obyczaju („Na wschodzie tu wieje... strzeż się złego, w Bogu miej nadzieję”). Przy uczcie chrzcinowej Hanka **placze**, że to **chrzciny bez ojca** (Antka w więzieniu — Jambroży nietaktownie: „chrzciny bez ojca to jak grzech bez odpuszczenia”), a kobiety ją pocieszają. Tak Reymont spleta **proroctwo Rocha o zwycięstwie pokrzywdzonych z pożarem dworu (chłopską zemstą)**, **enigmatyczną pokutą Jacka** i **narodzinami syna Hanka** (chrztem w cieniu nieobecności uwięzionego ojca).

Przy chrzcinowej uczcie Dominikowa i Jagustynka ostro się przekomarzają o dzieciach (Jagustynka wytyka Dominikowej rozwiązłą młodość i że Jagna „całkiem się jej udała” — tej samej natury). **Wójt** skrycie ściga Jagnę (wsuwa jej karmelki za gors w oborze, szepcząc „przyjdź o zmierzchu do alkierza”). Gdy zjeżdża **pisarz ze strażnikami** badać pożar Podlesia i podkop, wzywając wszystkich do wójta, **Płoszkowa (pierwsza teraz gospodyni) buntuje wieś** — „nie psy jesteśmy, co na leda gwizd się zlatują! Nie pójdziemy!” — kobiety rozbiegają

się w pola. Pisarz, ścigając ich daremnie po zagonach, **niczego się nie dowiaduje o pożarze** (nikt nie wydaje, co taił). Przy spisywaniu podkopu strażnik napada na **Bylicę**, lecz starzec **hardo się stawia** („nie twój parobek... gromada ci płaci, wara ci od gospodarzy!”), nieugięty mimo groźby kozy — kolejny obraz **zbiorowego oporu wsi wobec władzy**. Hanka odmawia im jadła; odchodzą, klnąc.

Pada też plotka o **Kozłowej** — pojechała do Warszawy po dwoje **podrzutków** na odchowanie za pieniądze (50 złotych rocznie od sztuki, najpewniej by je zagłodzić jak poprzednie) — ponury obraz handlu sierotami; oraz o **Agacie**, która opuściła Kozłową (wyzdrowiała, a tamta wymawiała jej zwlekanie ze śmiercią), nie wróci do Kłębów i tuła się, szukając, gdzie godnie umrzeć. Hanka, zarządzivszy gospodarstwem, zostaje z dzieckiem, podczas gdy Boryna leży samotnie, „jak dzieciątko” grzebiąc w słońcu. Rozdział zamyka **liryczny obraz wiosny** — opustoszała wieś (wszyscy w polu), przeplatane dni słoneczne, parne i deszczowe, budzenie się ziemi, pola otulające wieś „niby matka rodzona dziecińy swoje”. Tak Reymont łączy **zbiorowy opór wsi wobec urzędu** (śledztwo w sprawie pożaru udaremnione), **godność starego Bylicy**, ponure realia społeczne i **apoteozę budzącej się wiosennej ziemi**.

Reymont rozwija **liryczną tragedię odłogujących pól Lipiec** — gdy wszystkie sąsiednie wsie (Rudka, Wola, Modlica) wrą wiosenną orką i siewem, **ziemie lipieckie leżą puste** (kobięce ręce nie zastąpią uwięzionych chłopów); zamiast zbóż plenią się chwasty (ognichy, osty, dziewanny), a lęk wieje po opuszczonych rolach, jakby bory i krzyże pytały: „a kaj się podziały gospodarze?” — i tylko płacz kobiety odpowiada. U Borynów Hanka, jeszcze w łóżku, **twardo rządzi** (nawet Jagna musi pracować), szybko wraca do sił i w **Przewody idzie na wywód** (z Płoszkową), wśród wiosennej krasy, lecz z goryczą patrząc na nieobsiane pola.

Do wsi wchodzą **Cyganie** — obdarta banda żebrząca i wróżąca, cisnąca się do izb (Hanka szczuje psem, Jagna bierze ich w obronę). **Jagne**, gnaną lękiem i ciekawością, **fascynuje wróżba** — chodzi za Cygankami całe popołudnie, a o zmierzchu, żegnając się, daje sobie powróżyć w karczmie. Wieczorem dziewczęta przy Józce opowiadają wróżby (Marysi wesele, Nastce majątek, Tereski „bękart” wedle Jagustynki), a Pietrek i Jagustynka snują **ludowe podania o Cyganach** (cygański król, kradzież i przemienianie dzieci, czary, uroki). Wystraszony **Witek** wyznaje, że „u nas cosik straszy” — coś chodzi po stajni, koniom przysypuje obroki, Łapa łąsi się do nikogo pod brogiem: „**Kubowa dusza przychodzi**” — dziewczęta truchleją.

Hanka, lękając się o dobytek (Cyganie dwa lata temu wzięli Sosze maciore), każe dobrze pozamykać i stróżować. Jagna wraca późno **pijana** (reeking gorzałką, zatacza się na łóżko). O świcie wybucha wielki lament — **Balcerkowej skradziono konia** (złodzieje/Cyganie); wieś zbiega się, a sprowadzony **wójt zjawia się pijany i bezużyteczny**. Tak Reymont splata **wielką elegię ugorów** (tragedię bezludnej wsi) z barwnym **epizodem cygańskim**,

folklorem (duch Kuby), dryfem pijanej Jagny i **kradzieżą konia** — obnażającą bezbronność wsi pozbawionej mężczyzn.

Kradzieże mnożą się — po koniu Balcerkowej (jej **lament jak po zmarłym dziecku**) ginie wóz sołtyski, a pierwszej nocy mimo straży — maciora Filipki (jej rozpacz, ksiądz daje rubla i przyszłego prosiaka). Tropcy wiodą ku spalonemu folwarkowi i giną; pościg nic nie wskóra, wójt zawiadamia strażników, a wieś organizuje nocne straże. Panika kradzieży pogłębia udrękę. Lecz wieczorem **Roch przynosi niezwykłą wieść**: w czwartek **sąsiednie wsie zjadą gromadnie pomoc Lipcom w robotach polnych** — za darmo, za „Bóg zapłać”. Ksiądz to potwierdza, wieś wybucha radością i szykuje się na godne przyjęcie gości (pieczenie, bicie drobiu). Promienny Roch wyklada Hance swą **patriotyczno-społeczną wizję**: pomogą „jak prawe Polaki a chrześcijany powinny”, a naród „przyjdzie do rozumu, że nikto mu nie pomoże, jeno on sam — wspierając jeden drugiego”, aż „rozrośnie się po wszystkie ziemie kiej bór niezmożony, a nieprzyjacioły jego szeszna niby śniegi” — manifest **solidarności i odrodzenia chłopskiego narodu** (Roch jako jej tajny organizator).

## Wielki dzień pomocy sąsiedzkiej

---

W czwartek z **Woli, Rzepiek, Dębicy, Przyłęka** zjeżdżają wozy ze świątecznie ubranymi chłopami; po mszy ksiądz z Rochem rozdzielają ich po chałupach (bogatszych do bogatszych — komornice, nieprzydzielone, płaczą). Po śniadaniu i poczęstunku **wyruszają w pola** — i Reymont rozwija **wielką liryczną apoteozę ożywających ugorów**: martwe pola roją się od pługów i wozów „niby pszczelny rój”, pierwsze czarne skiby wpierają się w ziemię, a nad wszystkim zapada „święta cichość” siewu „jak nabożeństwo w niezmiernym kościele”. Lud przywiera do zagonów, „matce ziemi oddając się z dufnością”. Po całodziennym pracy wieś tonie w łunach ognisk i gwarze wieczery, gościnnie podejmując pomocników. Tak Reymont przeciwstawia **panice kradzieży** (bezbronność bezludnej wsi) **wielki obraz solidarności chłopskiej** — sąsiedzką pomocą wskrzeszającą odlogujące pola Lipiec, realizacją narodowo-społecznej wizji Rocha.

Hanka przyjmuje na kwaterę dwóch **Rzeczaków** (drobnej szlachty — uprzejmych, o „pańskiej mowie”; Jagna wpatruje się w młodszego). W kluczowej rozmowie z Rzepeckim **Roch wyklada swój program solidarności**: gdy wsie się kłóca, korzysta wróg (trzeci); gdy się zjednoczą — „mądre i przyjacielskie sąsiady to jak płoty bronne”, a „co dziś dolega Lipcom, jutro przyjdzie na Rzepki”; obaj zgadzają się, że chłopci „mądrzeją” (budzi się świadomość). Drugiego dnia Reymont rozwija **wielką apoteozę świętego siewu** — w słoneczne, mgliste przedpołudnie pola roją się od pługów i siewców, a „przenajświętsza radość” wiosny przejmuje dusze. **Ksiądz** po mszy chodzi po polach, częstuje tabaką, błogosławi pierwszy zasiew, wręcz „ekonomuje” do końca dnia (chłopi to za honor sobie mają).

Przy odjeździe ksiądz **dziękuje każdemu** pomocnikowi („co dasz potrzebującemu, jakbyś Jezusowi dawał” — z lezką i przytykiem o zaciekającym dachu plebanii, lekka satyra), gdy **komornice z Kozłową** zagradzają mu drogę z gorzkim wyrzutem: **biedocie nikt nie pomógł** — „pomagali gospodarzom, bogaczom, a nama jako zapowietrzonym nikto”. Zakłopotany ksiądz obiecuje swoje konie; Kozłowa miota druzgocącą **krytykę klasową**: „La gospodarzy jest wszystko, a ty, biedoto, kamienie gryź! Owczarz stoi o barany, bo je strzyże” — odsłaniając **podział klasowy w samej wsi** (biedota wyłączona z solidarności). Sąsiedzi odjeżdżają wśród serdecznych podziękowań i **zartobliwych pieśni weselnych** dziewcząt i chłopaków.

## Rozdział VII — Chłopy wracają!

---

Nazajutrz **wieś elektryzuje wieść**: „Chłopy wracają!” — uwięzieni mają powrócić. Niesie się „kiej płomień”, cała wieś zrywa się w radosnej wrzawie i **wybiega na topolową drogę naprzeciw** — lecz droga pusta (fałszywy alarm); rzucają się więc ku drodze od Woli. Tak Reymont pogłębia **temat solidarności chłopskiej** (program Rocha, lecz z gorzkim akcentem **wykluczenia biedoty**) i wprowadza **kulminacyjną radość zapowiedzi powrotu uwięzionych mężów** — wyczekiwanego ocalenia wsi.

Wybiegłszy na próżno (drogi puste), wieś spotyka **ślepego dziada**, który potwierdza nowinę („Lipczaki dzisiaj wracają z kreminau”); komiczna gawęda. Dla pewności kobiety idą do wójta, a ten **odczytuje z urzędowego papieru**, że mężczyźni wracają; analfabetki wpatrują się w pismo „kiej w obraz”. **Hanka** przeżywa **radość zmieszaną z lękiem** („Wróci Antek, wróci!”, lecz i ciemne obawy), wciąż słaba po położu, omal nie mdleje; dogoniona Jagustynka **placzem zdradza, że i w jej cynicznym sercu żyje współczucie** („nie poredzi człowiek żyć z osobna”). Mijając kuźnię, **kowal złośliwie kąsa** Hankę: „zbójów tak zaraz nie wypuszczą” (sugerując, że Antka nie zwolnią) — co rani ją do żywego (odpowiada mu nienawistnie). Tak Reymont kreśli **napięcie nadziei i trwogi** wokół powrotu, z cieniem niepewności co do losu Antka.

W domu Hanka **zarządza robotą** (wywózka gnoju, sadzenie ziemniaków), a **komornice sadzą jej zagony na odrobek** w deszczu. Pada zapowiedź **procesji** (św. Marka, przeniesionej na oktawę — święcenie granic). W gawędzie kobiet **Kozłowa szczerze wyznaje tęsknotę za mężczyznami** („choć są łajdusy i zabijaki, ale niech się jawi najgorsza pokraka, to raźniej i weselej”); rozmowa o dziewczkach, które „ciężko przyplacą” oczekiwanie (ciążę), i obrona „bękartów” przez Grzelinę („ludzkie nasienie, jednako Pan Jezus szacuje”). Hanka wprowadza „niemiecką modę” sadzenia drobnych ziemniaków całych (wg Rocha — plenniejsze), budząc opór i plotki, że „zadufana, jakby na całej gospodarce siedziała”; Jagustynka jej broni („szczere złoto, nacierpiała się”). Rozdział kończy **złowróźbna**

**zapowiedź:** „czeka ją jeszcze niejedno — Jagna w chałupie, a skoro Antek wróci, cudeńka się zaczną”. Tak Reymont splata **radosno-lękliwe oczekiwanie powrotu z tęsknotą wiejskich kobiet i zapowiedzią nadciągającego dramatu** Hanki, Jagny i Antka pod jednym dachem.

Obchodząc gospodarstwo, Hanka dostrzega upadek (zaniedbane krowy, prosiaki, klacz i źrebak), karczi czeladź, lecz w stajni **załamuje się płaczem** — wyczerpana, osamotniona „jak drzewo na wywieisku”, z gorzkim poczuciem, że mimo bogactwa „nie miała ni jednej chwili szczęśliwości”. Karmiąc dziecko, śpiewa mu o powracającym tatusiu, **miotając się między nadzieją a trwogą** (słowa kowala wracają: „a jak nie wróci?”). Wybucho **gwałtowna kłótnia z Jagną** o sadzenie ziemniaków: Jagna hardo odmawia, ogłaszając, że jest „u siebie” (żoną Boryny) i może Hance „drzwi pokazać”; Hanka odgryza się, że „niech ociec zamrą, to się pokaże, czyje”, i wyrzuca Jagnie jej grzechy (wójt w karczmie, pijane powroty) — „do czasu dzban wodę nosi... skończy się twoje panowanie”. Omal nie dochodzi do bójki; wstrząśnięta Hanka ustępuje. Tak **wojna o dom między Hanką a Jagną zaostrza się** w przededniu powrotu Antka.

Pogoda się przeciera, wieś tonie w **radosnych przygotowaniach** (uczty, gorzałka na borg, wypatrywanie dróg z dachów, dzieci dokazujące — m.in. płoszące ślepego konia księdza, który wpada w opłotki Borynow). **Jagna ratuje konia** i odprowadza go na plebanię — gdzie zastaje **odjeżdżającego do seminarium Jasia**. Następuje ich **naładowane pożegnanie** — Jasio wpatruje się w nią („twarz do róży podobną”), Jagna „urzeczona jego oczyma”, drżąca; ich spojrzenia trwają, póki bryka nie skręci. Oszołomiona Jagna („taki by ślepiami do samego piekła zaprowadził... mleczak, a niech spojrzy, to jakby kto wpół objął”) odprowadza wzrokiem odjeżdżającego, idącego „na księdza” chłopca. Tak Reymont pogłębia **udrękę i samotność Hanki**, zaostrza **konflikt z Jagną** o dziedzictwo i ukazuje **niespokojny dryf Jagny** ku młodemu, pobożnemu Jasiowi (wzajemne, lecz niespełnione zauroczenie) na tle radosnego wyczekiwania mężów.

Otrząsnąwszy się po odjeździe Jasia, Jagna wraca do domu, a na wesołe okrzyki „chłopy wracają!” odpowiada **chłodno** („tyła z nimi, co i przez nich!”) — bo na nikogo nie czeka. U matki (gdzie Jędrzych dochodzi do zdrowia) słyszy o szczęściu Nastki (że Szymek wróci) i ogarnia ją **markotność** — każda dziewczucha ma kogoś, ona nikogo. Nagła radość („dyc wszystkie powrócą”) pcha ją do przygotowań na powrót **Antka**, lecz na pytanie „kogo wyglądacie?” pblednie, świadoma, że jest „sama jak kołek”; jej uczucie do Antka **ostygło** („a niech se wróci, co mi tam z niego!”), a kowal twierdzi, że go nie puszcza. W przypląwie obrzydzenia rzuca konającemu Borynie „byś już raz zdechł!”. Wezwana przez Hankę do sadzenia ziemniaków, **ulega bez oporu** (rada uciec od myśli) i pracuje zawzięcie — myśląc rzadziej o Antku, częściej o **Jasiu** (jego oczach, ustach, głosie). Reymont daje **wgląd w naturę Jagny** — przyrównuje ją do „dzikiego chmielu, co zawdy czepić się musi jakiej gałęzi...

oderwany od podpory łącno idzie" (jej zależna, przylegająca, żywiołowa natura). Komornice plotkują (Jagustynka i Kozłowa cięte języki, drwią z młynarza i księdza, napadają na broniącą wszystkich Grzelię).

Po obiedzie odbywa się **procesja** (św. Marka, przeniesiona — święcenie granic i figur): ksiądz w komży, Pietrek z krzyżem, chorągwie, woda święcona, świece — pochód ciągnie przez okwieconą wieś, nad rzeką, przez łąki (na końcu Agata i ślepy dziad). Reymont maluje **liryczny obraz procesji** w wiosennej krasie, przeplatany **światową gawędą księdza i młynarza** (o kaczkach, boćkach, zasiewach, „końskim zębie” — łagodna satyra duchowieństwa). Docierają do pierwszego **kopca granicznego**, obsypanego kwitnącą tarniną „kiej biała kopa”. Tak Reymont spleta **psychologiczny portret samotnej, przylegającej Jagny** (stygającej ku Antkowi, ciągnącej ku Jasiowi) z **etnograficznym obrazem procesji na granice** w pełni wiosny.

Procesja obchodzi **kopce graniczne**, a ksiądz przy każdym odczytuje modlitwy (od gradu, moru, ognia) i kropi cztery strony świata wodą święconą. Reymont rozwija **wielki liryczny obraz wiosennej procesji** — kwitnące grusze „jak hostie nad polami”, brzoźka „jak dziewczyna do komunii”, panorama rodnych pól „dyszących jak piersi matki karmiącej” — przeplatany **światową gawędą księdza, młynarza i kowala** (o oziminach, spaprnej robocie na polach Lipiec) i zabobonem Agaty (odzierającej szmaty z krzyży). Procesja śpiewa, łąki i bór odhukują pieśń.

Przy trzecim kopcu, pod dworskim borem, pada okrzyk: „**Chłopy jakieś z lasu wychodzą! Nasi! Nasi!**” — **wracają uwięzieni**. Ksiądz wstrzymuje gromadę („nabożeństwo pierwsze”), lecz wszyscy rwą się z radością; **Hanka** (świadoma, że **Antka tam nie ma**) i tak drży nadzieją, **Jagna** zrywa się. Pod krzyżem Borynów stoją powracający — „Płoszki! Sikory! Mateusz! Kłab! Filip!” — wymizerowani, lecz roześmiani. Wzruszony ksiądz odczytuje modlitwę, po czym serdecznie ich wita („Jak się macie, ludzie kochane!”), a lud całuje mu ręce. Następuje **wielkie, łzawe powitanie** — śmiechy, płacze radosne, uściski, każda kobieta odciąga swojego. Procesja rusza dalej, śpiewając „Serdeczna Matko” (bór jęczy echem), a potem rozprasza się — powracający gwarzą z bliskimi, dziewczęta tulą się do swoich chłopaków, wśród lirycznego **zachodu nad płonącym borem**. Tak Reymont łączy **majestatyczną procesję na granice** z **kulminacyjnym, radosnym powrotem uwięzionych chłopów** — wybawieniem wsi — zostawiając jednak **nieobecnego wśród nich Antka** (którego los pozostaje osobny, niepewny), ku skrytemu lękowi Hanki i Jagny.

Wśród powszechnej radości **Hanka czuje się osamotniona** „jak drzewo usychające” — wszyscy wrócili (nawet Kozieł i buntownik Mateusz), tylko **Antka nie puszczono** („może go już nigdy nie zobaczy”); harda, kryje mękę (śpiewa, modli się), nie śmiejąc nawet pytać o męża. **Jagna** też jest sama — pobiegła do **Mateusza** (z dawną tęsknotą), lecz on jej nie dostrzegł: u

jego boku wisiała matka, Nastusia i jawnie płacząca **Tereska żołnierka**; odepchnięta Jagna ucieka w las „jak pies oparszywiały”, trzęsąc się z żalu i zazdrości.

Pod ostatnim kopcem chłopci dostrzegają na **dworskich polach** dziedzica goniącego na koniu za ludźmi **rozmierzającymi role** prętami i żółte bryki — wnioskują, że to **kupcy, najpewniej Niemcy** („kapoty granatowe, faje, portki na cholewach... jak Olendry z Grünbacha”): dziedzic **sprzedaje folwark na Podlesiu** (kował skrada się ku niemu). Wieś niepokoi się („niech ręka boska broni od miemieckich somsiadów!”) — **wątek sprzedaży dworskiej ziemi Niemcom** posuwa się naprzód.

Po powrocie wieś tonie w **radosnych powitaniach** (witanie progów, obrazów, dobytku), lecz **u Borynów inaczej** — dom pusty, a **Hanka i Jagna, obie samotne i zapłakane**, dręczone tą samą niedolą (żaden mąż nie wrócił dla nich), tłuką się po izbach. Jagna, by zapomnieć, rzuca się w robotę (ku zdumieniu Hanki); **Pietrek napastuje ją** w stodole, lecz ona gwałtownie go odpycha („Ty pokrako! Ty świniarzu!”). Następuje **przejmujące, niedosłe pojednanie** obu kobiet — wspólne cierpienie kloni je ku sobie, niemal się odzywają pocziwie, lecz coś zawsze powstrzymuje (płacz dziecka, wstyd, pamięć krzywd), aż zawziętość znów wybucha („Dobrze ci tak!”); Jagna wychodzi do matki. Wieś **wre wiosenną miłością** — pary wszędzie (Szymek-Nastusia, Marysia-Wawrzek), a Jagna, wałęsając się wśród kochanków, pozostaje samotna i wyłączona. Tak Reymont spleta **paralelną samotność Hanki i Jagny** (w cieniu nieobecnego Antka), **wątek sprzedaży dworu Niemcom i niedosłe pojednanie zwaśnionych kobiet** — przeciwstawiając ich osamotnienie rozśpiewanej miłości powracającej wsi.

Omijając zakochane pary, Jagna natyka się przed domem matki na **Mateusza z Tereską** (mija ją „jak drzewo”) i ucieka do chałupy; wieś tonie w wiosennej nocy (fujarka, żaby, dziecięca rymowanka „Reh! Reh! Bocian zdechł!”).

## Rozdział VIII — jarmark i przednówek

Tom rozwija **liryczny obraz wiosennego poranka** (budzący się świat, słońce, rosy, ptaki) i **pastoralną scenę wygonu bydła** na wspólne pastwiska pod lasem (krowy, owce, gęsi w tumanach kurzu). Tydzień po powrocie chłopów życie wraca do normy (mężczyźni z wolna ujmują rządy, choć jeszcze leniwi i zaglądający do karczmy). Dziś **jarmark w Tymowie** — a że **przednówek** zawitał wcześniej i ciężko, każdy wyprowadza na sprzedaż, co ma: **biedota** najpierw (Filipka sześć gęsi, komornicy bydło, Grzela dojną krowę, a zrujnowany **Gulbas** musi sprzedać ostatniego konia — wyprocesowany przez Balcerkową o piętnaście rubli), potem gospodarze (wójt naciska o podatki) i kobiety z jajami, masłem, płótnem. Wieś pustoszeje.

Rozwija się też **wątek Tereski żołnierki**: wójt przywiózł jej **list od męża-żołnierza**, lecz analfabетка **lęka się jego treści** (może mąż wraca — co wydałoby jej romans z Mateuszem). Prosi o odczytanie księdza (wyjechał na jarmark kupić byka) i Nastkę (sklecił tylko „Pochwalony”), błagając, by nie mówiła o liście Mateuszowi; Nastka: „wróci twój z wojska, to i tak wszystko musi się wydać”. Zalękniona Tereska niesie **pięć kaczych jaj do organisty**, by przeczytał list — ale ten „wyleguje się kiej wieprz”, a organiscina w sadzie łąje parobka. Tereska, płacząc, **zazdrości bogaczom dostatku**, gdy sama głoduje. Tak Reymont splata **liryczny pastoralny poranek, jarmark i dramat przednówkowej nędzy** (rozprzedaż ostatka przez biedotę) oraz **lękliwy wątek listu Tereski** (groźba powrotu męża-żołnierza nad jej romanssem z Mateuszem).

U organistów parobek Michał wyjawia, że to **sam ksiądz** o świcie wpędzał swe konie w koniczynę batem (by potem żądać szkody) — satyryczny obraz pańskiego sknerstwa. Organista odczytuje wreszcie **list Tereski**: mąż **Jasiek zapowiada powrót na żniwa** wraz z Kubą Jarczykiem i **Grzelą Borynowym** (który prosi o powiadomienie ojca — nie wiedząc o losie Macieja). Czułe słowa „prażą Tereskę kiej baty”; ogarnia ją **śmiertelny strach przed wydaniem romansu z Mateuszem** (mąż-Płoszka „krzywdy nie przepuści, jeszcze go zabije”). **Jagustynka** udziela jej **cynicznej nauki życiowej**: „parobek na miesiąc, a mąż na całe życie” — odpraw Mateusza, póki czas; „kochanie to jeno suta omasta przy niedzieli... kochanie płkanie, a ślub grób — ale grób z chłopem lepszy niżli wolność w pojedynkę”; przestrzega przed losem wygnanej kochanki. Tereska, nie mogąc wyrzec się Mateusza, ucieka w pole, szlochając.

Wybucha **brutalna bójka wójtowej z Kozłową** — wójtowa oskarża ją o ciągle kradzieże (drób, a teraz płótno z bielnika), Kozłowa drwiąco zaprzecza i lży **wójta** (że gromadzkie pieniądze przepił, płótno wziął „dla kochanicy”). **Wójt z żoną i Bartek Kozioł** rzucają się w okrutną bijatykę (wieś gapi się, mężczyźni ich rozdzielają); obie strony jadą **podawać skargi do sądu** — Kozłowie (Bartek z rozbitą głową, sponiewierana Magda), wożeni przez Płoszkę, **paradują rany po wsi** dla świadków, obnażając pieniactwo i nadużycia wójta. Tereska zagląda do Kozłów i znajduje **troje warszawskich podrzutków** samotnych, zagłodzonych, brudnych (ogryzających surowe ziemniaki) — ponury obraz handlu sierotami. Tymczasem **Mateusz ogląda zwaloną chałupę Stacha** (Weronki) i orzeka „zetlałe do cna, samo próchno — nic nie postawi”, mimo błagań Bylicy; **pan Jacek** siaduje na progu, pogwizdując na gołębie. Tak Reymont splata **lęk Tereski przed powrotem męża, cyniczną mądrość Jagustynki, wiejskie pieniactwo i bójkę** (nadużycia wójta) oraz ponure realia społeczne (głodujące sieroty, ruina) — malując **prozaiczny, gorzki obraz wsi** po powrocie chłopów.

Nad ruiną chałupy lamentuje **Weronka z dzieckiem** („cóż my teraz pocniemy?”); Stach liczy, że nową postawi za dwa tysiące, lecz Mateusz radzi czekać do końca procesu o las. Niespodzianie **pan Jacek** (pokutujący „dziadek”) oświadcza spokojnie: „drzewo się na chałupę

znajdzie" — wszyscy osłupiali, Mateusz drwi („mądry obiecuje, głupi się raduje... a niezadługo i cały folwarczek wama przyobieca"). Następuje **portret Mateusza** — urodny „król parobków", pierwszy mocarz po Antku, tanecznik i zręczny majster, szczodry, lecz od ożenku wykręcający się „kiej piskorz"; zimą żył jawnie z Tereską, teraz już mu zbrzydła („wróci Jasiek, to mu ją oddam"). Na ogrodzie matki spotyka **Jagnę** — flirtuje, lecz ona hardo go odprawia, wytykając Tereskę („do swojej żołnierki wróć... odpasła cię w kreminale, to jej odrabiaj"). Mateusz ucieka zawstydzony, miotany gniewem i podziwem dla jej urody; Jagna żałuje słów wyrzeczonych „przez złości". Odtąd **Mateusz okrutnie czepia się Tereski** (gani kaszę, sadło, jej krowę), porównując ją w myślach niekorzystnie z Jagną („a gdzież to miałem oczy? cherlawe, wymiękle") — jej pokorna, kochająca uległość jeszcze go drażni. U Kłębów pada wieść o **powrocie Jaśka i Grzeli na żniwa**; Mateusz udaje obojętność, cynicznie nawet broni reputacji Tereski, a potem rozśmiesza zebranych sprośnymi żartami o pannach i swatach (przeгляд kandydatek na żonę).

Przy obiedzie chłopci roztrząsają **bezkarność wójta** (zna urzędników w powiecie); Mateusz judzi przeciw niemu („kto go wsadził, ten i zsadzić może"), lecz reszta lęklawie milczy. Wśród sennego, gorącego przedpołudnia stara **Agata**, żebraczka-powinowata, ofiarowuje Kłębowi swój odkładany na pochówek grosz (trzydzieści złotych), byle ocalić jego jałówkę — i nieśmiało prosi, by ją przyjęli, że chce „pomrzeć po gospodarsku". Kłąb, kuszony, grosza nie bierze i jej nie zaprasza (lęka się obmowy „co la paru złotych dobrość świarczemy"); Agata wlecze się dalej po wsi „szukać ludzi sprawiedliwych", a naród szydzi. Nocna namowa Kłębowej nie skutkuje. Kłąb z Balcerkiem odwiedzają **konającego Borynę**: Maciej to „żywy trup" — wychudły, nikogo nie poznaje, aż nagle zrywa się z krzykiem „Sam tu, chłopcy! Bij psubratów! Bij!" (przeżywa na nowo bitwę o las) i pada ze śmiertelnym strachem w oczach. Wstrząśnięci odchodzą („trup tam leży, nie żywy człowiek"). **Boryna, opuszczony przez wszystkich**, bywa całe dni bez kropli wody — żywi go potajemnie jedynie **Witek** (kradnie jądło, doi kryjomo krowy), wzruszająco wierząc, że „gospodarz" nie może iść do piekła. Tymczasem wieś kotłuje się sporem o bójkę — obie strony werbuja świadków, wójt gorzałką i przypochlebstwem zjednuje sobie większość.

**Kozioł leży ciężko chory** (podobno udaje, by wójt srożej beknął w sądzie); Kozłowa lata po wsi, pomstując, że sprzedała maciorę na leki. Po stronie Kozłów staje biedota i swarliwy Kobus, lecz reszta wypiera się świadectwa. Wnet **Płoszka z młynarzem** otwarcie popierają Kozłów — ale, jak miarkują mądrzejsi, chodzi im o **wójtostwo**, nie o sprawiedliwość; zawiązuje się cicha, zawzięta wojna o władzę. Do karczmy zajeżdżają **Niemcy** — tędzy, brodaci, w granatowych kapotach, ze srebrnymi łańcuchami — kupujący **Podlesie**: dziedzic, winien Niemcowi piętnaście tysięcy rubli i osaczony przez Żydów-wierzyteli, musi sprzedać folwark po sześćdziesiąt rubli za morgę, a piętnaście niemieckich rodzin ma tu osiąść. Chłopów ogarnia gniew i bezsilna zazdrość („my się dusim na zagonach, a Niemcy będą na włókach rozwalali") — Mateusz i Adam Kłębiak chcą bić Niemców, lecz nikt nie ma grosza, by odkupić ziemię („kto nie

ma grosza, nie umacza nosa"). Nadchodzą **upały i susza** (maj jak lipiec), jarzyny mdleją, śpią po sadach. Wieś, drażniona biedą, przednówkiem i judzeniem Płoszki, pogrąża się w ciągłych kłótniach, bójkach i procesach („jakby piekło”); zyskuje na tym jedynie grabarz **Jambroży** (świadek za gorzałkę). W chałupie **Dominikowej** wybucha bunt — wróceni z wojska i ozdrowiali **Szymek i Jędrzych** odmawiają matce posłuchu i robót („dziewkę se przyjmijcie”), codzienne wrzaski, nawet ksiądz nie godzi; Paczesiowa zółknie ze złości. **Jagna** zaś, by uciec z obmierzłej męzowej chałupy, jawnie zadaje się teraz z **Pietrem (Piotrem)**, co rośnie w zgorzenie wsi; **Hanka** cierpko jej tego nie wzbrania („niech się zabawia, póki wójtowi nie wzbronią tracić gromadzkie”). Hankę żre własna troska — **Antek wciąż w więzieniu** (koszty adwokata, nieznany termin sprawy), gospodarstwo się rozprzęga (zuchwały parobek), a jej zdrowie podupada („i żelazo w końcu rdza przeżre”).

Pod koniec maja — ksiądz i organista na odpuszcie, Jambroży spity z Niemcami — nie ma komu zadzwonić na Anioł Pański, więc lud odprawia **nabożeństwo majowe pod starą, rozsypującą się kapliczką** przy cmentarzu. Kowal prowadzi śpiew „Dobranoc, wonna lilija”, a w cudownej, lirycznej scenie zlewają się głosy ludu, słowików, żabiego chóru i **skrzypiec pana Jacka** grających ze zbóż — natura i pieśń maryjna w jedno. Po nabożeństwie **kowal Michał** dopada Hankę z groźną wieścią: Antka przed sprawą nie wypuszczą, grozi mu ciężki wyrok, „może na dziesięć lat”. Cynicznie podsuwa **wykup** (pięćset rubli), by uwolnić Antka i wyprowadzić go do „Hameryki” (jakoby za radą dziedzica) — namawia, by sięgnęła po ukryty grosz ojca, obiecuje znaleźć pożyczkodawcę. Hankę przejmuje groza ucieczki „ze wsi, od grontu, na zawsze”; nie wierzy kowalowi, lecz zostaje wstrząśnięta, samotna w księżycowej nocy.

## Rozdział IX

---

Najniespodzianie **wraca Rocho** — po mszy i długiej rozmowie z księdzem idzie przez wieś w szarej kapocie, z różańcami, twarz mu jaśnieje dobrocią; wita się z każdym, lud cieszy się szczerze i zaraz obsypuje go nowinami i troskami. Mówi, że był na odpuszcie w Częstochowie; zakwateruje się u Borynów. Idzie zaraz do **konającego Macieja** (leży w sadzie w półkoszku, Łapa u nóg, Witkowy bociek na straży) — „Poznajecie mnie?”; Boryna leciutko się uśmiecha, lecz głosu nie dobywa i odwraca się. Rocho orzeka, że Maciej dochodzi („toć i lampa przed zagaśnięciem żywszym płomieniem wystrzeli”), i radzi Hance zamówić trumnę. Wyjaśnia się też cud z budulcem: **pan Jacek dał Stachowi dziesięć chojarów** (wart z tysiąc złotych) — wręczył mu list do dziedzica, a ten, ku osłupieniu wsi, list uhonorował i kazał wybrać drzewo. Pół-głupawy „dziadek”, grający na skrzypcach pod figurami, okazuje się panem, któremu sam dziedzic posłuszny („nie patrzcie na człowieka, jeno na jego uczynki”). Rocho potwierdza Hance, że **Antka można uwolnić przed sprawą** za poręczeniem albo pięciuset rublami zastawu — odradza jednak kowalową radę ucieczki („z grontu wyjeżdża się w ogiery, a powraca rakiem”). Hanka pokazuje mu ukryty **węzełek po Borynie** — czterysta trzydzieści dwa ruble,

pięć złotych i sześć biczów koralii („to po matce, dał je Jagnie, a potem odebrał”), wręczony jej na ratunek Antka pod przysięgą milczenia. Rocho liczy: na zastaw nie starczy, lecz sprzedając maciorę, jałową krowę i zboże, wykupią Antka „bez niczyjej pomocy” — Hanka rzuca mu się do nóg z płaczem wdzięczności („rodzony ociec lepszy by nie był”). Pada też wieść, że **Dominikowa przepisuje u rejenta cały grunt na Jagnę** (przez złość do synów żądających działów), w asyście wójta; Hanka napomyka o gorszącym romansie Jagny z wójtem („samam ich w sadzie zdybała”). U Stacha stary **Bylica czule przemawia do sosen** jak do żywych istot („u swoich ostaniesz, obrazy na tobie powieszą”) — wzruszający obraz starczej radości. Wieczorem nad rozkołysanymi zbożami zrywa się wiatr; **Adam Kłębiak przygalopowuje z krzykiem, że w lesie pod Borynowym krzyżem leżą zabici**. Wieś wpada w popłoch, lecz sołtys wraca wójtową bryką, tuszując sprawę jako głupi figiel — aż **Kozłowa wyjawia prawdę**: „trupami” byli **pijani wójt i Jagna**, śpiący w pół rozebrani pod jałowcami po mieście („czysta sodoma”; Filipka z litości przykryła Jagnę zapaską). Jagna uciekła w pola, wójta zwleczono na wóz „spitego kiej świnia”.

Wieś wybucha **zgorszeniem i oburzeniem** („tego jeszcze w Lipcach nie bywało” — i to nie parobek, lecz gospodarz, ojciec, wójt!); Kozłowa wrzeszczy, że Jagnę „różgami pod kościołem siekła by”, a kontrast jest jaskrawy: Boryna kona bez kropli wody, a ta... Na moście **chłopaki szydzą z wójta** („kokot z wójta”) i sławią urodę Jagny („miód, nie kobieta”); jedynie **Mateusz smutno jej broni** („Gulbasiak łże, Kozłowa łże, baby przez zazdrość dokładają — na niejedną pyskują, choć najpocziwsza”). **Grzela**, wójtów brat, wściekle wypiera się brata i wini Jagnę, lecz nagle **Pietrek (parobek Borynow)** staje w jej obronie z **pięściami**: „Wójt jeno winien! To ona mu korale zwoziła? Ona go do karczmy ciągała? Może i kropli jej zadał!” — oskarża wójta o przymus i podstęp, a wyśmiany ciska gospodarzom w twarz: „dziedzice ścierwy! ja służę, ale kryjomo ćwiartek nie wynoszę do Żyda”. W niespokojny, wietrzny wieczór wieś szepce po opłotkach. U Hanki kumy plotkują; ona z godnością ucina („wstyd i obraza boska, ale i niemałe nieszczęście”), karci drwiny Jagustynki — a potem **skrycie, z dziwną litością, rozbiera śpiącą w ubraniu Jagnę** („niech Bóg broni takiej doli”). Jagustynka kwituje: „Jagna bez grzechu nie jest, ale wójt najwinniejszy”. Nocą **Płoszka z Kozłami judzą wieś przeciw wójtowi**; w karczmie Płoszka gorzałką podburza gospodarzy do zwalenia go z urzędu (wylicza jego winy — trzymanie z dziedzicem przeciw gromadzie, naraił Niemców na Podlesie, hula za gromadzki grosz), lecz pijany Sikora przejrzał jego grę o wójtostwo („i ty byś swojego ryja chciał wsadzić do koryta... na wójta cię nie wybierzem”). Nazajutrz ksiądz **zakazuje stawiać ołtarz przed wójtem**, besztając organistę i Jambroża. W skwarny, duszny dzień **Bożego Ciała** wieś gorączkowo stroi ołtarze — u młynarza, przed plebanią (zamiast u wójta) i przed Borynami, gdzie Hanka z Rochem od świtu wznoszą **najpiękniejszy ołtarz** (brzozowa kapliczka z wełniakami, obraz Matki Boskiej, klatka z kosem; Józka stroi go modrakami). Wszyscy pomagają prócz znikłej o świcie Jagny. Rusza **wielka procesja** — cała

parafia i dwory, dziedzice prowadzą dobrodzieja z monstrancją, lecz baldach niosą — jakby na złość Lipczakom — sami obcy z innych wsi.

Procesja wylewa się na rozpalony plac w biciu dzwonów, dymach trybularza i kurzawie; lud śpiewa „z całego serca, wszystkimi gardzielami”, a w cudownym obrazie cała przyroda — lipy, olchy, wody, sady, pola — zdaje się wtórować chwale Pańskiej. Obchodzą kolejno ołtarze (pierwszy Borynów, potem młynarza, plebanii), przy każdym ksiądz czyta ewangelię. Upał rośnie nie do zniesienia, niebo bieleje — **nadciąga burza**: od wschodu wałę granatowe chmury, zrywa się wichur, biją pioruny, niebo sinieje „niby wątroba”. Nawałnica przewala się jednak stronami bez wielkich szkód, a rześisty deszcz kładzie zboża; pod wieczór wieś **odżywa orzeźwiona po deszczu** (pachnące brzoźki, gorejące kałuże, śpiewki pasterek). Goszczący gospodarze z sąsiednich wsi zostają na ochotę — chłopaki sprowadzają muzykę i w karczmie rusza pierwsza od zapustów zabawa. **Szymek Dominikowej** szaleńczo przewodzi oberkowi z Nastusią (pije na umor, rzuca grajkom dziesiątki, lekceważy brata Jędrzycha).

## Rozdział X

---

W tym czasie **Grzela** zwołuje sześciu najprzedniejszych parobków (gospodarskich synów) na tajną naradę w żydowskiej stancji — wtrącającego się kowala wypraszają (podejrzewają go o konszachty z Niemcami i dziedzicem). Grzela ostrzega: **Podlesie jeszcze nie sprzedane, lecz akt może być podpisany w czwartek**; jeśli Niemcy osiądą o miedzę, Lipce się uduszą jak Górki. Rozwija się gorzka diagnoza **głodu ziemi** — wsi za ciasno, narodu przybywa („co starczyło za dziadków la trojga, musi się teraz rozdzielać la dziesięciorga”), działy nie pomogą, a na kupno nie ma grosza. **Grzela proponuje plan**: pogodzić się z dziedzicem i za morgi swego lasu zażądać po cztery morgi pola na Podlesiu (tak zrobiła wieś pod Płockiem). Wielki entuzjizm i rachuby, lecz **Mateusz oponuje** — dziedzic potrzebuje grosza natychmiast, Niemcy zapłacą zaraz, a nim chłopci się naradzą, sprzeda. Mateusz wysuwa **plan brutalny**: iść całą gromadą do Niemców i zapowiedzieć, że jeśli kupią, nie dadzą im siał, budować ani ruszyć się za pola — „wykurzymy ich kiej lisów z jamy”. Grzela lęka się kryminału za bunty i długo, na próżno, odwodzi (błaga, całuje ich). Niespodzianie **Żyd Jankiel popiera Mateusza** („Mateusz ma kiepele”) — gdzie przychodzą Niemcy, tam „pies nie ma co jeść”; urodził się tu jak oni, trzyma „ze swoimi”, postawia butlę araku. Narada kończy się hucznie; Mateusz rusza w tany (porywa Tereskę), karczma huczy do nocy — pijackie gadania o wygnaniu Jagny, wyborze nowego wójta i rachubach morgowych; Jagustynka tańczy, śpiewając sprośnie.

Przez dni od Bożego Ciała **Mateusz, Grzela i kamraci chodzą po chałupach, judząc na Niemców** — lecz idzie ciężko: starsi się wahają, a **kobiety stanowczo odmawiają** (dość biedy po lesie!), sołtysowa grozi wydaniem strażnikom, Balcerkowa psami i wrzątkiem. Mateusz zniechęcony („ciele prędzej zrozumie ludzką mowę niżli kobieta”), lecz uparty Grzela

perswaduje cierpliwie. Sprawę ratuje dopiero **Rocho**: wezwany za stodoły, orzeka „sposób to zbójcecki, ale że na inny nie ma czasu, pomogę wam” — i namawia **proboszcza**, który zrazu się gniewa, potem ustępuje i sam obchodzi wieś, ciszej przekonując kobiety i gospodarzy: „chłopaki dobrze chcą... zrobicie swoje, to ja pojedę do dziedzica”. Wieś się zgadza — pójdą po nieszpórach w niedzielę, z **Rochem na czele** (zna niemiecki).

Owej niedzieli na Borynowym ganku Rocho z żalem przygląda się **udręzonej Jagnie** — cała wieś szczuje na nią „kieby na psa parszywego”, kobiety spluwają, mały Gulbasiak ciska za nią błotem („wójtowa kochanica!”). Czuje się niewinna (wójt ją spoił i przyniewolił), nie ma dokąd iść (matka ją niemal wyгнаła), broni jej tylko **Hanka**. Z rozpaczyny przeradza się w nienawiść do starego męża: wbiega do **konającego Macieja** w sadzie i syczy „Abyś zdechł jak najprędzej, ty stary psie!” — i odczuwa ulgę, mając się na kim mścić. Tymczasem **stójka przynosi pismo sądowe** dla „Anny Maćwiejówny Boryna”; Rocho odczytuje je, lecz przy kowalu kłamie, że to tylko zgoda na cotygodniowe widzenia z Antkiem — a po jego odejściu wyjawia Hance prawdę: **za pięćset rubli zastawu albo poręczeniem Antka zaraz wypuszczają!** Hanka, oniemiała ze szczęścia, pada krzyżem przed obrazami, zalewa się łzami dziękczynienia, odmłodziła o dziesięć lat („jużem gotowa na nowe”). Rocho każe szybko sprzedać, co trzeba, i zachować rzecz w tajemnicy (mówić, że Antka puszczone za zastawem, by kowal nie czepiał się grosza). Rozpromieniona Hanka zwierza się tylko Józce, gada z radości do zwierząt („cicho głupi, gospodarz przeciek wracają!”). Wieść przenika i Jagnę, budząc w niej cichą nadzieję — biegnie do matki. Trafia jednak na **straszliwą awanturę u Dominikowej**: **Szymek żąda pięciu rubli na zapowiedzie** (żeni się z Nastusią Gołębianką), matka szyderczo odmawia i każe mu służyć przy jałówce; gdy odmawia („za dziewczkę służył wama nie będę”) i sięga do skrzyni po pieniądze, **Dominikowa rzuca się nań z pogrzebaczem** — matka i syn biją się jak psy, taczając po izbie, Jędrzek wyje „Matulu, laboga!”, a wbiegła Jagna na próżno próbuje ich rozdzielić.

Bójka kończy się tragicznie: **Szymek odpycha matkę, a ta pada na rozpaloną blachę** między gary z wrzątkiem — komin się wali, Dominikowa zostaje strasznie poparzona (twarz, szyja, ręce, spalone włosy i oczy), lecz jeszcze rwie się do syna, wyrzuca jego rzeczy przez okno i wydziedzicza go („ani jednego zagonu ci nie dam, choćbyś zdychał z głodu”). Szymek, zbity i okrwawiony, siada w sadzie i z ponurą zaciętością odmawia odejścia („gront mój po ojcach, nie ustąpię”); wierny Jędrzek chce iść z nim „we świat”. Jambroż opatruje poparzoną masłem, liśćmi i zsiadłym mlekiem. Podczas sumy nad stawem rozgrywa się **czuła scena Mateusza z Jagną** — zapłakaną, udręczoną; zaczyna się ich pojednanie (Jagna wyznaje, że wołała za nim), a Mateusz, miotany żalem i zazdrością, błaga, by odpędziła wójta, i przysięga zemstę: „Ja mu, ścierville, odpłacę!” — Jagna podchwytuje gorąco. W niej budzi się cicha nadzieja, że może Mateusz albo nawet **Antek** ujmie się za nią. Wracając z kościoła, Hanka i Mateusz roztrząsają **niesprawiedliwość kazania** — ksiądz wypomniał z ambony niemal po imieniu Jagnę i Tereskę, lecz **wójta, najwinniejszego, ni słowem nie tknął** (ani Magdy, ani

młynarzowych dziewczek, ani rozpustnej dziedziczki z Głuchowa). Mateusz miarkuje, że podmówiła księdza **Dominikowa** (zemsta o Szymka i Nastkę) albo **Balcerkowa** (chce go dla swej Marysi), i poprzysięga na złość ożenić Szymka z Nastką. Wieczorem gromada zbiera się do wyprawy na Niemców; pada wieść, że wójta wezwano do powiatu w sprawie szkoły w Lipcach — Grzela hardo lekceważy naczalstwo.

Chłopi gardzą zresztą taką szkołą (rusyfikacyjną i jałową — „Jadam dwa roki chodził do Woli, a na książce nie przeczyta”, podczas gdy uczone zimą u Rocha dzieci czytają nawet polskie książki); chcą **najmować Rocha**, lecz sołtys ostrzega, że urząd już go podejrzewa (że uczy dzieci i rozdaje polskie książki i gazety) — trzeba go przestrzec; Płoszka zaś lękliwie kalkuluje, czy Rocho nie ściągnie biedy, za co Grzela wytyka mu gotowość do denuncjacji. Rusza **wyprawa na Niemców** z Rochem (zna niemiecki) na czele — kilkunastu gospodarzy i przedniejszych parobków idzie w surowym milczeniu, jak za procesją, niosąc dębowe łagi; odpoczywają pod granicznym krzyżem, wpatrzeni w upragnione, lecz zaniedbane („żydoska gospodarka”) pola Podlesia i okopcone ruiny spalonego folwarku, gdzie obozują Niemcy (antał piwa, flecik, tłuste bydło). Rocho grzecznie prosi ich, **by nie kupowali Podlesia**; Niemcy osłupiali, potem wściekli. Wybucho spór o prawo do ziemi: stary Niemiec — „ziemia jest tego, kto za nią płaci”; Rocho — „powinna być tego, komu jest potrzebna... za te dziesięć palców, duża plata”. Niemcy grożą sądem („nie odsiedzieliście jeszcze za las”), chwytają drągi i fuzje, a wtedy **Mateusz ciska im ultimatum**: „na Podlesiu nie wysiedzicie!... jako ogień ima się słomy... bydło pada na paśnikach... wojna w dzień i w nocy, na każdym miejscu!”. „Wojna! Wojna!” — grzmi gromada. Rocho w porę odwodzi swoich od bójki; chłopi wycofują się, urągając („czekajcie, aż wam czerwony kogut zapieje!”), a wracając o zmierzchu, już w myślach dzielą między siebie Podlesie „kiej plastry miodu”.

## Rozdział XI

---

O świcie **Hanka wraca bryką** — Antka „za trzy dni dopiero puszcza” (Rocho pojechał za nim do guberni z pieniędzmi na okup), lecz powróci niechybnie. Zaczęły się **sianokosy** (pięciu kosiarzy, wśród nich Mateusz Gołąb, co chce „grzbiet wyprostować przy kosie”); piękna scena koszenia omglonej łąki o brzasku. Trwa jednak **susza** (mimo mszy o deszcz na św. Jana) — schną studnie i rzeki, zboża żółkną, krowy tracą mleko, paść wolno tylko za pięć rubli w porębach; przednówek dla biedoty coraz cięższy. Wieś, pełna sporów (lasy, wójt, Dominikowa, Niemcy), niemal zapomina o głodzie; sianokosy są ulgą. Niemców pilnie obserwują — przestali kopać studnie, a kowal donosi, że **zaskarżyli dziedzica o pieniądze, a Lipce o gwałt** (chłopi śmieją się z tego). W skwarne południe nad rzeką Mateusz wyklada, czemu wszyscy (kowal, młynarz, karczmarz, nawet dziedzic) trzymają teraz ze wsią — każdy z własnego interesu i strachu. Wtem przybiega **Witek**: „gospodarz czegoś krzyczą!”. Zaczyna się **agonia Macieja Boryny** — od rana majaczy, w południe wrzeszczy; Hanka zastaje go siedzącego,

dopominającego się butów, przekonanego, że to ranek i trzeba jechać siać („Antek w polu?”). Słowa przytomne mieszają się z obłąkanymi; przeniesiony do izby, zostaje **namaszczony świętymi olejami** („lada godzina uśnie”). Mimo to żyje jeszcze — to przytomny, to jak trup; do zagląającego mu w oczy kowala mówi z dziwnym prześmiechem: „Nie frasuj się, Michał... już teraz wam dojdę... niezadługo dojdę”. Pilnują go odtąd, zwłaszcza **Jagusia, z którą wyprawiają się jakieś dziwności.**

Jagna porzuca pielęgnację poparzonej matki i **kamieniem zalega przy konającym mężu** („to moje prawo”), trzymana głuchym strachem. Gdy cała wieś jest na rozśpiewanych sianokosach, ona głucha jest na radość życia — Maciej już nie mówi, lecz jego szklane oczy **ścigają ją uporczywie, przewiercając „kiej zimne noże”**; błaga „nie patrzcie, bo mi duszę wywleciecie!”, a po jego sinych policzkach toczą się łzy. Ucieka, błądzi z płaczem „jak ptaszka z połamanymi skrzydłami”. Trzeciego dnia (sobota) **Hanka czeka na Antka**, szykuje dom, lecz mąż nie wraca (urzędy zamknięte w niedzielę); w gorączce nadziei gada do siebie i do bydłatek. Nocą, w księżycowej poświacie, **Maciej budzi się i wstaje** — bierze majaczenie za świt, mamrocze „Dnieje... Pora... pora siać”, bosko w koszuli wychodzi na podwórze (Łapa za nim), obchodzi konie, krowy, pług — wszystko mu się rozsypuje w pamięci „kiej suchy piasek w garściach”. Słyszy, że ktoś go woła. Przy odbudowanym brogu na mgnienie wraca doń pamięć bitwy — porywa kołek, gotów bić, i upuszcza go. Dochodzi do podorówki, gdzie księżyc stoi w pół nieba.

Tu rozgrywa się **wielka scena siewu-śmierci** — szczytowy obraz powieści. Boryna przykłęka na zagonie, nabiera ziemi w koszulę niby zboże i zaczyna **siać** — idzie zagonami tym błogosławiącym, półkolistym rzutem, „niby widmo błogosławiące każdej grudce”, potykając się i padając, czując już tylko głuchą, nieprzepartą potrzebę siewu („Puszczaj, Kuba, brony!”). Pod świt sieje już pustą garścią — „jakby siebie samego rozsiewał do ostatka na te praojcowe role, wszystkim żywot człowieczy zwracając niwom świętym i Bogu”. Wtedy świat ciemnieje, ziemia zdaje się kolebać, a **poła wołają doń żałośnie: „Gospodarzu! Gospodarzu!... Ostańcie z nami! Ostańcie!”** — zboża chwytają go za nogi rosistym gradem łez. Porwany grozą, nie może uciec, gdy błyskawica otwiera niebiosa: **Bóg Ojciec na tronie ze snopów wyciąga ku niemu ręce** — „Pódzize, duszko człowiecza, do mnie. Pódzize, utrudzony parobku”. „Panie Boże, zapłać!” — odpowiada Boryna i pada na twarz, **umierając w godzinie łaski Pańskiej.** Świt wstaje nad nim, a Łapa wyje długo i żałośnie. (*Koniec Tomu III — Wiosna.*)

## Rozdział I

---

Rankiem (niedziela) zaspany dom budzi **Łapa**, ciągnąc Józkę w pole — do **trupa starego Macieja**, leżącego twarzą do ziemi, rozkrzyżowanego jak w ostatnim pacierzu, z piaskiem zaciśniętym w garściach i oczami otwartymi „z zachwyceniem ku niebu”. Daremnie próbują go cucić — to już zimny trup. Wybuch **srogi lament** (Hanka, Józka, Witek, dzieci, nawet Łapa; tylko Pietrek idzie spać do stajni). Cała wieś ciągnie oglądać zmarłego. **Jambroź** z Jagustynką i Jagatą obrządzają ciało, snując gorzkie refleksje o chłopskiej doli („tyła ano człowieczej szczęśliwości... turbacje gryzą barzej głodu”). Wpada **Jagna** — zdrętwiała, bez jednej łzy, z oczami „zapiękłymi w zgrozie” (dręczy ją wina — sama życzyła mu śmierci) — i błąka się błędna, nie mogąc pojąć śmierci. Hanka rychło opamiętuje się i obejmuje rządy. Przybyły **kowal**, niby pogrążony w żałobie, **chciwie szuka ukrytych pieniędzy** (w komorze, pod poduszkami, w słomie łóżka), za co Jagustynka go kąśliwie kłuje („byście tam czego uschniętego nie naleźli”); wzywany do kościoła, nie odejdzie, póki nie przeszuka. **Mateusz** stawia w sadzie warsztat i z suchych dębowych desek robi trumnę („nie żałuj domowiny, niech się chudziak rozeprze choćby po śmierci”). Hanka wciąż wygląda Antka, który nie wraca. Ciało obmywają i ubierają w **najlepszy strój — białą kapotę sprawioną na ślub z Jagusią**, pasiate portki, prawie nowe buty. Przy przelazie Hankę rozpiera **pycha i nadzieja**: „trzydzieści dwie morgi, paśniki, las... żeby tak pospłacać i ostać na wszystkim, być jak ociec byli!” — lecz „od półwłóczka nie ustąpię”; na widok Jagny wraca dawny żal („ona ma zapis, całe sześć morgów, złodziejka!”). **Czuwanie** — Boryna leży paradnie na ławie wśród świec, z obrazkiem Częstochowskiej w rękach, w dymie jałowca i „strasliwym majestacie śmierci” — „człek sprawiedliwy i mądry, gospodarz z dziada pradziada i pierwszy bogacz we wsi”. Płynie nieskończony orszak żałobników; nad całą wsią ciąży ta śmierć w prześliczny, słoneczny dzień. Tylko **Jagny nikt nie pociesza** — wyszydzona przez wójtową, kryje się w sadzie, nasłuchując, jak Mateusz zbija trumnę. Pod wieczór Hanka posyła po kowala, by iść z nią do proboszcza ugodzić pogrzeb.

Okazuje się, że **kowal popija herbatę z dziedzicem** u młynarza (dziedzic szuka jego pomocy w pojednaniu ze wsią — kowal liczy na zysk). Hanka idzie z Magdą na plebanię, gdzie proboszcz w komicznej scenie chępli się swym rasowym **bykiem rozplodowym** (holender za trzysta rubli, stanowi krowy po rublu, „żeby się Lipce dochowały porządnych krów”); o pogrzeb ucina szorstko, lecz hojnie: „Nie zdieram skóry z ludzi. Maciej był pierwszym gospodarzem, to i pogrzeb musi mieć nie lada jaki!”. **Pan Jacek**, modląc się przy zmarłym, wyjawia rzecz

ważną: Boryna „był z nami w powstaniu, przystał do partii dobrowolnie... zmarnował się przez nas — przekleństwo ciąży nad nami” (pan Jacek to dawny powstaniec-szlachcic pokutujący; Maciej walczył w 1863 r.); gniewnie odtrąca wdzięczność Hanki („Dziedzic nie święty!”). Nocą rodzina czuwa przy ciele (Jambroź śpiewa z książki), lecz czuwający zasypiają. O świcie **przyroda oplakuje gospodarza** („Pomarł! Pomarł!”), a po długiej suszy nareszcie spada **błogosławiony deszcz** — spragnione pola „piją z dziękczynieniem” („Bóg zapłać, bracie deszczu!”). Deszcz budzi Hanke, która zrywa się do roboty (koniczyna, krowy). Z bryczki **kowal cynicznie żąda połowy ukrytych pieniędzy**, grożąc rozgłoszeniem, że „starego podebrała” — Hanka z oburzeniem odmawia. Mateusz kończy trumnę z białym krzyżem; do oglądającej go Jagny rzuca ze współczuciem „Wdowaś teraz, Jaguś, wdowa!”, a ona zalewa się łzami i ucieka szlochać w deszcz.

Hanka łagodnie ją pociesza; Jagustynka cynicznie wróży, że młoda, urodna i bogata wdowa „kijem się będzie musiała oganiać przed chłopami”. Po południu **ciało wkładają do trumny i przewożą (eksporta) do kościoła**; w opustoszałej izbie zostaje pustka („zawdy czuć było gospodarza w chałupie”), lecz Hanka, twarda, prowadzi wszystkich okopywać ziemniaki („ziemia nie poczeka”). Deszcz pada cały dzień (w wigilię św. Jana, gasząc sobótki — Witek na próżno wabi pogrążoną w żałobie Józkę). Nazajutrz odbywa się **wielki pogrzeb** — żałobna wotywa, łacińskie pieśni dwóch księży, Boryna na katafalku w „białym lesie świec”, cała wieś na klęczkach. Procesja na smętarz: czarna chorągiew z kościotrupem, krzyż, brackie ze świecami, trumna wysoko na słomie (Jagustynka wsuwa pod nią bochen chleba), „Miserere mei, Deus”. Reymont rozwija tu **wielką, liryczną medytację o śmierci i znikomości człowieka** („O dolo człowiekowa... tym wiatrem jeno jesteś... w pazurach śmierci jako ten ptaszek z gniazda podebrany”), a zboża chylą się do nóg gospodarza w ostatnim pokłonie. Dołącza dziedzic; Dominikowa zawodzi „Kto się w opiekę”. Nad grobem proboszcz rozpoczyna grzmiące kazanie: „Narodzie chrześcijański!”.

W **kazaniu-przypowieści** proboszcz maluje Macieja u wrót raj, gdzie św. Piotr wypytuje, czemu opuścił ziemię; Maciej skarży się na zezwierzczenie świata („ludzie jako wilki nastają na siebie... swary, kłótnie, obraza boska... brat na brata, dzieci na ojców, żony na mężów, sługa na pana... rozpusta, pijaństwo, złodziejstwa”), wskazując Lipce jako najgorsze — a św. Piotr grozi, że jeśli nie odpokutują w trzy niedziele, Bóg „przyciśnie ich głodem, pożogą i choróbskami”. Lud płacze i bije się w piersi, nawet dziedzic ociera oczy. Gdy spuszczają trumnę i sypią piach, wybucha **wielki lament** — najrzewliwiej zanosi się **Jagusia** (otoczenie szydzi: „tak se łaskę wyplakuje, bych jej nie wygnali z chałupy”). Po pogrzebie suta **stypa** u Borynów (gorzałka, kluski z mlekiem, mięso z kapustą, groch); kobiety plotkują o ukrytym groszu, organista wygłasza pijaną łacińską mowę, biesiada huczy — tylko **Jambroź**, zwykle wesoły, popłakuje w kącie („przy chrzcie Macieja byłem, na weselu tańcowałem... pora na mnie”). O zmierzchu zjawiają się **ksiądz i dziedzic**; dziedzic otwarcie zabiega o pojednanie ze wsią („żeby Maciej żył, ugodziłbym się dobrowolnie... ale mam to z kim pomówić?”), lecz chłopci, czujnie milczący,

tylko przytakują. Po jego odejściu kłócą się o zgodę (Płoszka: „potrzebuje nas, to bakę świeci”); kowal namawia, by brać, co dają, i ruszają na naradę do karczmy. W opustoszałym, „jak w grobie” domu Borynów rodzina siedzi nocą przy kominię, **przejęta strachem przed duchem zmarłego** — zdaje im się, że ktoś ciężko stąpa po górze, słucha pode drzwiami, zagląda w okna i obchodzi chałupę. Gdy Józka z płaczem woła „Ociec!”, **Jagustynka każe otworzyć drzwi, by blakająca się dusza odeszła w spokoju na „Jezusowe pola”** („płacze ją trzymają przy ziemi”); Hanka rozdygotanym głosem śpiewa „Wszystkie nasze dzienne sprawy”, a wszystkim ulży.

## Rozdział II

---

Nastaje promienny **dzień odpustu — święto Piotra i Pawła**. Dzwony (zwane Pietr, Paweł i sygnaturka, opisane jak żywe głosy) zwołują „Zmiłuj się! Matko Przenajświętsza!”, a ze wszystkich stron, przez rozkwiecione, rozśpiewane pola, w skwarze ciągną tłumy. Lipce giną w nawale wozów, koni i ludzi; przy kościele jarmark — kramy, katarynka z zamorskim zwierzem podobnym do starego Niemca, dwa rzędy dziadów wyciągających prośalne pieśni. W upalne południe Reymont maluje **lirykę modlącego się tłumu** i wielkiej procesji z baldachem. Dziedzic z Woli krąży i zagaduje znajomych — Hance **ofiarowuje się poręczyć za Antka**, gdyby brakło pieniędzy. Wtem od młyna nadjeżdżają **Niemcy z Podlesia — wyprowadzają się!** (kilkanaście bryk z dobytkiem, tłuste rude juchy, wielkie psy). Lud obrzuca ich wyzwiskami i kamieniami („Pludraki, ścierwie!”), oni odjeżdżają hardo, nie zdjęwszy czapek. Lipczaków rozpiera triumf; otaczają **dziedzica**, który chełpi się, że „sprzeda swoim, choćby za pół darmo”, i zapewnia, że jego ród zawsze trzymał z chłopami — lecz **Sikora cynicznie mruczy, że stary dziedzic „kazał mu to wypisać na plecach batami”**. Pada półsłówko, że krowy Niemców „padły na Podlesiu” — i że **Kobus mógłby coś o tym powiedzieć** (zatrucie bydła; Kłęb szybko go ucisza). Pojawia się **Jasio, syn organisty**, teraz w sutannie kłeryka, kwestujący na kościół (proboszcz wysłał go do szkół księży) — na jego widok **Jagna drętwieje, urzeczona** („widzi się kiej ten świętek”, młody, smukły, śliczny).

Po sumie sypią się nowiny: spadły z ambony **zapowiedzi Szymka z Nastusią; w wójtowej kasie brakuje dużo grosza** — wójt lata po pożyczki przed śledztwem, grozi mu utrata gospodarki albo kryminał („używał, jucha, niech pokutuje”). Hanka, brzydząc się złośliwościami Jagustynki wobec ślepej Dominikowej, hojnie obdziela dziadów — i nagle **dostrzega między żebrakami własnego ojca, Bylicę**. Zawstydzona, ciągnie go do domu, lecz on odmawia, oświadczając, że dawno postanowił iść na żeby, by nie ciążył rodzinie („komu głód kumą, temu torba matką”), daje wnukowi złotówkę na cudaka i znika w tłumie. Trwa gwarny jarmark (kielbasy, kukielki, wstęgi, paciorki), na plebanii proboszcz ucztuje z księżmi i dziedzicami.

W domu Hanka wyrzuca **siostrze Weronce**, że zagłodziła i wygnała ojca na żebry (należy mu się wycug); Weronka, sama w nędzy (żyje na borg u Jankła), wzrusza ramionami („korona mu ze łba nie spadnie”). Hanka postanawia ojca sprowadzić. Ślepy dziad z pieskiem ucztuje u Borynów (kasza ze słoniną), żaląc się na ciężki dla żebraków przednówek; Witek przeklina Niemców (poszczuli go psami). Po niesporach jarmark znów wre: **Szymek obsypuje Nastusię** bursztynami i wstęgami, oboje „jakoby pijani uciechą”; **Jagna błąka się sama, smutna**. Mateusz pokornie wraca do niej, lecz gdy zazdrośnie kpi z Jasia („niedawno wyrwał za krowimi ogonami”), Jagna przepycha się ku klerykowi — ten wręcza jej obrazek patronki, **ich ręce zderzają się „kiej sparzone”**, a ona zostaje jak urzeczona. **Szymek** chełpi się przyszłym gospodarstwem (ślub za trzy niedziele przed żniwami, wprowadzi się na drugą stronę matczynej chałupy, byle mu odpisała grunt; Nastusia wnosi tysiąc złotych posagu). Jagna obojętnie odmawia karczmy („i karczma ła mnie już nie zabawa”). Mateusz, idąc na **naradę kowala w karczmie**, mija Tereskę — chłodno, lecz daje jej grosz i zaprasza na tany. W karczmie zbierają się młodzi z **kowalem i Grzelą** na czele oraz kilku gospodarzy (i niezaproszony Kobus); Grzela gorąco przemawia, kreśląc kredą po stole, gdy wchodzi Mateusz.

Narada dotyczy **zgody z dziedzicem** (za morgę lasu cztery morgi pól podleskich, resztę na spłaty, borg na budulec) — Grzela kreśli podział, lud rozmarzony („dopiero to w Lipcach nastanie święto!”). Lecz **Płozka ostrzega przed podstępem** („nie wierzta dziedzicowi, póki nie będzie czarno na białym, zawsze się naszą krzywdą pasły”); Kłęb broni zgody („głupi nie bierze, jak dają”). Jankiel stawia gorzałkę („żeby Podlesie były nowe Lipce, żeby każdy był pan!”). Wyrzywa się **Kobus, mówiąc w imieniu komorników**: „i nam się należy ziemia! Po równo musi być ła wszystkich!” — wyzywa gospodarzy i dziedziców, więc go wyrzucają za drzwi. Tymczasem w domu Borynów wieczorem **Witek pięknie gra na skrzypcach** (wyuczył się od Pietrka), za co ślepy dziad daje mu dziesiątkę. **Jagna**, miotana niepojętą tęsknicą, błąka się nocą po wsi i staje pod oknem organistów — widzi **Jasia** bawiącego się z siostrzyczkami, słyszy, jak matka czule kładzie go spać przed świtaną podróżą — i wpatruje się w niego „niby w ten obraz święty”.

## Rozdział III

---

Nie mogąc się oderwać, Jagna patrzy, jak **Jasio kłęka do pacierza pod oknem** — i ogarnia ją gwałtowne pożądanie zmieszane ze świętą trwogą; chce doczołgać się i całować jego białe ręce „kiej do cudownego obrazu”, lecz strach ją wstrzymuje. Gdy Jasio pyta „Kto tam?” i gasi światło, jej **zmysłowa żądza przeradza się w mistyczną błogość** — wordless „pacierz szczęścia”, łzy łaski. (Reymont przemienia jej pożądanie w duchowe uniesienie.) Nazajutrz na **żałobnej mszy za Borynę** (w oktawę) proboszcz napomina rodzinę o sprawiedliwych **działach**: dzielić się „zgodnie, nie krzywdzić sierot, spełnić wolę zmarłego” („zgodą stoi wszystko na świecie”). Idąc do domu, gawędzą o ciężkim przednówku, kradzieżach Kozłów

(Magda znalazła pióra skradzionego kaczora za ich oborą) i o Płoszce podsycającym sprawę przeciw wójtowi. Przy śniadaniu zasiada **narada o działach** — Hanka oświadcza, że jest tylko stróżem mężowego dobra: „Antek wróci, to się podzielita”. Dominikowa upomina się o **sześć morgów zapisanych Jagusi** (urzędowy zapis przy świadkach); wybucha spór, czy krowa, świnia i gęsi Jagny to jej wiano, czy idą do działów.

Kowal, odstąpiwszy od działów, próbuje zagarnąć **kożuch i buty Boryny** — Hanka nie pozwala niczego ruszyć przed urzędowym spisem. Na osobności kowal udziela jej **cynicznej rady oszukania spisu**: pochować krowy, maciorę i porządki u ludzi, zataić zboże (Jankiel poświadczy, że sprzedane) — „wszystkie tak robią, które rozum mają”. Hanka z pogardą odmawia („swojego nie popuszczę, ale cudzego nie łakomam”); kowal grozi rozgłoszeniem jej „podebrania” ojca. Wtem **wójtowa przynosi pismo urzędowe** (po rosyjsku, nieczytelne — podobno o Grzeli, że „pomarł czy coś”) i, korzystając z okazji, rzuca się na **Jagnę i Dominikową** z jadowitymi wyrzutami (Jagna uwiodła jej męża-wójta), żądając wygnania Jagny ze wsi („do żołdatów, suko jedna!... nie zamrę, póki cię kijami nie wyświecę”). Po jej wyjściu dochodzi do **straszliwej konfrontacji Hanki z Jagną**: zraniona Hanka oskarża ją, że gonila za Antkiem „kiej rozciekana suka” — a Jagna eksploduje nienawiścią, zaprzecza, twierdzi, że to **Antek ją niewolił i miłował**, i zadaje cios druzgocący: „tyś mu obmierza kiej stary utyłany łach... jak zechcę, to żebyś mu całowała nogi, kopnie cię, a za mną polecisz w cały świat!”. Hanka, zmiażdżona, wali się „kiej drzewo podarte piorunami”; po wyjściu Jagny modli się, ślubuje pielgrzymkę do Częstochowy, byle to była nieprawda, lecz wreszcie podnosi się dumą: „mi się z nią nie równać w urodzie, trudno — alem mu ślubna i matka jego dzieci! A polecisz za nią, to i powróci, przeciech się z nią nie ożeni!”.

Pod wpływem tej urazy Hanka podejmuje decyzję i **wygania Jagnę z chałupy** („Wynoś mi się w ten mig, a nie, to cię parobkowi każę wyrzucić!”). Jagna hardo ciska jej w twarz **zapis na sześć morgów** („weź sobie i nachlaj się nimi!”), pakuje toboły i odjeżdża z matką, zatrzymując korale Józki („Maciej mi dali, są moje”); Dominikowa grozi Hance. Wkrótce młynarz odczytuje rosyjskie pismo: **Grzela utopił się jeszcze na Wielkanoc** (rzeczy do odbioru u naczelnika) — Hanka boleje, lecz pojmuje, że jego część wraca do działów. Wieś dzieli się w sporze o Jagnę (kobiety za Hanką, mężczyźni za Jagną; Mateusz jej broni — „Hanka nie miała prawa jej wyganiać... przez czystą zazdrość”). Nazajutrz Jambroz donosi o śmierci kolejnego oparzonego podrzutka u Kozłów oraz że **Dominikowa z Jagusią poszły do sądu skarżyć Hankę** o wygnanie córki. O zmierzchu przyjeżdża **wójt** — oznajmia śmierć Grzeli i dobrą nowinę o powrocie Antka, po czym namawia Hankę do ugody z Jagną (grozi jej kara za samowolę), lecz Hanka ucina: „Kogóż to bronicie — pokrzywdzonej czy swojej kochanicy?”.

## Rozdział IV

---

Bezsenną nocą, dręczona urojonymi krokami, Hanka wstaje z siekierą i obchodzi obejście; o świcie podgląda nocne schadzki wsi (parobek u Balcerkówny, młynarczyk od Magdy). Następuje **żywy obraz HANKI rządzącej całym gospodarstwem** — budzi leniwych (Pietrka, Witka, Józkę), rozdziela roboty, ogarnia wszystko „jak fryga”. Prowadzi komornice okopywać kapustę na mokradłach (rozmowa o suszy, chwastach, grzechu i pielgrzymkach do Częstochowy, którą Hanka ślubowała za powrót męża). Wtem **Józka przybiega z krzykiem: „Antek wrócili!”**. Hanka, choć serce jej skacze, dla ludzkich oczu spokojnie kończy i bez pośpiechu wraca, by zastać **Antka z Rochem na ganku** — następuje wzruszający **powrót i pojednanie małżonków**: Hanka, zmizerowana, zalewa się łzami szczęścia w jego ramionach, a Antek — „wybielały, wydelikatniały, urodny, mocarny, pański” — przygarnia ją z dobrocią.

Antek tkliwie wita dzieci (dziwi się, jak wyrósł Pietruś), godzi się z Józką („tera me słuchaj kiej ojca, krzywdy nie zaznasz”), boleje nad śmiercią Grzeli („jużem układał, jak się grontem podzielim, o kobiecie la niego myślałem”). Rozdaje **gościńce** (które przypomniał mu kupić Rocho) — Hance wełnianą chustę, trzewiki i jedwabną chusteczkę, Józce podobne, dzieciom pierniki i organki, pamiętał nawet o kowalowej, Witku i parobku — wśród łez wdzięczności. Po prostym śniadaniu (ziemniaki, barszcz z kielbasą — „przejadło się to mieskie jedzenie”) Antek opowiada o **więzieniu** (głód, zamknięcie, tęsknota za wolą), po czym kładzie się spać w stodole. Hanka, sama, **placze z radości w ogrodzie** („Żeś to wszystko sprawił, mój Jezu!”), czuwa nad śpiącymi „kiej kokosz nad pisklętami” i obwieszcza wsi powrót męża (kobiety szydzą: „urzekł ją ten wisielec... zarno się pocznie wynosić”). Po sutym obiedzie **Antek lustruje gospodarkę** (konie, obora, stodoła, przychówek, pola) i z podziwem chwali żonę: „uwierzyć trudno, żeś to wszystkiemu sama uredziła! Chwat z ciebie, Hanuś!”. Na widok pustej ojcowej izby pyta o Jagnę; gdy Hanka wyznaje „Wygnałam ją!”, marszczy się i ostrzega, że Dominikowa „nie przepuści nam bez precesu”, a **zapis lekceważy** jako bezwartościowy („złamany patyk”, nie odpisany u rejenta). Idąc w pola, gani lichą uprawę parobka (len duszony żółtochą, mizerny jęczmień — „spyskał rolę kiej świnia!”), lecz raduje się **wspaniałym żytem** („kiej bór idzie!... za dwa tygodnie pod kosę, byle grady nie zbiły”).

Pod borem, z uśpionym Pietrusiem, Antek doznaje **lirycznej komunii z ziemią** — patrząc, jak jastrząb spada na ptactwo, miarkuje, że „i jastrząb musi się pożywić, takie już urządzenie na świecie”, i całą duszą zlewa się z polami w uczuciu „Dyć znowu jestem! Jestem i ostanę!”. Przeprowadza zarazem **gorzki rachunek sumienia**, kornie przyznając: „głupi byłem... na świecie musi iść swoim porządkiem; jak wszystkie jada w jedną stronę, źle takiemu, któren z woza spadnie” — przyjmuje odwieczny ład (syn po ojcu) i ojcowiznę. Wracając o zmierzchu, **dręczy go jednak pamięć Jagusi** (jej modre oczy, czerwone wargi); odpędza ją twardo („skończyło się psie wesele!”). W domu chwali gospodarność HANKI, postanawia gospodarować „po gospodarsku, jak za ojców”, i ucisza śpiewającą przy udoju Józkę.

## Rozdział V

---

Wieczorem schodzą się **przyjaciele witać Antka** (Mateusz, Grzela, Płoszka, Kłęb). Rozmowa o **rusyfikacyjnej szkole** (naczelnik chce, by Lipce ją uchwały) — Antek: „szkoła potrzebna, ale na taką naczelnikową ani grosika”; Rocho podsyca opór (rozdaje Grzeli pisma i książeczki). Wpada **kowal z wieścią, że zgoda z dziedzicem zerwana** — przy podpisywaniu chłopci zaczęli się wahać i targować, dziedzic się rozgniewał i zakazał wpędzać lipeckie bydło na leśne paśniki (pod fant). Wśród sporów wieś **obiera Antka na przywódcę** („pierwszyś teraz we wsi, cię wszystkie posłuchają”); Antek niepewnie przystaje. Kowal, któremu to nie na rękę, na osobności go odwodzi, strasząc, że wypuszczono go tylko „do sprawy” i za mieszanie się może być zasądzony („a jak me zasądzą na Syberię?”). Nazajutrz przy pieczeniu chleba **Hanka kłóci się z zuchwałym Pietrkiem** („nie z Jagusią macie sprawę, nie wygonicie me krzykiem”; „póki Jagusia była gospodynią, nikt głodem nie przymierał”); ślepy dziad opowiada swoje wojskowe życie (pięć lat, drwiny z „kartoszka”, wojna z Turkami), a bociek kradnie z bochnów.

Antek orze pod borem spieczoną, twardą rolę pod pszenicę, dręczony **zrąca tęsknotą za Jagną**. Litując się nad wyczerpaną biedą **Jagustynką** (dźwigającą drwa), ofiarowuje jej ziemniaki za odrobek; ona, wzruszona, żali się na nędzę wnuków i kłopoty syna Wojtka (padła krowa, zgniłe ziemniaki, zwalona stodoła, chora synowa) — i przejrzawszy Antka, **kusi go opowieścią o smutku i opuszczeniu Jagusi**, lecz on milczy, choć rozdygotany z tęsknicy (dopytuje też niby mimochodem o łąkę Wojtka przyległą do pola Jagny, którą i Maciej chciał kupić). Złamawszy krój pługą, wraca do domu, gdzie **Hanka, rozczochrana, kłóci się z sąsiadką o szkody maciory** — Antek karci jej niechlujny wygląd. U kowala w kuźni (kują osie do wozu Płoszki na tartak) **kowal podsuwa Antkowi wożenie drzewa na tartak** (ma konie, sprzęt, bezczynnego parobka, dobrze płacą), obiecuje pomówić z kupcami; Antek skuszony (potrzebuje grosza na żniwo), lecz nie chce prosić młynarza. Na tartaku robotą kieruje sprawnie **Mateusz**.

Antek dostrzega za rzeką **Jagusię** i wyprasza u niej wieczorną schadzkę za księżym sadem. **Kowal sący weń pokusę** — straszy sądem i podsuwa ucieczkę do Ameryki (jak Kaźmirz z Modlicy, co zabił strażnika) albo wizję dziesięciu lat ciężkich robót (jak złamany, siwy Wojtek Gajda) — Antek przerażony obiema drogami. U Mateusza dowiaduje się o kłopotach Szymka (Dominikowa zapisała gospodarkę na siebie, nie wpuszcza syna), który w rozpacz grozi matce siekierą, aż Nastusia podsuwa ratunek: kupić sześć morgów na Podlesiu na spłaty.

Idąc na schadzkę, Antek **spowiada się przed proboszczem** (który niefrasobliwie pozwala swym koniom paść się w cudzej koniczynie) — ksiądz orzeka, że za obronę ojca należałoby się tylko pokuta kościelna, lecz „sądy nie darują, najmniej cztery lata”, i radzi zdać się na Opatrzność. Potem rozgrywa się **ostatnia schadzka Antka z Jagną** za stodołą: gorzkie wzajemne wyrzuty (Jagna: „przez ciebie wyгнаła me ta flądra... byś me miłował, strzegłbyś

przed złą przygodą"), tkliwe pojednanie i **namiętne zbliżenie „jak kiedyś”** — po którym następuje chłód, wstyd i obcość. Jagna cofa się hardo („anim twoja, anim niczyja — niczyja!"); Antek proponuje wspólną **ucieczkę do Ameryki**, lecz ona kpi („a cóż poczniesz ze swoją kobietą? Trutkę to jej zadasz?") i odmawia. Rozstają się w jadłowitej kłótni („żebyś skapiał kiej ten pies!"). Antek, zawstydzony, postanawia: „Raz temu musi być koniec! Dyć ociec dzieciom jestem i gospodarz!".

## Rozdział VI

---

Antek wozi drzewo na tartak z zapamiętaniem, lecz nie zabija ani tęsknoty za Jagną, ani lęku przed sprawą; **kowal codziennie go straszy**, podsuwając pieniądze na ucieczkę. Rozdartym między kryminałem a wygnaniem, gorzknieje i staje się w chałupie srogi. Rocho, ścigany przez władze, przychodzi już tylko na noc (dnem szerzy zakazane nabożeństwa do Serca Jezusowego). Pewnego wieczora **przychodzą strażnicy** — Rocho w porę ucieka w sad („pałasze brzęczą na drodze!"), Antek truchleje („może to już po mnie?"); żandarmi, wypytawszy o Rocha (Antek udaje, że to zwykły wędrowny dziad), odchodzą z jajkami i masłem, niczego nie wskórawszy. Wstrząśnięty Antek wyznaje Hance utrapienia i mówi o sprzedaży wszystkiego i ucieczce — lecz **Hanka stanowczo odmawia**: „Nie pódę i dzieci na zatrąę nie pozwolę! A jak mnie przyniewolisz, to siekierą łby dzieciom porozbijam, a sama do studni!" (klęka jak do przysięgi), ślubując utrzymać gospodarę, póki on odsiedzi karę. Antek ulega: „To będzie, co Bóg da! Trza poczekać na sprawę" — co niweczy zabiegi kowala. O świcie **Szymek wymyka się ze stodoły Mateusza** z narzędziami, by gospodarować na Podlesiu; mijając matczyną chałupę, słyszy Dominikową błakającą się nocą i mamrocącą litanie („Gryzie ich moja krzywda! Gryzie!").

Pod krzyżem Szymek żarliwie błaga Jezusa o pomoc i obejmuje swoje **sześć morgów na Podlesiu** — dziki, kamienisty, zachwaszczony ugór, którego nawet dziedzic odradzał, lecz Szymek się uparł („każda ziemia dobra, jak się jej człowiek dołoży!"). Karczuje go z zapamiętaniem, czule przemawiając do ziemi, kamieni i cierni jak do żywych istot („Mojaś ty! Moja! Nikto mi cię nie wydrze... uprawię cię, napasę"). Inni Lipczanie też zagospodarowują swoje podleskie działki (Płoszka, Kłęb, Grzela mierzy plac pod karczmę). Nastusia martwi się jałową ziemią; Szymek niezłomny, odmawia prosić matkę o pomoc. Potajemnie pomaga mu brat **Jędrzych** (bity przez Dominikową). W mordęcym upale Szymek pracuje od świtu po noc, a niespodzianie z pomocą przychodzi **pan Jacek** — „głupawy dziadek", w istocie mądry dawny pan — wyrabia glinę swymi przemysłnymi sposobami, dzięki czemu (z pomocą Mateusza) chałupa-buda rośnie szybko. Odbywa się **ubogi, cichy ślub Szymka z Nastusią** (dwie świece, bez muzyki — Dominikowa bojkotuje, Jagna skrycie znosi rzeczy Nastusi, Jędrzych przekornie przychodzi); skromne wesele (Mateusz gra i zaleca się do Jagny mimo zazdrosnej Tereski; więksi gospodarze nie przyszli, choć przysłali wspomogę). Młodzi

przenoszą się o świecie na swoje, a wieś solidarnie ich wspomaga (Kłębowia daje kokoszkę z kurczętami, inni płótno, słoninę, psa).

## Rozdział VII

---

U Borynów **Józka ciężko zapada na ospicę** (oddaje swą maciorkę Nastusi — „zamrę pewnikiem, to zmówi za mnie pacierz”) — leży w gorączce i malignie, w zaciemnionej izbie, z przywiązanymi rękami, by nie drapała krost. Wzruszająco opiekuje się nią **Witek**, znosząc jej dla rozrywki leśne stworzenia (kuropatki, zajaczka, który komicznie ucieka, przepiórki, jeża, wiewiórkę, żołą). Tymczasem **susza przybiera rozmiary kłęski** — zboża schną, studnie i staw wysychają, tartak i młyn stają; wieś składa się na **wotywę z wystawieniem** i modli się żarliwie. Wreszcie nadciąga **wielka burza** — pioruny, ulewa, gradobicie kładą zboża, lecz bez większych szkód — **z wyjątkiem stodoły wójta, w którą bije piorun i spala ją do szczytu** (wójta nie było, pojechał do gminy). Antek z Mateuszem bronią sąsiednich budynków, a **Kozłowa urąga wójtowej** („dał ci Pan Jezus radę, za moją krzywdę!”) — omal nie dochodzi do bójki, którą Antek rozdziela.

Po burzy Antek mija milczącą, hardą Jagnę. Józka zdrowieje (krosty bez śladu). Jagna odwiedza Szymka i Nastusię i ze zdumieniem widzi, że mają **krowę** — to kolejny **cichy dar pana Jacka** (znaleźli ją przywiązaną u drzwi; Rocho wyjawia: „krowa wasza, nie bójcie się”). Jagna dziwi się przemienionemu Szymkowi (z niedojdy w sprawnego gospodarza) i temu, że nawet Antek poręczył za jego grunt, a Hanka dała Nastusi maciorkę; sama dokłada dziesięć rubli. Wraca smutna, samotna („a ja co? ten badył suchy, o któren nikt nie stoi”); Mateusz znów się do niej zaleca, a napastliwego **wójta** ostro odprawia („świntuch!”). U organistów dowiaduje się, że **Jasio przyjeżdża nazajutrz** — i oszalała ze szczęścia biegnie w pola, powtarzając „przyjedzie, przyjedzie!”. Tymczasem u Borynów odbywa się **tajna narada** (Antek, Grzela, Rocho i ~20 chłopów) przed jutrzejszym zebraniem gminnym — Rocho i Grzela uczą, jak głosować przeciw rusyfikacyjnej szkole.

## Rozdział VIII

---

Nazajutrz pod **kancelarią gminną** gromadzi się ponad dwustu chłopów z okolicznych wsi na **zebraniu w sprawie szkoły**. Pisarz wyłudza od ludzi zaległości i dary dla naczelnika, doradzając Lipczanom, by uchwalili szkołę, bo inaczej naczelnik popsuje im zgodę z dziedzicem o las („pan z panem zna się, a chłopu zasię”). **Antek, Grzela i Mateusz obchodzą gromadę**, namawiając, by szkoły nie uchwalać; młynarz, kowal i bogatsi trzymają z urzędem. Wybucho znamienny **spór ideowy**: chłop z Przyłęka i stary chłop oskarżają Rocha, że „z panami trzyma” i judzi przeciw urzędowi — wygłaszają gorzkie, antypowstańcze credo biedoty:

panowie buntują, a płaci za to chłop (kozacy, baty, kryminal); „ta ich Polska to jeno bat na nasze plecy, pańszczyzna” — lepiej postawić szkołę niż się stawiać; rusinami i tak nas nie zrobią, bo „pacierza nikt nie zmówi inaczej, jak go matka nauczyła”. Grzelowi stronnicy zakrzykują go. Przybywa pyszny **naczelnik**, każe sobie usługiwać, ucztuje z pisarzem, trzymając tłum w skwarze (komiczny epizod z uciekającym z aresztu ciołkiem). Wreszcie pisarz odczytuje dekret (po rosyjsku — lud żąda „po naszemu!”, więc po polsku): szkoła w Lipcach dla kilku wsi, z **nowym podatkiem po dwadzieścia kopiejek z morgi**. **Grzela odmawia: „Na taką szkołę nie uchwalimy ani grosza!”** — popiera go setka głosów; Płoszka kwestuje tylko wysokość, młynarz i wójt parą za szkołą. Naczelnik rozkazuje: „Szkoła być musi! W naszej szkole muszą się uczyć po naszemu!”, strażnicy wrzeszczą „Szapki dołoj!” — lecz **trzystu chłopów stawia hardy opór**, ściskając żandarmów w tłumie. Sypią się buntownicze głosy: „każde stworzenie ma swój głos, a jeno nam przykazują mieć cudzy”; Antek szyderczo: „niech przykażą świniom, bych zaśpiewały kiej skowronki — jak to zrobią, to uchwalim szkołę”.

Antek powołuje się na ustawę cesarską (że szkoły i sądy mają być po polsku), lecz naczelnik, dowiedziawszy się, że Boryna jest pod śledztwem, **wyrzuca go z zebrania** („Poszoł won!”). Antek odchodzi hardo („Nie uchwalajta, chłopcy! Prawo za nami!”). Gromada wybucha chaosem; naczelnik narzuca **głosowanie imienne**, a pisarz fałszuje wynik (ogłasza dwieście za szkołą, osiemdziesiąt przeciw — choć wielu krzychało „Nie!”). Mimo protestów o oszustwo **szkoła zostaje przegłosowana**; naczelnik odjeżdża, nie spojrzawszy na kłaniających się. Grzela podsumowuje: „przegralim dzisiaj, naród jeszcze nie wezwyczajony do oporu”; Mateusz lży tłum („kundle i barany”); winią wójta i młynarza.

## Rozdział IX

---

Wracającego **Antka osaczają strażnicy** (podpuszczeni przez kowala za jego opór) — przy ostatniej chałupie rzucają się nań („Bierz go!”), lecz Antek odpędza ich kijem niczym wilk („nie dam się i czterem”); starszy obraca to w żart, grożąc „jeszcze się zobaczym”. W skwarze Antek **pomaga Żydowi-szmaciarzowi** (Nuchimowi) pchać taczki, odmawiając zapłaty, a Żyd wyjawia rzecz znamioną: **naczelnik podpisał kontrakt na szkołę już zimą** — całe głosowanie było farszą. W lesie Antek spotyka **dziedzica** i otwarcie chęłpi się, że domagał się polskiej szkoły („przecieśma Polaki, a nie Niemcy”); gdy zaś wini panów za ciemnotę i ucisk ludu („za polskich czasów... batem popędzać... przebalowali cały naród”), dziedzic wybucha: „wara ci, chamie, do tego co panowie robili! Pilnuj gnoju i wideł!” — i odjeżdża; Antek gorzknieje („jaśnie pany, psiekrwie... drugich przeżywa od chamów”). Wychodząc z lasu, dostrzega pod krzyżem **Jasia z Jagusią** — wracającą z jagód, roześmianą, wpatrzoną w kleryka, który ją nimi karmi; Antka kłuje zazdrość, lecz uspokaja go widok sutanny. Złośliwie donosi o tym **organiście** (czekającej na syna z gęsiami), siejąc w niej niepokój. Następuje

rozradowany **powrót Jasia** do domu; matka martwi się jego wychudzeniem i marzy, że zostanie proboszczem.

Organiścina ostrzega Jasia, by nie mieszał się do polityki (**Felek, syn młynarza, siedzi w cytadeli** — sprawa polityczna), i broni nieboszczyka męża, który „zdierał z ludzi — dla waszej nauki”. Komiczna scena **rojenia się pszczoł** na placu kościelnym (proboszcz w koszuli goni rój kropidłem, Jambroz dzwoni, Jasio kadzi trybularzem — niosą rój „kiej monstrancję” do pasieki). Proboszcz, pochłonięty pasieką i bykiem bardziej niż kościołem, poucza Jasia: „nie spoufalaj się z chłopami, bo kto się zada z plewami, tego świnię zjedzą”. Nazajutrz Jasio, jasny i rozśpiewany jak dzień lipcowy, „obejmuje duszą miłującą” cały świat (matka: „Wariacie jeden!”); na wotywie dostrzega wpatrzoną weń Jagusię. Odwiedziwszy Kłębów, zastaje **konającą Jagatę** (przyjętą, by „pomarła po gospodarsku”) — wzruszająca scena: stara, pogodnie czekając śmierci, opowiada o swych **wizjach** (nawiedzają ją zmarli, a sama Częstochowska rzekła jej: „gospodynią se będziesz pierwszą na niebieskim dworze, panią, dziedziczką”). Jasio po raz pierwszy z bliska zagląda w „nieubłaganą dolę człowieczą”, wstrząśnięty, ze łzami i modlitwą.

Pogrążona w **mistycznej miłości do Jasia**, Jagusia krąży wokół niego „kiej motyl w kręgu światła”, podgląda go z pól, a na mszy wpatruje się weń w ekstatycznym uniesieniu („Święty! Święty! Święty!”), jakby zstąpił z obrazu anioła. Odprawia wszystkich parobków-zalotników (Mateusz z rozpaczy pije i dręczy Tereskę), a zazdrosne wiejskie kobiety, podjudzone aluzją Jagustynki, szpiegują ją „kiej gończe za zajączkim”. Jagusia, nieświadoma, oddaje się gorącym, sennym nocom tęsknoty. Gdy raz Jasio czyta jej z **książki** (patriotyczno-czuły utwór o dworze i polach), ona uznaje to za nudne („dziecko wie, co w borach rosną drzewa — po co o tym drukować?”) i woli bajeczne **opowieści Rocha** o królach i smokach — co Jasia gorszy jako „cygaństwa”. Wtem **Kozłowa**, szydząc, donosi, że na plebanię przyjechali żandarmi, i rozsiewa o nich plotkę.

## Rozdział X

---

We wsi wybucha popłoch — **trzema brykami przyjechali żandarmi** (krążą wieści o wojsku, kozakach). Wszyscy lękają się, że to po Grzelę (za zebranie) albo po **Rocha**. Antek i przyjaciele w porę **ukrywają Rocha w życie za brogiem**, a jego pisma chowa chora Józka pod siebie. Żandarmi z urzędnikiem i wójtem przetrząsają chałupę Borynów (Antek spokojnie nacina sierpy), znajdują tylko Rochowe książeczki — nikt „nie umie czytać” (szyderstwo z rusyfikacyjnej szkoły) — i odjeżdżają z niczym, grożąc, że za ukrywanie Antek „razem powędruje”. Wieś, choć Rocha kocha jako świętego dobrodzieja, nie da się jednak narażać; Antek miarkuje, że trzeba go wyprawić. Rozpuszczają decoy, że Rocho zniknął z południa, a nocą **potajemnie go wywożą** (Witek koźmi na Podlesie). Rocho żegna się z domem (Hanka

pada mu do nóg, Józka szlocha), a **Jagusia uprosiwszy, niesie jego toboł do boru**. Po drodze Rocho jak na spowiedzi **napomina ją** za Antka, wójta i najbardziej za Jasia, błagając o opamiętanie — lecz Jagusia hardo szepce „Jasiu! Jasiu!... bym poszła za nim we wszystkie świat!”.

Pod granicznym krzyżem czeka Antek z Mateuszem i Grzelą; rozgrywa się uroczyste **pożegnanie Rocha** i jego **proroctwo-credo** — siebie zwie „jednym źdźbłem z bujnego pola”; zapowiada, że przyjdą tysiące (z miast, chałup, dworów), oddadzą krew i głowy, aż z ofiary i miłowania wyrośnie „święty, utęskniony Kościół” — **dzień zmartwychwstania, prawdy i sprawiedliwości dla całego narodu** („we waszej to mocy, aby się tak stało”). Słuchacze, jakby przyjmując komunię, zapalają się świętym ogniem („choćby na śmierć pódę!”); Rocho uczy ich, co czynić, by ów dzień przyspieszyć. Wreszcie żegna ich, klęka, całuje ze łzami ziemię „kiej tę mać” i znika w borze z Grzelą i Mateuszem. Antek wraca z Jagusią, przykazując milczenie (zwłaszcza wobec wójta); kłóć się — gdy zazdrośnie wytyka jej zakusy na „księżą gospodynię”, Jagusia wybucha płaczem.

## Rozdział XI

---

Wieś gorączkowo **sposobi się do żniw** (susza, młyn ledwie miele). Mściwy chory **młynarz** odmawia boru każdemu, kto wodził krowę do księżego byka; ujawnia się, że **kowal stawia mu na złość wiatrak** na Podlesiu (kupił dwadzieścia morgów). Jagustynka przynosi wieść: **z wojska wrócił Jasiak**, mąż Tereski, i dowie się o jej romansie z Mateuszem — co daje Jagustynce powód do gorzkiej tyrady o podwójnej moralności („chłop może używać jak na psim weselu, a kobiecie samo płkanie”). Antek ostrzega Mateusza, który, znudzony Tereską, postanawia ożenić się z kimś od dawna upatrzonym (Jagną) — tym bardziej że dowiedział się, iż **zapis Jagny nie został odpisany u rejenta**; Antek, zżerany zazdrością, dokucza mu, że Jagna „za Jasiem lata kiej suka”. Wieczorem zrozpaczona **Tereska przybiega do Mateusza** — wyznała wszystko Jaśkowi, który jej nie tknął, lecz zapłakał; błaga, by ją zatrzymał („służyła ci będę za psa wiernego”).

## Rozdział XII (właściwie: ciąg rozdz. XI–XII)

---

Mateusz tchórzliwie się wykręca, a Tereska przejrzawszy go („Cyganisz jak pies! Strach ci Jaśkowego kija... Idź se za Jagusią!”) rozpacza. Przychodzi **Jasiak i z dobrocią zabiera żonę do domu** („chodź, sieroto, nie ukrzywdzę cię”), grożąc Mateuszowi: „pókim żyw, krzywdy jej nie daruję”; zawstydzony Mateusz pije całą noc, a wieś podziwia szlachetność Jaśka. Zaczynają się **żniwa**. Jasio odnajduje konającą **Jagatę** w sieni Kłębów — wzruszająca, godna śmierć żebraczki: pogodnie wyklada swą „śmiertelną wyprawę” (czepek, trzewiki,

gromnicę), przymierza czepek („na sielną gospodynię patrzę”) i umiera „po gospodarsku”, pod obrazami („Pora już na mnie, pora!”); cała wieś zazdrości jej lekkiego skonania. Lecz Jasia na widok martwej, stężałej twarzy ogarnia **groza śmierci** — ucieka, płacze, a pocieszającą go **Jagusię** zastaje wbiegła **organiścina** i z gniewem wygania ją z domu („wynoś się, nie będę płakała przez ciebie jak Hanka albo wójtowa!”). Matka wyjawia Jasiowi powód: „masz być księdzem, nie chcę, byś sposobił sobie kochanicę”, i obrzuca Jagnę zmyśleniami i plotkami. Jasio, czystego serca, broni jej niewinności, lecz dręczy się; podsłuchawszy w pasiece, jak **Pietrek z księżą Maryną** plotkują, że Jagna „co noc wychodzi do niego [Jasia], Kozłowa przydybała ich w lesie”, załamuje się — zaczyna pojmować własne przebudzone pożądanie i kaja się z „pokuszeń”, już prawie wierząc w jej winę, choć nie umie wzbudzić w sobie do niej gniewu. Unikając czującej matki, błąka się po wsi, nie spotykając Jagny.

Na **pogrzebie Jagaty** Jagusia nie spuszcza z Jasia oczu; on postanawia się z nią rozmówić. Wymknąwszy się, odnajduje ją kopiącą ziemniaki — i mimo że wypomina jej „grzechy” zasłyszane od matki, ona zaprzecza („Nieprawda!”), a on jej wierzy; wyznaje mu swą miłość, po czym oboje w niemej, **mistyczno-ekstazyjnej komunii** idą zbożami w łunach zachodu („jakby msza się w nich odprawiała”), nieświadomie śpiewając. Przerywa to twardy głos matki („Jasiu, do domu!”), która ciągnie go za sobą, a w Jagnę ciska kamieniem („do budy, ty suko!”). Nazajutrz okazuje się, że **organiścina wyprawia Jasia z pielgrzymką do Częstochowy**, by go od Jagny oddalić. Po wotywie kompania (Hanka, Tereska z Jaśkiem, Grzela, ~stu pątników) rusza; Jagusia patrzy, jak Jasio **odchodzi na zawsze**, i zostaje zdruzgotana („I za co to wszystko, mój Boże, za co?”).

## Rozdział XIII

Gospodarstwo Dominikowej popada w ruinę (Jagusia chodzi jak nieprzytomna, Jędrzych miga się od pracy). Z plebanii stara przynosi straszną wieść: o Jagnie i Jasiu mówi cała parafia — odbył się nad klerykiem nocny „sąd” (organista go zbił, ksiądz dołożył cybuchem) i wyprawiono go do Częstochowy. Jagusia wstrząśnięta („Jasia biły!”), odmawia spowiedzi. Wtem pada **wstrząsająca nowina: wójta aresztowano za brak pięciu tysięcy rubli w kasie gminnej** — zabiorą mu gospodarzkę, a resztę **Lipce muszą dopłacić**. Wieś wrze gniewem, że ma płacić za złodzieja — a wtedy **organiścina rzuca oskarżenie, że wójt roztrwonil grosz na Jagnę** (złoto, jedwabie, korale), „a nawet mojego Jasia zwieść chciała”. To rozpala wszystkie dawne zazdrości i nienawiści kobiet — żądają **wygnania Jagny ze wsi**. Organiścina z Płoszkami organizują tajną zмовę; proboszcz umywa ręce („nie mieszam się, jutro jadę do Żarnowa”). Nocą w karczmie (na koszt organistów) **gromada radzi**, ściągając z łóżka Antka (bez pierwszego gospodarza wyrok byłby nieważny). Organista wygłasza **demagogiczne kazanie** — wieś jak dom, który zawali się, gdy złodzieje wyjmą podwaliny; Jagusia „gorsza od moru”, ściąga gniew boży jak na Sodomę („jeśli zgorszy cię ręka, odetnij ją”). Tłum ryczy o

wygnanie. Zapytany o zdanie **Antek**, wbrew oczekiwaniom, mówi zimno: „W gromadzie żyję, to z gromadą trzymam. Chceta ją wypędzić — wypędźta; chceta posadzić na ołtarzu — posadźta. Zarówno mi jedno” — i wychodzi (zżerany skrywaną miłością i zazdrością). Zapada decyzja: **wygnąć Jagnę**. Jedyne **Mateusz** rozpaczliwie jej broni, lży wieś i błaga Antka o ratunek („siekierę chyć!”) — na próżno.

W dzień egzekucji, wśród nadciągającej burzy, **rozjuszony tłum** (z organiściwą i wójtową na czele) wdiera się do chałupy Dominikowej — tratuje starą i Jędrzycha, a broniącego Jagny Mateusza powala z rozbitą głową. Błądą, milczącą **Jagnę chwyta „sto rąk”, wiąże jak barana, rzuca na wóz pełen świńskiego gnoju** (zaprzężony w dwie czarne krowy) i wywozi wśród urągów i przekleństw. Pod kościołem chcą ją obnażyć i wysiec różgami pod kruchtą, lecz **Jambroź zagradza bramę cmentarza ze strzelbą proboszcza**, grożąc, że zastrzeli. Pochód rusza dalej topolową, a powożący Pietrek skrycie pociesza skatowaną Jagnę. Na granicznych kopcach pod lasem **wyrzucają Jagnę wraz z gnojem na ziemię** i obrzucają ją grudami, kamieniami i przekleństwami („za krzywdę moich dzieci... byś szczelna na wieki... by cię święta ziemia wyrzuciła”); leży nieruchoma, zapatrzona w drzewa, gdy zaczyna lać deszcz. Powracających mija **okrwawiona Dominikowa**, ciskając za nimi straszliwe klątwy („a żeby was mór! a żeby was ogień i woda nie szczędziły!”), i biegnie ratować córkę. Rozpętuje się **gwałtowna burza** — niebo sine „kiej wątroba”, pioruny, wichura kładąca zboża — trwająca z przerwami aż do wieczora.

Nazajutrz wstaje **prześliczny dzień**, a w Lipcach „wraca wszystko do dawnego”: cała wieś rusza do **wielkich żniw** — od świtu po noc, w skwarze, błyskają sierpy i kosy, a praca staje się „świętym nabożeństwem znojnego, owocnego trudu”. Kończy się przednówek, stodoły napelniają się złotym ziarnem, kaźden — choćby najbiedniejszy — hardo podnosi głowę i z ufnością patrzy w jutro. **Tylko pola Dominikowej leżą opuszczone i zapomniane** — ziarno się z nich osypuje, a ludzie z lęklwym smutkiem odwracają od nich oczy. Pewnego złotego dnia żniwnego przez wieś przechodzi **ślepy dziad** (prowadzony przez pieska), zdążając na Podlesie; od Mateusza i Nastusi dowiaduje się, że **Jagna leży złamana, ledwie przytomna** (rwie się czasem uciekać i przyzywa Jasia), a czuwająca przy niej Dominikowa „kiej trup”. Dziad zostawia świętą wodę od zakonnicy z Przyrowa na uleczenie Jagny, nie chcąc zapłaty („z dobrego serca la niej przyniosłem... dobra była la biednych jak mała kto”). W złocistej kurzawie zachodu, wśród dzwonienia na Anioł Pański i dalekich śpiewań żniwnych, odchodzi ze słowami: „**Ostańcie z Bogiem, ludzie kochane**”.

*(Koniec Tomu IV — Lato. Koniec powieści.)*

---

## Zakończenie

---

Powieść domyka **odwieczny rytm chłopskiego życia**: po dramacie skazany na klęskę człowiek (umarły Boryna, wygnana Jagna, złamana Dominikowa) usuwa się, a ziemia i gromada trwają dalej w niezmiennym cyklu pracy i pór roku. Tragedia **Jagny** — niepospolitej, namiętnej, instynktownie szukającej piękna i miłości kobiety — kończy się jej uczynieniem **koźłem ofiarnym**: gromada, podjudzona przez organiścinę i wójtową, zrzuca na nią winę za własne grzechy (kradzież wójta, ucisk, biedę) i bestialsko wypędza ze wsi na wozie z gnojem. Reymont spleta realistyczny obraz wsi — z jej moralnością gromady, podwójnymi standardami wobec kobiet, walką o ziemię, rusyfikacją i nędzą — z **mityczno-lirycznym** wymiarem natury, obrzędu i odwiecznego trwania chłopskiego świata.